

**LUIS LEANTE**

**I PAMIĘTAJ,  
ŻE CIĘ KOCHAM**

Z hiszpańskiego przełożyła  
Teresa Tomczyńska

  
Świat Książki

Śpi przed południem, drzemie po południu, prawie cały dzień przesypia. Potem spędza bezsennie większą część nocy. Czasami czuwa, ma krótkie momenty świadomości, trochę majaczy lub popada w otępienie; często traci przytomność. I tak dzień po dniu, całymi tygodniami. W tym upływającym czasie brakuje granic. Jeśli przez chwilę wytrwa w stanie świadomości, próbuje otworzyć oczy, a potem znowu zanurza się w otchłań snu: głębokiego snu, z którego trudno jest się przebudzić.

Od paru dni w rzadkich chwilach przytomności rozróżnia głosy obcych ludzi. Dochodzą do niej gdzieś z oddali, jakby z innego pokoju albo z najgłębszego snu. Niekiedy słyszy je wyraźnie tuż obok siebie. Wydaje jej się, że nieznajomi rozmawiają po arabsku. A raczej szepczą. Nie rozumie słów, lecz głosy, zamiast ją niepokoić, dodają otuchy.

Ciężko jej myśleć, nawet bardzo ciężko. Czasem próbuje się dowiedzieć, gdzie jest, i nagle czuje się potwornie zmęczona. Wtedy natychmiast zapada w pełen koszmarów sen. Walczy, aby nie zasnąć, gdyż boi się dręczących ją majaków.

Parę razy męczy ją ten sam przerażający widok skorpiona. Nawet przebudzona, nie otwiera oczu w obawie, że pajęczak wypełznął z jej snu. Choć bardzo się stara, powieki są jak sklezione.

Kiedy po raz pierwszy udaje jej się otworzyć oczy, nic nie widzi. Światło w pokoju poraża ją i oślepia, jakby przez cały czas przebywała w ciemnicy.

- *Kifik?*\* *Ismik?*\*\* - pyta ją ktoś łagodnie.

To kobieta, która mówi do niej bardzo czule. Chociaż nie rozumie słów, zdaje jej się, że przemawia do niej tonem pełnym ciepła. Poznaje już ten głos. Słyszała go przez ostatnie dni, a może nawet tygodnie, czasem dochodzący z bliska, a czasem z daleka, jakby z sąsiedniego pokoju. A jednak brak jej sił, aby odpowiedzieć.

Chociaż jest już przytomna, nie potrafi uwolnić się od wizji skorpiona. Czuje nawet jego odwłok i odnóża wspinające się po łydce. Próbuje wmówić sobie, że to nie dzieje się naprawdę. Chce się poruszyć, ale nie ma siły. Prawdę mówiąc, ukąszenie było krótkie i szybkie, jak ukłucie igłą. Gdyby nie krzyki tej kobiety, która ją ostrzegła: „Panienko, panienko! Ostrożnie, panienko!”, nawet by go nie zauważyła. Spojrzała dopiero wtedy, kiedy wkładała na siebie burnus\*\*\*. Zobaczyła skorpiona wczepionego w podszewkę i zrozumiała, że ją ukąsił. Musiała zakryć usta ręką, żeby nie wrzasnąć, a jednak w końcu krzyknęła, zarażona lamentami kobiet, które, siedząc

\* *Kifik* (arab.) - jak się masz? Zwrot wypowiedziany do kobiety. Do mężczyzny mówi się: *Kifik* (przyp. kons.).

\*\* *Ismik* (arab.) - jak masz na imię? W dosłownym tłumaczeniu: imię. Mężczyźnie zadaje się pytanie: *Ismak?* (przyp. kons.).

\*\*\* *Burnus* - szeroki płaszcz wełniany z kapturem, najczęściej bez rękawów (przyp. kons.).

lub przycupnięte w kucki, wpatrywały się w nią z przerażeniem.

Nigdy nie jest pewna, w jakiej pozycji spała. Czasami budzi się, leżąc na plecach, kiedy indziej na brzuchu. Dlatego domyśla się, że ktoś ją przewraca we śnie, pewnie po to, żeby nie dostać odleżyn. Pierwszy widok to odpryski i pęknięcia rysujące się na suficie. Przez małe i wysoko umieszczone okno wpada bardzo skąpe światło. Nie wie, czy już zapadł zmierzch, czy dopiero świta. Nie słyhać żadnych odgłosów zdradzających, że na zewnątrz toczy się normalne życie. Naprzeciwko, przy ścianie, widzi zdezelowane, zardzewiałe łóżko. Serce podskakuje jej ze strachu, kiedy poznaje, że to łóżko szpitalne. Nie ma materaca. Ze stelaża bezwstydnie sterczą zardzewiałe sprężyny. Między dwoma łózkami stoi metalowy stolik pokryty poźółkłą, kiedyś białą, tu i ówdzie odpryskującą ze starości farbą. Po raz pierwszy kobieta czuje chłód. Wytęża słuch i stara się rozpoznać jakikolwiek znajomy dźwięk. Bezskutecznie, nic nie słyszy. Próbuje coś powiedzieć, wezwać pomoc, ale nie może wydobyć z siebie głosu. Zbiera resztki sił, aby przywołać kogoś, kto jej wysłucha. Nagle otwierają się drzwi i pojawia się w nich twarz kobiety, której nigdy przedtem nie widziała. Od razu domyśla się, że to pielęgniarka. Kolorowy milhaf\* okrywają od stóp do głów. Na wierzchu nosi zielony, szczelnie zapięty na wszystkie guziki fartuch. Pielęgniarka, widząc, że jest przytomna, rozkłada, zaskoczona, ręce i zwleka chwilę, zanim się odezwie.

- *Kifik? Kifik?* - dopytuje się pośpiesznie.

\* *Milhaf* (arab.) - bardzo duża chusta, często w jaskrawych kolorach, którą kobiety w Afryce wkładają na ubranie. Służy jednocześnie do zakrywania głowy i twarzy (*przyp. kons.*).

Chociaż kobieta nie rozumie stów, domyśla się, że jest to pytanie o samopoczucie. Ale ona nie potrafi zmusić strun głosowych do mówienia. Siedzi wzrokiem dziewczynę, próbując dostrzec jej rysy ukryte pod milhafem. W końcu pielęgniarka wybiega z sali, głośno nawołując, i za chwilę wraca w towarzystwie jakiegoś mężczyzny i kobiety. Rozmawiają między sobą gorączkowo, przyciszonym głosem. Wszyscy troje są w fartuchach, kobiety - dodatkowo w milhafach. Mężczyzna bierze ją za rękę i próbuje wyczuć tętno. Ucisza obie kobiety. Unosi pacjentce powieki i dokładnie bada źrenice. Potem osłuchuje stetoskopem. Kobieta odczuwa lodowaty dotyk metalu na piersi jak dotknięcie żarzącej się głowni. Na twarzy lekarza maluje się niepokój. Jedna z pielęgniarek wyszła z sali i teraz wraca, niosąc kubek wody. Obie kobiety próbują posadzić chorą i ją napoić. Kobieta z trudem rozchyła wargi. Woda wycieka jej kącikami ust i spływa po szyi. Ułożywszy ją w poprzedniej pozycji, widzą, że oczy pacjentki stają się puste, a ona zapada w głęboki sen, taki sam, w którym pogrążona była prawie cztery tygodnie, odkąd ją tu przywieźli, pewni, że już nie żyje.

„Panienko, panienko! Ostrożnie, panienko!” Tyle już razy słyszała ten głos w koszmarach, że wydaje jej się znajomy. Tylko nie wiedziała, o co im chodzi, póki nie zobaczyła skorpiona uczepionego podszewki burnusa. I natychmiast uświadomiła sobie, że ją ugryzł. Zaraziła się krzykami innych kobiet, które zakrywały twarz i lamentowały, jakby stało się straszne nieszczęście. „Allez, *allez!* - tym razem ona krzyknęła. - Chodźcie ze mną, nie zostawajcie tu. *Allez!*” Kobiety nie rozumiały jej,

a może nie chciały zrozumieć. Zakrywały twarze chustami i nie przestawały zawodzić. W końcu straciła cierpliwość i zaczęła na nie wrzeszczeć, a nawet je wyzywać: „Idiotki, kreatynki! Jeśli nie spróbujemy się stąd wydostać, będziemy musiały pogodzić się z tym, że nas zgwałcą! To hańba, że dajecie się tak traktować. To gorsze niż niewola, to jest... to...”. Przynębiona, umilkła, pojmując, że jej nie rozumieją, a może nie zwracają na nią uwagi. Przynajmniej sprawiła, że przestały krzyczeć. Uspokoiła się i w milczeniu patrzyła na grupę dwudziestu kobiet sparaliżowanych strachem, unikających jej wzroku. Oczekiwała jakiejś spontanicznej reakcji, ale żadna z nich nawet nie drgnęła. Przeciwnie, przycupnęły na końcu celi, jak gołębie, szukając w sobie nawzajem wsparcia, modląc się i zakrywając twarze. Po raz pierwszy pomyślała o skorpionie. Wiedziała, że spośród tysiąca pięciuset gatunków występujących na ziemi tylko dwadzieścia pięć jest jadowitych. Szybko przegnała tę myśl z głowy. Nie miała czasu do stracenia. Była już pewna, że jeśli na ich wrzaski nikt się nie pojawił, to znaczy, że zostawili je same, bez straży. W końcu wciągnęła burnus na ramiona i nakryła głowę kapturem. „Róbcie, co chcecie, ale ja uciekam”. Szarpnęła drzwi, ale tak jak przypuszczała, były zamknięte na kłódkę. Zaplanowała już wszystko, kiedy się obudziła. Jednym silnym kopniakiem rozwalila deski na dole drzwi. Drewno było tak spróchniałe, że rozsypało się na tysiące kawałków. Odczekała chwilę i widząc, że nikt nie nadbiega, zaczęła kopać w drzwi. Otwór był coraz większy. Podwinęła burnus i przecisnęła się na zewnątrz.

Oślepiły ją promienie słońca w zenicie. „Nie, panienko, nie!” - usłyszała jeszcze, zanim odbiegła parę kroków. Czowała, że trzęsą jej się nogi i idzie chwiejnym krokiem. Ponad dziesięć

dni nie przeszła tak dużego dystansu bez straży, całe dziesięć dni, które spędziła zamknięta razem z innymi dwudziestoma kobietami w tym prowizorycznym baraku bez okien, zbudowanym z pustaków, cegieł i pokrytym dachem z eternitu, który niemiłosiernie nagrzewał powietrze. Chociaż ledwie parę minut widziała małą oazę, kiedy je tu przywieziono, aby uwięzić, rozpoznawała po dźwiękach wszystkie jej zakątki. W samym środku znajdowała się studnia z kołowrotem do wyciągania wody. Kilka metrów dalej ogromna brezentowa płachta służyła za namiot. Tam przy herbacie przesiadywali mężczyźni, gadali, spierali się i kłócili. Wszędzie wały się sterty śmieci. W cieniu palm stał jeszcze jeden namiot, porządniejszy, z dywanikiem przy wejściu, służący za schronienie Monsieur. Przez dziewięć ostatnich nocy wsłuchiwała się godzinami w ciszę pustynną i jej przerażające odgłosy.

Tuż obok namiotu dostrzegła metaliczny odbłask toyoty. Wokoło nie było żywej duszy. Po ciężarówce zostały tylko odcisnięte w piasku koleiny, wiodące gdzieś w stronę nieogócinnej hamady\*. Kobieta starała się opanować zarówno rozedrgane nerwy, jak i euforię z powodu odzyskanej wolności. Prawie nie zauważała bezlitośnie palących ziemię promieni słońca w zenicie. Nie namyślając się dłużej, przyśpieszyła i szła prosto w stronę terenówki. Starła się nie biec, ale iść zdecydowanym krokiem, nie dając się opanować panice. Ani razu nie obejrzała się w tył, nie rozglądała się też na boki. Toteż gdy usłyszała, że ktoś ją woła, poczuła, że serce skacze jej ze strachu. A jednak nie zatrzymała się, kroczyła dalej tak samo zdecydowana i tylko odwróciła głowę, kiedy po-

\* *Hamada* (arab.) - pustynia kamienista, skalna, występująca m.in. na Saharze (przyp. kons.).

znała dobiegający ją głos. To była Aza, jedyna Saharyjka w ich grupie. Biegła z tyłu, ze spadającym z jej z ramion milhafem, który podtrzymywała oburącz, aby nie przydeptać skraju okrycia. „Idę z tobą, poczekaj, idę z tobą!” - wołała Aza w czystym kastylijskim. Poczekwała więc na nią i złapała za rękę. Razem przebyły ostatni odcinek dzielący je od toyoty. Szarpnęła drzwi od strony kierowcy i dała znak Azie, aby wsiadła z drugiej strony. Saharyjka zwinnie wskoczyła do środka. Przez chwilę siedziały w milczeniu, rozglądając się czujnie w koło, bojąc się, że ktoś je widział, kiedy biegły do samochodu. „Jedziemy, Aza. Koniec tego koszmaru”. Kobieta pomacała stacyjkę, szukając kluczyków. Nagle zbladła. „Co się stało? - spytała Saharyjka. - Boisz się?” Pokazała jej puste dłonie. „Nie ma kluczyków w stacyjce”. Aza przez chwilę nie mogła zrozumieć, o co chodzi. Nie wpadła jednak w panikę; złożyła obie dłonie i przyłożyła je do serca. Potem schyliła się i włożyła rękę pod siedzenie. Po chwili wyjęła zakurzony czarny kluczyk. „Tego szukasz?” Kobieta złapała kluczyk i włożyła do stacyjki. Zaraz też zaterkotał silnik terenówki. Chciała o coś spytać Saharyjkę, ale ta ją uprzedziła: „Tak robią u nas w obozach. Nie wolno zostawiać kluczyków w zasięgu rąk dzieci. Lubią psocić. W końcu są tylko dziećmi”.

Samochód ruszył. Gdyby w pobliżu był jakiś wartownik, już by go ściągnął ryk silnika. Z całą pewnością zostawili je same. Przez chwilę oswajała się z biegami i pedałami. Ruszyła, kierując się koleinami innych samochodów, i stopniowo zaczęła się rozpędzać, jadąc w stronę odległej linii widnokregu. Pot zalewał jej czoło, ale wcale nie czuła gorąca wywołanego podnieceniem i nerwami. „Nie tędy!” - krzyknęła Aza. „Dla-



czego? Znasz inną drogę?" „Na pustyni nie ma dróg. Tam nie ma wody, a my nie wzięliśmy ze sobą nic do picia". Podniosła palec i wskazała jakiś punkt na południowym zachodzie. „Tędy". Kobieta posłuchała bez słowa. Skręciła kierownicą i zatoczyła krąg, po czym ruszyła w kierunku, gdzie nie było śladów kół. Odruchowo zerknęła na poziom paliwa: została jeszcze jedna czwarta baku. Aza wpatrywała się uważnie w linię widnokregu. Auto kolebało się na wertepach, co chwilę wpadając w dołki, wtedy kobiety w szoferce podskakiwały w górę. Nie odzywały się ani słowem. W jakiś tajemniczy sposób pot chłodził cudzoziemkę, aż w końcu dostała dreszczy. Po raz pierwszy poczuła piekący ból na szyi, tam gdzie ukąsił ją skorpion. Z trudem oddychała, ale przypisywała to nerwom. Aza od razu zauważyła, że z jej towarzyszką dzieje się coś złego. Trzymając kureczowo kierownicę, kobieta czuła, że miękną jej nogi, a serce zaczyna bić nieregularnie. Z profilu wyglądała tak, jakby raptownie się zestarzała. Saharyjka wiedziała, co jej jest, dlatego kiedy się zatrzymały, o nic nie pytała. „Nie mogę jechać dalej, Aza. Nie mam siły - odezwała się kobieta po chwili milczenia. - Ty musisz prowadzić". „Nigdy tego nie robiłam, nie umiałabym przejechać nawet metra. Odpocznij i za chwilę sama pojedziesz". „Źle się czuję, Aza". „Wiem. Ukąsił cię skorpion. Miałaś pecha".

Nagle ponad mruzeniem pracującego na wolnych obrotach silnika terenówki przebił się jakiś inny, mocniejszy dźwięk. W oddali zobaczyły zarys ciężarówki, która, podskakując na wertepach, jechała w ich stronę. „Znaleźli nas" - powiedziała Aza. Kobieta z trudem wcisnęła pedał gazu i z całej siły złapała kierownicę. Terenówka, choć znacznie szybsza, jechała zryzakiem, kolebiąc się w dołkach i na wzniesieniach,

dlatego dystans między samochodami coraz bardziej się zmniejszał. Było już tylko kwestią czasu, kiedy przetną im drogę i uniemożliwią dalszą jazdę. Podjechawszy bliżej, mężczyźni z ciężarówki zaczęli wrzeszczeć po arabsku i francusku. Monsieur w anachronicznym mundurze legionisty hiszpańskiego nagle stracił surowy wyraz twarzy i na jego ustach pojawił się ironiczny półuśmiech. Siedział obok kierowcy, wskazując mu miejsca, gdzie należało wjechać na wydmy lub okrążyć stertę kamieni. Trzymał oburącz wsparty na kolanie kałasznikow z naładowanym magazynkiem. Siedzącej przy kierownicy kobiecie migotało coraz więcej czarnych plamek przed oczyma. Ledwie miała siłę wciskać pedał gazu. W końcu samochód wjechał w wydnię i, przez chwilę ostro buksując kołami, na dobre zakopał się w piachu. Aza uderzyła głową o deskę rozdzielczą i rozcięła sobie czoło. Poczowała smak krwi ciekącej po wargach. Zanim zdążyła zareagować, zobaczyła ludzi Monsieur otaczających samochód. W jego oczach dostrzegła błysk wściekłości ukrytej pod fałszywym uśmiechem. Otworzyli drzwi po obu stronach samochodu i kazali im wysiąść. Saharyjka posłuchała od razu, ale ta druga kobieta ledwie mogła się ruszyć. „Wyłaż, mówię”. „Trzeba ją zawieźć do lekarza! - zebrawszy się na odwagę, krzyknęła Aza. - Skorpion ją ukąsił”. Legionista wybuchnął szyderczym śmiechem. Kobieta ledwie go słyszała. Poczowała tylko, jak jego łapska chwytają ją za rękę i wyciągają z samochodu. Gwałtownie runęła na ziemię i już nie mogła się podnieść. „Gówno prawda! Żaden skorpion”. Splunął na nią i już chciał ją kopnąć, ale zawahał się i zatrzymał nogę parę centymetrów od jej głowy. „Do jasnej cholery, myślałyście, że gdzie dojedziecie?! Pieprzone idiotki! A ty powinnaś wiedzieć - zwrócił się do Azy -

że stąd nie można uciec. A może jesteś taką samą kretynką jak ona?" Kobieta, leżąc na ziemi, próbowała błagać o pomoc, ale z jej ust wydobywał się niezrozumiały bełkot. Była jednak na tyle świadoma, żeby usłyszeć krzyki Azy. Chociaż nie mogła tego widzieć, domyśliła się, że ją biją. W niewytłumaczalny sposób poczuła się winna. Czuła, jak w gardle pali ją straszny ogień, i nie mogła wydusić z siebie słowa. W wąskim polu widzenia, ograniczonym butami legionisty, zauważyła Saharyjkę uciekającą w stronę horyzontu. Biegła zakosami, potykając się o milhaf. Przewracała się i znowu wstawała. Legionista odłożył kałasznikow na maskę toyoty i wziął karabin od jednego ze swoich ludzi. Leżąc na ziemi kobieta obserwowała całą scenę jak na zwolnionym filmie. Monsieur oparł karabin na ramieniu, rozgarnął długą siwą brodę, aby jej nie przyciąć, i przez chwilę, póki nie miał Saharyjki na muszce, wpatrywał się w celownik. Aza biegła coraz wolniej, jakby straciła motywację, bo wiedziała, że i tak ją złapią. Ta mordercza ucieczka zmieniła się teraz w szybki marsz. Widać było, że Saharyjka walczy ze sobą, aby się nie obejrzeć ani nie przestać uciekać. Nagle rozległ się głuchy dźwięk i Aza osunęła się na kamienisty grunt hamady. Jakby na znak żałoby nieoczekiwanie zerwał się wiatr i stopniowo przybierał na sile. Ostatnim, co dostrzegła cudzoziemka, zanim opadły jej powieki, była gęsta zasłona piasku ukrywająca rozległe połacie Sahary.

Pacjentka rozpaczliwie krzyczy i po chwili otwiera oczy. Pielęgniarka od razu chwyta ją za rękę. Nic nie mówi, wpatruje się tylko w oczy kobiety jak ktoś, kto patrzy na nowo przyby-

lego gościa. Próbuje ocenić jej wiek: ma czterdzieści, może czterdzieści pięć lat. Wie, że gdzie indziej ludzie starzeją się wolniej niż na Saharze.

- Aza, Aza!

Pewnie znowu majaczy. Pielęgniarka dotyka jej czoła i stara się ją uspokoić. Jest pewna, że tym razem kobieta ją widzi i słyszy. Szepcze do niej jakieś słowa w hassanii\*, w niejasnej nadziei, że chora ją zrozumie. Podaje wodę do picia. Mówi do niej po francusku. Potem stara się powiedzieć coś po angielsku. Próbuje we wszystkich językach, jakie zna.

- Aza! Aza! - znowu krzyczy kobieta, tym razem z szeroko otwartymi oczyma. - Zabili Azę.

Słyszac te słowa, pielęgniarka czuje, jak przechodzą ją zimne dreszcze. Stara się jednak ciągle uśmiechać.

- Dzień dobry. Jak się czujesz? Jesteś Hiszpanką?

Kobieta patrzy na nią i uspokaja się. Z całej siły chwyta pielęgniarkę za rękę.

- Gdzie ja jestem?

- W szpitalu. Żyjesz, nie grozi ci już żadne niebezpieczeństwo. Przez wiele dni spałaś. Jesteś Hiszpanką?

- Zabili Azę.

Pielęgniarka myśli, że kobieta znowu majaczy. Przez wiele dni nie odchodziła od jej łóżka. Ta twarz bez życia nieodparcie przyciągała jej uwagę od chwili, kiedy wyniesiono cudzoziemkę z samochodu wojskowego. Była jedyną osobą, która wierzyła, że pacjentka przeżyje. Teraz jest pewna, że Bóg wysłuchał jej modłów.

\* *Hassanija* - dialekt języka arabskiego, używany głównie w Mauretanii, gdzie ma status języka urzędowego, i Saharze Zachodniej, a także na przygranicznych terytoriach Algierii, Maroka, Mali i Senegalu (*przyp. kons.*).

- Masz barakę\* - stwierdza. - To błogosławieństwo boże.

Pielęgniarka ściąga milhaf z głowy i rozpuszcza czarne lśniące włosy. Nie przestaje się uśmiechać. Nie chce puścić ręki nieznajomej ani nawet pobiec do lekarza z wieścią, że po tyłu tygodniach chora wreszcie odzyskała przytomność. Przykłada rękę do serca, a potem kładzie otwartą dłoń na czole pacjentki.

- Mam na imię Layla - mówi. - A ty?

Kobietę ogarnia głęboki spokój na widok uśmiechniętej twarzy Layli. Z trudem odpowiada:

- Montse. Mam na imię Montse.

\* *Baraka* (arab.) - błogosławieństwo, szczęście (*przyp. kons.*).

Z okienka baraku, który czasami spełnia funkcję karceru, kapral Santiago San Roman przez całe dni obserwował nie-normalne przemieszczanie się wojska. W celi - cztery metry na sześć - znajdował się materac rzucony na prymitywny stelaż, stolik, krzesło, bardzo brudny kibel i kran.

*Kochana Montse, niedługo minie rok, jak nie mam od Ciebie żadnej wiadomości.*

Prawie godzinę myślał, zanim napisał to pierwsze zdanie, a teraz wydaje mu się afektowane i sztuczne. Ryk samolotów lądujących na lotnisku w Al-Ujun przywrócił go do rzeczywistości. Spojrzał na kartkę i nawet nie poznał własnego pisma. Z okienka karceru ledwie można było zobaczyć strefę ochronną wokół pasa startowego i część hangaru. Jedyne, co widział wyraźnie, to garaże i land-rovery bez ustanku krążące po płycie lotniska, ciężarówki wyładowane nowo przybyłymi rekrutami i jeżdżące w kółko wozy oficerskie. Po raz pierwszy od siedmiu dni nie przynieśli mu jedzenia, nawet po południu nie otworzyli drzwi, aby go wypuścić na spacer na koniec pasa

startowego. Już od tygodnia nie zamienił z nikim słowa, zjadał przydziałowy suchar i wodnistą zupę, nie spuszczał wzroku z drzwi i okna, i czekał, kiedy w końcu wsadzą go do samolotu i na zawsze wywiozą z Afryki. Twierdzili, z marsową miną, że to tylko kwestia paru dni, a potem do końca życia będzie tęsknił za Saharą.

Dla kaprala San Romana czas się zatrzymał przed tygodniem, kiedy przeniesiono go z karceru w koszarach Czwartego Pułku Legii Cudzoziemskiej na lotnisko, aby go odesłać na Gran Canarię i oddać pod sąd wojskowy, z dala od walk i zamieszek, jakie wybuchały w tej prowincji afrykańskiej. Ale chyba rozkazy zaginęły gdzieś po drodze i wszystko stanęło w miejscu bez słowa wyjaśnienia. Dzień nie różnił się od nocy, a potem od kolejnego dnia: nerwy i niepokój wywołany bezczynnym oczekiwaniem sprawiły, że cierpiał na bezsenność. Plaga pcheł pogarszała jeszcze jego samopoczucie. Monotonie przerywała tylko ta krótka chwila, jaką spędzał na spacerze po pasie startowym lotniska, pilnowany przez legionistę weterana, który zawsze mu groził, zanim wdrapał się na wieżyczkę strażniczą: „Jeśli zrobisz więcej niż dziesięć kroków albo zaczniesz biec, rozwalę ci łeb”. I pokazywał mu cetmę\*, ale już bez szczególnego zapału, jakby był pewien, iż kapral zrozumiał, że mówi poważnie. Była to jedyna chwila, kiedy czuł się wolny, wpatrywał się w horyzont i szukał wzrokiem dachów miasta, zwłaszcza białych kopuł dzielnicy saharyjskiej. Wciągał wtedy suche powietrze, próbując napełnić płuca, tak jakby to było po raz ostatni. Ale tego listopado-

\* *Cetma* - właściwie CETME, karabin automatyczny, skonstruowany w *Centro de Estudios Tecnicos de Materiales Especiales* w Madrycie (przyp. tłum.).

wego dnia nikt mu nie przyniósł śniadania ani obiadu; nikt także nie zareagował na jego krzyki, kiedy domagał się jedzenia. Wokół baraku nie było oznak życia. Całe zamieszanie koncentrowało się na pasie startowym i w hangarach. W porze spaceru nikt nie przyszedł wypuścić go z celi. Pod wieczór nabrał przekonania, że dzieje się coś nienormalnego. Dopiero kiedy słońce zaczęło znikać za horyzontem, usłyszał warkot silnika land-rovera i przez okienko dostrzegł światła samochodu zakręcającego przed barakiem. Siedział na materacu i czekał, starając się zachować spokój, póki nie usłyszał zgrzytu rygla u drzwi. Do celi wszedł Guillermo ubrany w swój galowy mundur, nienaganne lederwerki, ze śnieżnobiałymi rękawiczkami w dłoni, jakby szykował się na defiladę. Za nim stał wartownik, którego widział po raz pierwszy w życiu, z cetmą na ramieniu.

- Masz gościa - oznajmił lakonicznie i zamknął drzwi za Guillermem.

Kapral San Roman nawet nie miał czasu, aby przypomnieć mu o jedzeniu. Nagle wydał się sobie brudny. Czuł się niezręcznie przy swoim przyjacielu; a raczej było mu wstyd. Stał przy oknie i oparł się o zapaćkaną ścianę. Nie widzieli się przez ponad dwadzieścia dni, od tamtego feralnego wieczoru, kiedy chciał wyjść na przepustkę z cudzym bagażem.

Guillermo stał jak manekin. Też nie wiedział, od czego zacząć. Ścisnął w dłoniach furazerkę legionisty, mnąc ją razem z rękawiczkami. Był spięty i nie potrafił tego ukryć. W końcu spytał:

- Już wiesz?

Santiago nic nie odpowiedział, ale przeczuwał jakąś katastrofę. Tak czy owak nic nie mogło pogorszyć jego sytuacji.



- Zmarł generał Franco - rzucił Guillermo, licząc na jakąś reakcję przyjaciela. - Dziś w nocy.

Kapral San Roman odwrócił się nieznacznie, aby wyjrzieć przez okno. Wydawało się, że ta wiadomość wcale go nie poruszyła. Mimo późnej pory ruch samolotów nie ustawał.

- A więc to dlatego...

- Co dlatego?

- Dlatego tak krążą przez cały dzień. Ciągłe ładują żołnierzy. Tylko pojęcia nie mam, czy ich wywożą, czy przywożą. Już od tygodnia wszyscy się miotają i nikt mi nic nie wyjaśnia. Coś jeszcze się stało, prawda?

Guillermo usiadł na brudnym, przepełnionym materacu. Nie miał odwagi, by spojrzeć przyjacielowi prosto w oczy.

- Maroko nas zaatakowało - powiedział.

Na stole leżał list, który nigdy nie zostanie napisany ani wysłany. Obaj spojrzeli jednocześnie na pożółkły papier, a potem na siebie.

- Guillermo - odezwał się w końcu kapral drżącym głosem - rozstrzelają mnie, prawda? Z tego, co powiedziałaś, wynika, że skoro ciągle tu jestem, to dlatego, że potrzebują samolotów do innych celów, a nie po to, by wyciągać stąd...

- ...zdrajcę? - dokończył Guillermo z niezamierzoną złośliwością.

- Ty też w to wierzysz?

- Wszyscy tak mówią. A ty nic innego mi nie udowodniłeś.

- A po co? Uwierzyłbyś mi?

- Spróbuj.

Santiago podszedł do stołu, zmiął kartkę, zrobił z niej kulkę i wrzucił do kibla. Guillermo uważnie obserwował każdy jego ruch. Potem dodał:

- Wyciągną nas stąd. Nie chcą wojny z Marokiem. Podobno już potajemnie sprzedano Saharę\* Hassanowi\*\* i Mauretanii.

- Nic mnie to nie obchodzi. Ty za miesiąc idziesz do cywila, wrócisz do domu, a ja...

- Ty też wrócisz. Kiedy wyjaśnisz wszystko, zwolnią cię do cywila.

Kapral San Roman milczał, starał się nie okazywać dręczących go wątpliwości. Ryk samolotu wjeżdżającego na pas startowy zakłócił ciszę baraku. Na dworze czerwonawe niebo stapiało się z widnokrzem rozpalonym płomieniami zachodzącego słońca.

- Słuchaj, Santiago, wiem, że nie chce ci się o tym gadać, ale dla własnego spokoju muszę cię o to spytać.

Kapral San Roman znowu się najeżył. Wbił wzrok w oczy przyjaciela i starał się nie spieszyć. Guillermo odwrócił się, ale wcale nie zamierzał rezygnować z pytania.

- W koszarach gadają, że trzymasz ze zdrajcami i sprzedawczykami. Twierdzą, że jesteś terrorystą. Wcale nie mówię, że ja też tak myślę, ale chcę, żebyś sam mi to powiedział.

Santiago poczuł, że brak mu argumentów i że jest zupełnie bezsilny. Oparty plecami o ścianę, powoli zsuwał się na podłogę. Zakrył twarz dłońmi. Czuł się raczej zawstydzony niż skrępowany.

- Przysięgam, Guillermo, że nie miałem o tym zielonego pojęcia. Przysięgam na moją zmarłą matkę.

- Wierzę ci, Santi, wierzę. Ale odkąd cię aresztowali, nie pozwolili mi z tobą rozmawiać. Mam dosyć nadstawiania głowy za ciebie.

\* Zachodnią (przyp. kons.).

\*\* Hassan II - król Maroka w latach 1961-1999 (przyp. kons.).

- To nie rób tego. Nie warto. Tak czy owak rozstrzelają mnie.

- Nie gadaj bzdur. Wcale cię nie rozstrzelają. Kiedy im wszystko wyjaśnisz, zwolnią cię do cywila... najwyżej będziesz miał wpis w kartotece, to wszystko.

- Będą chcieli wiedzieć wszystko... Zażądatają, żebym im podał nazwiska, dane...

- Skoro twierdzisz, że o niczym nie wiedziałeś, nie musisz się bać.

- Przysięgam, ja naprawdę nic nie wiedziałem. Myślałem, że w tamtym tobołku jest tylko brudna bielizna.

Guillermo wbił w przyjaciela oskarżający wzrok. Mimo skąpego światła kapral San Roman usiłował odgadnąć, patrząc mu w oczy, co dzieje się w jego głowie.

- Ta brudna bielizna, jak mówisz, ważyła ponad piętnaście kilo.

- I co z tego? Myślisz, że jestem głupi? Podejrzywałem, że między bielizną włożyli jakiś stary gaźnik, używane korbowody. Wiedziałem, że to nie do końca czysta sprawa, ale czasem tak się robi. Sam wiesz, jak jest, wszyscy tak robią. Gaźniki, akumulatory, buty, złom...

- ...tyle że to nie był złom, Santi, tylko granaty, detonatory, nie wiem, co jeszcze. W koszarach mówią, że można by wysadzić cały Hotel Narodowy.

- Ale ja nie miałem zamiaru niczego wysadzać. Zrobiłem tylko grzeczność, tak jak wiele razy przedtem. To była zwykła przysługa.

- To dla tej dziewczyny? To tej dziewczynie oddałeś przysługę?

Kapral Roman poderwał się jak na sprężynie. Zacisnął pię-

ści i stanął nieustraszenie przed Guillermem. Chodziły mu szczęki i niemal słysząc było zgrzyt zębów.

- Nie twoja sprawa! Nie wtrącaj się do mojego życia! Słyszysz? Tyle razy ci mówiłem. Jestem wystarczająco dorosły, żeby robić to, co mi się podoba, i spotykać się, z kim chcę.

Guillermo zerwał się zraniony i stanął przy oknie. Cała ta afera doprowadzała go do rozpacz. Odwrócił się plecami do Santiaga i wpatrzył w pierwsze gwiazdy pojawiające się na niebie. Na dworze powietrze było czyste i świeże. Piękno krajobrazu kontrastowało ze smutkiem, jaki odczuwał. Odetchnął głęboko i już myślał, że mu ulżyło, ale niestety, rozpacz szybko wróciła.

- Posłuchaj, Santi, musiałem się bardzo starać, aby uzyskać zgodę na widzenie. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile trudu mnie kosztowało, żeby dostać się do ciebie. Jesteśmy skoszarowani, czekamy na rozkazy. Przypadkiem dowiedziałem się, że nie odeślą cię przed upływem dwóch tygodni, dlatego tu przyszedłem.

Znowu zamilkli. Chyba Guillermowi zabrakło już siły, aby mówić dalej. Znając dobrze swego przyjaciela, wiedział, że on nigdy by nie zapłakał, zwłaszcza przy świadkach. Dlatego bardzo się zmieszał, kiedy w ciemnościach Santiago wstał, zbliżył się do niego i przytulił jak bezradne dziecko. Zastygł sparaliżowany, nie wiedząc, co powiedzieć, gdy nagle poczuł lzy przyjaciela na swojej twarzy. Nic więcej nie mógł zrobić, jak tylko mocno go objąć i pocieszać, jakby rzeczywiście był małym dzieckiem. Ale jeszcze bardziej zaskoczyły go szczere słowa Santiaga, które wyszeptał mu przerywanym głosem do ucha:

- Boję się, Guillermo, przysięgam. Nigdy nie myślałem, że powiem coś takiego, ale to szczerza prawda.

Guillermo starał się zachować spokój. Pomyślał nawet, że tak naprawdę to wcale nie kapral San Roman wypowiedział te słowa. Przysiedli na materacu i Santiago próbował się uspokoić.

- Musisz coś dla mnie zrobić, Guillermo. Tylko ty możesz mi pomóc.

Legionista stał się czujny, obawiając się tego, co za chwilę usłyszy. Nie miał odwagi się odezwać.

- Musisz mi pomóc wydostać się stąd. Musisz, Guillermo. Pewnie mój wyjazd na Kanary odwlecze się trochę. Skoro zmarł wódz, sytuacja strasznie się skomplikuje.

- Już dawno strasznie się skomplikowała.

- No właśnie. Nikt się nie przejmie jakimś zasranym kapralem, który zwieje z zasranego karceru. To bardzo proste, Guillermo. Nie wlepią ci za to więcej niż miesiąc paki. I nie będziesz musiał walczyć z arabusami.

- Nie masz prawa mnie o to prosić.

- Wiem, ale gdybyś ty mnie o to poprosił, zrobiłbym to z zamkniętymi oczyma. To bardzo proste, stary. Zresztą tylko mnie grozi niebezpieczeństwo. Oczywiście, jeśli mnie złapią.

- Oszalałeś, San Roman. - Zwracając się do niego po nazwisku, chciał wytworzyć jak największy dystans, aby nie dać się wplątać. - Jeśli cię złapią, na pewno rozstrzelają.

- Już nic gorszego nie może mi się przydarzyć... Musisz tylko przekonać dowódcę, aby przydzielił ci tu wartę. Po południu zawsze wyprowadzają mnie na spacer na koniec pasa, tam gdzie kołują samoloty. Pozwól mi odbiec jakieś dwieście metrów, zanim zaczniesz strzelać. W tym czasie dobiegnę do bazy i wezmę jeden z land-roverów. Reszta to moja sprawa.

- Oszalałeś. Złapią cię, zanim połączysz przewody.

- Nie, bo wezmę wóz policji terytorialnej. Saharyjczycy zawsze zostawiają kluczyki pod siedzeniem z prawej strony... Wiem, że mają taki zwyczaj... O nic się nie martw. Pozwól mi tylko odbiec dwieście metrów, zanim wystrzelisz. Gdybym mógł poradzić sobie sam, ale nie dam rady. Jeśli trafię na jakiegoś zapalonego myśliwego z La Manczy, położę mnie trupem na miejscu.

Guillermo nic nie odpowiedział. Już na samą myśl o tym pocily mu się dłonie. Światła reflektorów hangaru wpadały ukośnie przez okienko. Wstał i sześciometrową celę zaczął przemierzać tam i z powrotem. Już nie słychać było huku startujących samolotów.

- Zapomnij o tym - odezwał się w końcu kapral San Roman. - To brednie. Jeśli stanę przed sądem, to im mniej zarzutów będą mieli przeciwko mnie, tym lepiej. Zresztą nie chcę ci odbierać przyjemności strzelania do Marokańczyków. Przez cały dzień nic nie jadłem... Facet z pustym żołądkiem plecie bzdury.

Nagle Santiago zaczął się wydzierać, próbując ściągnąć uwagę wartowników.

- Zagłodzicie mnie na śmierć! Przeklęte skurwysyny!... Żeby wam gardła poderżnęli!... Pieprzone tchórze! Sukinsyny bez jaj! Jak wpadniecie w łapy Marokańczyków, zapłacą wam za to, co mi robicie.

Wydawało się, że legionistę opętała jakaś siła, która dyktowała mu ten stek obelg. Nawet głos miał zmieniony. Guillermo wycofał się w stronę wyjścia. Nie wiedział, co zrobić ani co powiedzieć. Nagle otworzyły się drzwi celi i stanął w nich ten sam żołnierz z cetmą w ręku i z palcem na spuście. Widząc

go, Guillermo wymknął się na zewnątrz, starając się nie okazać niepokoju. Drzwi celi zatrzasnęły się i znowu zapanaował spokój. Land-rover odjechał i niemal od razu zniknął z widoku.

Znowu samotny, kapral San Roman uchwycił się krat okienka i wystawił nos i usta, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Przyjemny suchy wiatr sprawiał, iż trudno było uwierzyć, że to już koniec jesieni. Po ostatnich deszczach zapach ziemi był jeszcze intensywniejszy niż zwykle. Księżyc w pełni oświetlał wydmy w oddali i w jego blasku widać było skradającego się lisa. Lampy na pasie startowym rzucały ukośne promienie dochodzące aż do baraku. Przez chwilę widział wyraźnie twarz Andii, tak jakby stała przed nim. Wydało mu się, że słyszy jej głos i czuje zapach śniadej skóry. Daleki odgłos trąbki przerwał ciszę i twarz dziewczyny znikła. Delikatny powiew wiatru pieszczącego twarz legionisty sprawiał mu dziwną przyjemność. Jego zapach dodawał mu sił i jakby unosił ponad lotniskiem, nad Al-Ujun i nad Saharą. Z wpółotwartymi oczyma znowu poczuł ten sam niespodziewany dreszcz, który przebiegł mu po ciele pewnego grudniowego ranka 1974 roku, gdy ze zgrzytem otworzyła się kłapa samolotu transportowego Herkules i wysunęła rampa, po której mógł zejść do tego najpiękniejszego i najbardziej porażającego zakątka pustyni. Przez poprzednie dni na poligonie w Saragossie musiał znosić zimny, suchy północny wiatr i nigdy sobie nie wyobrażał, że to, co zastanie na lotnisku w Al-Ujun, odciśnie na nim niezatarte piętno. W ciągu zaledwie paru godzin przeniósł się z anemicznego zimowego światła wprost pod intensywny błękit nieba Sahary. Dziewięćdziesięciu trzech rekrutów, którzy na własne życzenie zmienili przydział

do piechoty na służbę w Legii, wciąż bez ruchu siedziało na ławkach herkulesa, póki przepity głos sierżanta nie wyrwał ich z letargu. „Powstać!” - ryknął legionista. Zanim przebrzmiał rozkaz, wszyscy rekruci poderwali się jednocześnie na nogi. Ale myśli Santiaga San Romana szybkowały już z dala od samolotu C-130. Zbiegł chwiejnym krokiem po trapie, dźwigając swój ekwipunek i rozpinając guziki koszuli, tak jak ci legionieści, którzy czekali na nich na dole, prężąc pierś, z ramionami odrzuconymi w tył, brodą uniesioną w górę i wzrokiem utkwionym w dal.

Pierwszy ustawił się w szeregu, pierwszy wyrównał linię i pierwszy poczuł ciepłe grudniowe powietrze najcieplejszego ze wszystkich grudniów - jakże inne niż w jego rodzinnej Barcelonie! Kiedy obserwował wszystko kątem oka, czuł, jak przenikają go dreszcze. Wśród tyłu odznak, sztandarów i flag jego uwagę przyciągnęły mundury policji terytorialnej; jasne bluzy jeszcze bardziej podkreślały śniady kolor skóry Saharyjczyków. Naprzeciw stał budynek biurowy. Ogromny taras ciągnął się od końca do końca prawie na wysokości dachu, a na tarasie niebieskie i czarne turbany, długie szaty, jak galabije\*, wyglądały niczym specjalnie ustawione, by ożywić rdzawy i monotony pejzaż pustyni. Warkot silników land-roverów, huk obracających się śmigieł herkulesa, rozkazy dobiegające z głośników - wszystko to sprawiało wrażenie przedstawienia przygotowanego dla nowo przybyłych, odgrywanego przez całe lata dla rekrutów przylatujących z Półwyspu Iberyjskiego. I teraz owo przedstawienie miało porwać

\* *Galabija* (arab.) - luźne, długie okrycie, najczęściej w kolorze białym, noszone przez mężczyzn w krajach arabskich (*przyp. kons.*).



i oczarować Santiaga San Romana, gdy wysiądzie z samolotu. Pustynia i twarze Saharyjczyków wydawały mu się najstarsze na świecie. Wszystko pozostawało w idealnej harmonii: krajobraz, światło, twarze tubylców. Szybko jednak wrócił do rzeczywistości, widząc pobladłą twarz Guillerma, swojego wiernego druha; znał go zaledwie od czterdziestu dni, a już stali się nierozłączni. Chłopak był biały jak kreda i z trudem trzymał się w pionie. Santiago natychmiast sobie uświadomił, że jego kolega bardzo źle zniósł podróż. Szepnął mu, aby rozjeździł się w koło, ale Guillermo podniósł na chwilę wzrok i zaraz wlepił go z powrotem w ziemię. Santiago poczuł się w pewien sposób winny, bo w końcu gdyby nie on, jego przyjaciel pełniłby spokojną służbę gdzieś w Saragossie, odliczając spokojnie miesiące dzielące go od przejścia do cywila. Ale na jego drodze stanął Santiago i jeszcze jakiś podporucznik legionista, który przyjechał do Saragossy i opowiadał im o Legii, pokazywał tatuaże, a potem zdjęcia i film na ośmiomilimetrowej taśmie, na którym widać było legionistów paradujących krokiem defiladowym za dowódcą dumnie prężącym pierś.

Wtedy Santiago stwierdził, że Saragossa leży zbyt blisko Barcelony. Próbował obliczyć w pamięci odległość dzielącą Saharę Hiszpańską\* od jego rodzinnego miasta i doszedł do wniosku, że nigdzie nie znajdzie się dalej od Barcelonety niż w Afryce. Tamtego wieczoru jeszcze raz zadzwonił do Montse, aby ją powiadomić, że wyjeżdża na koniec świata. Ale znowu powiedziano mu, że panienki nie ma w Barcelo-

\* Sahara Hiszpańska - nazwa bylej kolonii hiszpańskiej, terytorium należące obecnie do Sahary Zachodniej (*przyp. kons.*).

nie. Dobrze wiedział, że go okłamują. Z impetem rzucił słuchawkę na widelki. Starał się zatrzeć w pamięci wizerunek Montse. Całą noc spędził bezsennie, przewracając się na swojej pryczy, sąsiadującej z pryczą Guillerma. Kiedy odtrąbiono pobudkę i miał wolną chwilę, poszedł do komisji werbunkowej i powiedział porucznikowi: „Chcę być legionistą, panie poruczniku”. Porucznik, nie dając mu czasu do namysłu, podniósł pióro do ust, chuchnął i nagryzmolił nazwisko: Santiago San Roman. Potem spytał: „Umiecie się podpisać, żołnierzu?”. „Tak jest, panie poruczniku”. Legionista podsunął mu dokument i wskazał palcem na dole miejsce, gdzie widniał napis: „Podpis i parafa”, i chociaż Santiago nie wiedział, co znaczy to drugie słowo, podpisał się, bo chciał uciec na koniec świata, wytatuować sobie na ramieniu to samo, co miał porucznik: „Miłość matki”, zapomnieć o Montse i nigdy więcej nie wrócić do Barcelony.

A jednak teraz, widząc wymizerowaną i udręczoną twarz Guillerma, już nie był pewny, czy dobrze zrobił, ciągnąc za sobą przyjaciela, jedyne prawdziwego przyjaciela, jakiego przedtem nie miał. Chociaż to właśnie sam Guillermo uparł się, że wstąpi na ochotnika do Legii, kiedy Santiago pokazał mu świeżo podpisaną kartę przydziału do jednostki. Przypomniawszy to sobie, przez moment poczuł wzruszenie. Nikt jeszcze nie zrobił dla niego tak wiele.

Muzyka dochodząca z głośników umieszczonych na lotnisku przywróciła go do rzeczywistości. Pierwsze takty znanego paso dobrze wstrząsnęły nim do głębi i zupełnie rozstroiły. ***Jak wino z Jerezu i młode wino z Riojy...*** Ta pełna wigoru melodia kontrastowała z obolałymi ciałami rekrutów. ***To są barwy naszej flagi narodowej.*** Na rozkaz dowódcy zaczęli przenosić

manatki do dwóch ciężarówek czekających na początku pasa. *Kiedy jestem na obczyźnie, twe kolory wciąż wspominam...* Santiago nie potrafił już kontrolować swoich myśli. *Czyny twoje noszę w sercu...* Wydawało mu się, że widzi przed sobą twarz Montse. I *pamiętaj, że cię kocham...* „Co powiedziałaś?” - spytała wpatrzona w jego oczy. „I pamiętaj, że cię kocham” - odpowiedział. Wtedy musnęła jego usta w pieszczocie, której już nigdy więcej nie dozna. A on powtórzył: „I pamiętaj, że cię kocham”. A teraz ten pieprzony sierżant wydzierał się na nich, stojąc obok ciężarówki, wymachiwał łapami jak jakiś opętany wiatrak, popędzał ich i nie ustawał w wyzywaniu i lżeniu nowo przybyłych legionistów. Santiago poczuł się urażony, wdrapał się na ciężarówkę i wskoczył na pakę, odnalazł swój worek i usiadł w głębi na kole zapasowym. Gdy rozejrzał się wokół, obraz Montse zatarł się na chwilę w jego pamięci. Twarze Saharyjczyków były koloru ziemi, po której stąpali. Przez moment pomyślał, że stanowią jedność. Wydawało się, że starcy siedzący beczynn timer wokół budynku kwatermistrzostwa spędzili tam całe swoje życie. Przysłaniali sobie oczy dłonią i przypatrywali się rekrutom z mieszaniną współczucia i obojętności. Ciężarówka ruszyła. Muzyka pozostała gdzieś w tyle. Przejeżdżające pojazdy wznosiły kłęby kurzu. Skąpe zarośla rosnące obok asfaltu pokrywał biały pył. Trasa z lotniska do miasta była bardzo krótka. Wkrótce pojawiły się pierwsze zabudowania Al-Ujun. Santiago niemal bez tchu przyglądał się pierwszej kobiecie okrytej milhafem w jaskrawych kolorach. Dźwigając w ręku kosz, kroczyła dostojnie z głową dumnie uniesioną do góry, wyprostowana i gibka. Mijała ją ciężarówka, a ona nawet nie odwróciła głowy. Kiedy wjeżdżali w ciasne uliczki miasta, jej postać nikła w oddali. Santiago nie wiedział, na co

ma patrzeć, bo wszystko go fascynowało. Zanim jeszcze dotarli do koszar, kiedy przejeżdżali obok bazaru, obraz Montse coraz bardziej zamazywał się w jego pamięci. A kiedy zeskakiwali z ciężarówki, był już zupełnie pewny, że to miejsce pomoże mu ostatecznie uleczyć rany duszy.

Kiedy 31 grudnia doktor Cambra rozpoczynała swój całonocny dyżur, nie wyobrażała sobie, że początek nowego wieku będzie oznaczał tak drastyczną zmianę w jej życiu. Nie podejrzewała również, że te wydarzenia pomogą jej podjąć decyzje, do których nie czuła się przygotowana.

Prawdę mówiąc, tej nocy wcale nie musiała pełnić dyżuru, ale zamieniła się z kolegą, ponieważ perspektywa sylwestra, spędzanego samotnie pierwszy raz w życiu, wydawała jej się żalosna. W ciągu ostatnich miesięcy wielokrotnie z własnej woli zastępowała kolegów, ale dyżur w ten dzień, który dla większości oznaczał początek nowego wieku, był rzeczywiście czymś wyjątkowym. Oddział pomocy doraźnej barcelońskiego szpitala Santa Creu i Sant Pau przygotowywał się na nadejście szczególnie burzliwej nocy. Mało kto z personelu oczekiwał, że zdrzemnie się choć parę godzin. Tymczasem aż do północy wezwania do nagłych przypadków były rzadsze i w sumie mniej pilne niż zwykle. Doktor Cambra, choć nie miała zbyt wielu obowiązków, krążyła z miejsca na miejsce, aby nieustannie zajmować czymś myśli. Poszła do szpitalnej apteki,

uzupełniła braki w zapasach gazików w szafce, sprawdziła, czy liczba dostarczonych pojemników z osoczem zgadza się z zamówieniem. Za każdym razem, kiedy wchodziła do pokoju lekarskiego, w którym był włączony telewizor, pochylała głowę i nuciła coś pod nosem, aby nie przyznać się do klęski. Bała się, że w pewnym momencie załame się przy kolegach, tak jak wtedy, kiedy wybuchła płaczem w czasie badania, a pielęgniarka patrzyła na nią przestraszona, nie wiedząc, czy ma ratować lekarzkę, czy staruszkę, która dusiła się, bo żebro ugniatało jej płuca. Teraz, za każdym razem, kiedy słyszała swoje nazwisko wywoływane przez głośnik na oddziale pomocy doraźnej, natychmiast biegła tam, dokąd ją wzywano, nie myśląc o niczym innym, tylko o pracy. Czasami jakiś stażysta albo lekarz dyżurny z mocno przerzedzonymi włosami i orlim nosem przypominał jej Alberta, który ciągle jeszcze był jej mężem. A jednak, w odróżnieniu od poprzednich miesięcy, potrafiła się już uśmiechać. Nawet próbowała sobie wyobrazić Alberta przygotowującego kolację razem z rentgenolożką, odstawioną po siłowni i fryzjerze, mimo iż sam nigdy nie zmył po sobie talerza ani nie zniżył się do tego, by sięgnąć do szafki kuchennej, chyba że po korkociąg. Ostatnim razem, kiedy go widziała, wydawało jej się, że ufarbował siwe skronie i baczki. Wyobraziła go sobie gnącego się w tańcu brzucha przed rentgenolożką i uganiającego się za swoją kochanką wokół stołu w salonie, w jednym z tych dzikich biegów rodem z dżungli, których już od tylu lat z nią nie uprawiał. Uczucia, jakie budził w niej Alberto, przeszły z goryczy w ironię, a potem z ironii w sarkazm. Nigdy sobie nie wyobrażała, że ten mężczyzna, który wypełniał całe jej życie od wczesnej młodości, w ciągu zaledwie dziesięciu miesięcy mógł się zmienić w pustego i fał-

szywego pajaca, prawdziwego skurwysyna. Z trudem przypominała sobie twarz męża z czasów, kiedy go poznała, gdy woził ją po Barcelonie białym mercedesem, nieskazitelnie czystym, błyszczącym, idealnym, takim jak on sam. Lekarz z dziada pradziada, młody kardiolog robiący błyskotliwą karierę, uwodzicielski, inteligentny, piękny. Doktor Cambra nie mogła uwolnić się od wizerunku faceta, który przez dwadzieścia lat był jej mężem, a teraz uganiał się za młodą rentgenolożką. Kiedy wpadła w szpitalnym korytarzu na doktor Carnero, dyżurną anestezjolog, miała jeszcze na ustach ironiczny uśmieszek. Spojrzały na siebie porozumiewawczo.

- Po raz pierwszy widzę kogoś, kto się uśmiecha na dyżurze w sylwestra - powiedziała anestezjolog na jej widok, nie mając nawet czasu, aby się zatrzymać.

- Ktoś musiał być pierwszy, prawda?

Przez głośnik usłyszała, że ją wzywają. Jeszcze zanim skończyli przekazywać wiadomość, już była w izbie przyjęć.

- W czwórce leży dziewczyna, mniej więcej dwudziestoletnia, z pękniętym obojczykiem i złamaną kończyną. Wypadek motocyklowy.

Montse poczuła, jak burzy się jej krew. Poczzerwieniała na twarzy i zaczęło jej walić serce. Pobiegła do gabinetu czwartego. Rzeczywiście była tam blada jak papier dziewczyna, którą zajmowali się pielęgniarka ze stażystą. Na widok wystraszonej twarzy i bezradnej miny pacjentki lekarka poczuła, że dygoczą jej nogi. Próbowwała odzyskać pewność siebie.

- Kto jej zdjął kask? - spytała ostro.

- Przynieśli ją bez kasku. Pewnie nawet go nie włożyła.

Lekarka podniosła dziewczynie powieki i za pomocą małej latarki zbadła źrenice. Nie mogła się powstrzymać, aby nie

chwycić jej za rękę i nie uściskać. Druga ręka zwisała bezwładnie i była bardzo pokiereszowana. Potem delikatnie ucisnęła jej klatkę piersiową, śledzionę, nerki, żołądek, cały czas wypytując: „Czy tu cię boli? A tu?”. Dziewczyna cicho pojękiwała, ale przecząco kręciła głową.

- A więc opowiadaj, jak to się stało.

Dziewczyna zaczęła coś bełkotać, nie była jednak w stanie sformułować zdania.

- Jesteś śpiąca? - spytała lekarka. - Mów dalej, nie zaspiaj. Opowiadaj wszystko, co pamiętasz.

Kiedy dziewczyna próbowała streścić przebieg wypadku, pielęgniarka mierzyła jej ciśnienie.

- Trzeba zrobić spiralną tomografię komputerową.

Stażysta zanotował. Pacjentka mówiła teraz bez przerwy, coraz łatwiej i płynniej.

- Ciśnienie sto osiemdziesiąt na sto dziesięć - poinformowała pielęgniarka.

- Ile masz lat? - spytała lekarka.

- Dziewiętnaście... Czekają na mnie w domu z kolacją.

Doktor Cambra wstrzymała oddech i spojrzała w drugą stronę. Pewnie takie samo zdanie wypowiedziała jej córka pół roku temu, kiedy lekarz na pogotowiu zadał jej pytanie, które ona teraz postawiła nieznamym dziewczynie. Dziewiętnaście. Skończyła w marcu. Kiedy pielęgniarka zabrała pacjentkę, aby zrobić jej tomografię, lekarka wyszła z gabinetu. Śmierć córki nie miała wpływu na jej pracę, nie przestawała jednak o niej myśleć. Tak samo jak ta biedaczka - jej córka miała dziewiętnaście lat, prowadziła motor z kaskiem wiszącym na ręku i w domu czekała na nią matka z kolacją. Ale to do ojca zadzwonili, żeby zawiadomić go o śmierci córki. W szpitalu bar-



dzo dobrze znali nazwisko Alberta. Nawet nie musieli szukać numeru w kalendarzyku zmarłej. Był w notatniku recepcji szpitalnej wśród najczęściej używanych numerów. Nie wiedziała, co ją bardziej drażniło: zwłoka, z jaką powiadomiono ją o śmierci córki, czy fakt, że to jej mąż poważnym i pewnym siebie głosem zakomunikował, iż mała nie żyje. Zresztą pojawił się u niej w domu razem z rentgenologką, jakby potrzebował obecności kochanki, aby popisać się opanowaniem.

Kiedy po godzinie doktor Carnero spotkała Montse w pokoju lekarskim, zauważyła, że jej uśmiech ustąpił miejsca zagubionemu spojrzeniu. Już na pierwszy rzut oka anestezjolog wiedziała, że przyjaciółka znowu jest o krok od wpadnięcia do studni, z której z takim trudem niedawno się wydostała.

- Kawy?

Doktor Cambra skinęła głową. Dobrze na nią działało przebywanie wśród ludzi i rozmowa o cudzych sprawach.

- Jak się czuje mały?

- Dobrze, bardzo dobrze. A ty? Jeszcze przed chwilą szłaś uśmiechnięta korytarzem, a teraz zastaję cię...

- W porządku. Tylko czasami nie potrafię uciec od pewnych myśli.

- To się zdarza wszystkim, Montse. Nie uważaj się za wyjątkową pod tym względem.

- Ani pod tym względem, ani pod innym nie jestem wyjątkowa.

Belen starała się nie przywiązywać szczególnej wagi do słów przyjaciółki. Dobrze wiedziała, że Montse nie potrzebuje frazesów ani rad, tylko czasu, który pomoże zabić jej rany.

- Co robisz jutro, Montse? - spytała.

- Chyba nic specjalnego: obejrzę skoki narciarskie, potem

koncert noworoczny i będę tyła bez skrpułów i wyrzutów sumienia.

- Mogłabyś wpaść do nas na obiad. Matias przywiózł świeżego dorsza. Przecież lubisz tę rybę.

- Dorsz a la Gatito na noworoczny obiad? A gdzie się podział indyk z ryżem, który tak rozślawił naszą kuchnię?

- Dziewczyno, jaka ty jesteś staroświecka!

W tej chwili otworzyły się drzwi do pokoju lekarskiego i stanął w nich internista w lateksowych rękawiczkach i podciągniętej masce.

- Montse, jesteś nam potrzebna.

Doktor Cambra poderwała się i odstawiła na stolik filiżankę z kawą, nie wypiwszy nawet łyka.

- Zgoda - rzuciła przed wyjściem - jutro u ciebie. Jeśli chcesz, nagram ci skoki narciarskie.

- Nie, dziękuję, obejrzę je osobiście. Mój syn je uwielbia.

Między jedenastą a dwunastą trzydzieści na oddziale pomocy doraźnej panował wyjątkowy spokój. Niektórzy wyszli coś przekąsić w bufecie szpitalnym, inni woleli objadać się w pokoju lekarskim smakołykami przyniesionymi z domu. Dla doktor Cambry był to najgorszy moment tej nocy.

Rodzice rannej motocyklistki, przerażeni wypadkiem córki, pojawili się tuż przed wybiciem godziny dwunastej. Doktor Montserrat Cambra poświęciła im szczególną uwagę. A nawet, wbrew szpitalnym przepisom, pozwoliła im zobaczyć się przez parę minut z córką.

- Miała dużo szczęścia - oznajmiła rodzicom płaczącym na widok poturbowanej dziewczyny. - Proszę się nie przerażać rurkami i bandażami. Podajemy jej tylko surowicę i środki przeciwbólowe. Na szczęście uniknęła urazu czaszki. Ma pęk-

nięty obojczyk i złamaną kość piszczelową. Najpoważniejsze to uszkodzenie dłoni, ale po zabiegu chirurgicznym i dobrej rehabilitacji nie powinno być żadnych niepożądanych następstw.

Wysłuchawszy tej części relacji o wypadku, matka wybuchła płaczem.

- Już jest dobrze, proszę mi wierzyć. Za jakiś miesiąc będzie mogła prowadzić w miarę normalne życie.

I próbując pocieszyć rodziców, sama zaczęła wpadać w rozpacz. Pod byle pretekstem uciekła z sali. Kiedy weszła do pokoju lekarskiego, cały dyżurny personel wznosił już toast plastikowymi kubeczkami, sypiąc szczerze konfetti, wykonanym naprędce z kartek papieru. Nowy Rok w bardzo dyskretny sposób wkraczał na oddział pomocy doraźnej. Traumatolog podszedł do Montse i pocałował ją, życząc szczęśliwego Nowego Roku. Był zdenerwowany i jeszcze bardziej niezręczny niż zwykle. O mało co nie wylał kawy wprost na doktor Cambre.

- Nie dzwoniłaś do mnie przez cały tydzień - powiedział lekarz, starając się, aby jego słowa nie brzmiały jak wyrzut.

- Nie mogłam, Pere, naprawdę nie mogłam. Nawet nie wyobrażasz sobie, ile zaległych spraw miałam do załatwienia.

- Jeśli to tylko dlatego...

- Jasne, a niby dlaczego? Jesteś naprawdę wspaniałym facetem.

Lekarz odszedł, zaniepokojony ciekawskimi spojrzeniami. Belen podeszła z tyłu i wyszeptała przyjaciółce do ucha:

- Nie dzwoniłaś do mnie przez cały tydzień, Montse.

Doktor Cambra oblała się pąsem i pomyślała, że wszyscy się na nią gapią.

- Jesteś naprawdę wspaniałym facetem - ciągnęła anesteziolożka, naśladując sztuczny głos Montse.

- Czy mogłabyś się zamknąć? Przecież może cię usłyszeć...

- Kto, Pere? Nie wiesz, że jest głuchy na jedno ucho? Sama go znieczulałam do operacji trzy lata temu.

- Ale z ciebie wiedźma!

- A ty jesteś trochę nieświadomiona, jak widzę. Nie wiedziałas, że Pere jest najbardziej pożądanym kawalerem w całym szpitalu?

- A ty nie wiedziałas, że ten najbardziej pożądanym kawaler ma zardzewiały kurek?

Anesteziolożka podniosła rękę do ust, robiąc zaskoczoną minę.

- Nie mów!

- Przysięgam!

- Nikt nie jest doskonały, kochana.

Reszta dyżuru upłynęła, tak jak prawie wszyscy się spodziewali: bieganina po szpitalnych korytarzach, ciągle trzaskanie drzwiami, przestawianie noszy. Ten dyżur nie różniłby się zbytnio od innych, pełnionych od lat w szpitalu przez doktor Cambre, gdyby nie spiętrzenie przypadków, które zdarzyły się w ciągu pierwszych godzin nowego stulecia.

O godzinie trzeciej piętnaście karetka pogotowia ratunkowego szpitala miejskiego w Barcelonie wiozła na sygnale mniej więcej dwudziestopięcioletnią ciężarną kobietę, Arabkę, potrąconą na postoju taksówek na lotnisku. Pierwszy przypadek: karetka wioząca kobietę z prędkością ponad dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę Gran Via de les Corts Catalanes natknęła się mniej więcej na wysokości Carrer de

Badał na korek spowodowany zderzeniem trzech pojazdów, które zaczęły płonąć. Była to najkrótsza droga do szpitala miejskiego, ale ponieważ nie dało się przecisnąć między wozami strażackimi i radiowozami policji, które wezwano na miejsce wypadku, karetka pojechała aleją, aby dotrzeć do najbliższego szpitala. Drugi przypadek: kiedy kierowca karetki skontaktował się przez radio ze szpitalem Clinic i Provincial, powiadomiono go, że właśnie czekają na czworo rannych z wypadku z poważnymi oparzeniami, i poradzono mu, aby postarał się dotrzeć do pierwszego wyznaczonego miejsca. Trzeci przypadek: kiedy karetka miała skręcić na Placa de les Glories Catalanes, żeby wjechać w Diagonal w kierunku szpitala miejskiego, podczas szybkiego manewru kierowca pomylił się i wjechał w złą aleję. Czwarty przypadek: kiedy kierowca próbował zorientować się w labiryncie identycznych ulic, zatrzymał karetkę tuż przed wejściem głównym do szpitala Santa Creu i Sant Pau i zanim zrozumiał, gdzie jest, nagle dostrzegł czerwone światła szpitalnego oddziału pomocy doraźnej. Kiedy sanitariusze z noszami przekraczali próg szpitala, kobieta nie dawała już oznak życia. Pielęgniarka od razu stwierdziła, że poszkodowana nie żyje. Piąty przypadek: kiedy doktor Cambra zajmowała się staruszką cierpiącą na atak astmy, ochroniarz i sanitariuszka postawili obok niej nosze ze zmarłą ciężarną kobietą. Coś, co trudno określić, sprawiło, że doktor Cambra zainteresowała się ofiarą. Być może spowodowała to jej niezwykła uroda albo kolor okrywających ją szat, a może zaawansowana ciąża, w każdym razie coś przykuło uwagę doktor. Chociaż nikt jej o to nie prosił, bezskutecznie starała się odnaleźć puls na szyi kobiety, potem uniosła powieki i zauważyła rozszerzone źrenice oraz brak reakcji na światło, dla-

tego z całą pewnością stwierdziła, że nie żyje. Twarz kobiety była bardzo spokojna, jakby umarła z lekkim uśmiechem. Tymczasem w recepcji zaczęło się zamieszanie i wybuchła kłótnia między pracownikiem administracyjnym a sanitariuszami z karetki. Doktor Cambra mimowolnie dowiedziała się wszystkich szczegółów. Mąż ofiary, któremu nie pozwolono wsiąść do karetki, złapał taksówkę, aby pojechać do szpitala miejskiego, gdzie z pewnością dopytywał się teraz o żonę. Wszystkie papiery: paszport i reszta dokumentów, wystawione były w języku arabskim i teraz nie wiedzieli, kogo zawiadomić o zgonie. Doktor Cambra, bez zbytejnego zapału, wtrąciła się do rozmowy i próbowała znaleźć rozsądne wyjście.

- Zadzwońcie do izby przyjęć szpitala miejskiego i wyjaśnijcie, co się stało. Kiedy dotrze tam mąż ofiary, niech go tu skierują.

Spojrzeni na siebie z wyraźnym zmęczeniem, typowym dla godziny trzeciej trzydzieści w nocy.

- I nie mówcie, że umarła.

Doktor Cambra powróciła znowu do ciała o niezwyklej, pełnej spokoju twarzy. Gdyby nie stan faktyczny, pomyślałaby, że jest to oblicze osoby szczęśliwej. Wzięła kartę zgonu i podczas gdy sanitariusze rozkładali na stoliku zawartość torebki i kieszeni zmarłej, lekarka oceniała rany i starała się dociec, w jaki sposób doszło do zejścia. Obliczyła, że denatka była mniej więcej w piątym, szóstym miesiącu ciąży. Zaznaczyła w formularzu przypuszczalny wiek ofiary: dwadzieścia pięć lat. Nie potrafiła powstrzymać przeszywającego ją dreszczu, kiedy zapisywała tę liczbę. Przez chwilę widziała siebie samą w tym wieku, przytuloną do ramienia Alberta czy tańczącą z nim w Cadaques, w ciąży, przeszywaną zazdrośnymi spojrzeniami

dziewcząt z Barcelony, które spędzały lato nad morzem. Kolejny przypadek sprawił, że kiedy się oparła, aby wygodniej pisać, stoliczek przechylił się i wszystkie rzeczy zmarłej spadły na podłogę. Być może sprawa nie nabrałaby większego znaczenia, gdyby doktor Cambra, schylając się, nie dostrzegła kilku zdjęć, wśród których szczególnie jedno przykuło jej uwagę.

Na tej czarno-białej fotografii w samym środku widać dwóch mężczyzn, ujętych od kolan w górę. Są mniej więcej tego samego wzrostu. Obaj patrzą w obiektyw, uśmiechając się tak, jakby czuli się najszczęśliwsi w świecie. Za nimi widać tył land-rovera z kołem zapasowym na klapie. Z drugiej strony, w głębi, rozstawione rzędem namioty Beduinów, ciągnące się aż do brzegów fotografii. Między namiotami stadko kóz, których sierść zlewa się z kolorem ziemi. Obaj mężczyźni obejmują się ramionami jak dwaj przyjaciele. Stoją tuż obok siebie: niemal stykają się twarzami. Jeden z nich o wyraźnych arabskich rysach jest w mundurze wojskowym i wyciąga lewą rękę na znak zwycięstwa. Drugi, pomimo swego stroju, wygląda na Europejczyka; ubrany jest w stylu Lawrence'a z Arabii w obszerną jasną galabiję i ciemny rozwiązany turban, którego koniec swobodnie opada mu na ramiona. Ma krótko obcięte włosy i niemodny wąsik. Prawą ręką podnosi broń w geście jakby wyjętym z kadru filmowego. Jednak najbardziej zwraca uwagę uśmiech widoczny na twarzach obu mężczyzn.

Już od pierwszej chwili to zdjęcie wywołało niezrozumiałe zaskoczenie doktor Cambry. Teraz, kiedy trzymała je w drżących dłoniach, wiedziała już, jaki jest tego powód: mężczyzna z wąsikiem i w ubraniu rodem z pustyni to był Santiago San Roman. Przesunęła palcem po zdjęciu, niemal przekonana,

że to przywidzenie. A jednak miała coraz mniej wątpliwości. Odruchowo odwróciła fotografię i zobaczyła nabazgrołony po arabsku, trochę zatarty napis, który wyglądał na dedykację. A pod nim bez trudu dało się odczytać: „Tifariti, 18.I.1976”. Data była tak wyraźna, że nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Jeśli Santiago San Roman zginął w 1975 roku, tak jak jej powiedziano, ten chłopak nie mógł być tym samym, który pewnego upalnego lipcowego popołudnia - dwadzieścia sześć lat temu - zagadnął ją i jej nierozłączną przyjaciółkę, Nurię, kiedy czekały na autobus na przystanku w alei Generała Franco.

Zdarzyło się to na początku lata 1974 roku. Montse nie zapomniała o tym mimo upływu lat. Po raz pierwszy jej rodzice wyjechali na wakacje do Cadaques, a ją zostawili samą w domu. Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy w życiu nie była sama. Tego lata zresztą też nie. W ich mieszkaniu na Via Layetana\* została gosposia, Mari Cruz, która gotowała, słała łóżko, sprzątała i zajmowała się nią. Montse przed miesiącem skończyła osiemnaście lat i jednocześnie zdała egzaminy maturalne, uzyskując najlepsze oceny. Jednak jej ojciec uznał, że zanim zacznie studiować medycynę, musi osiągnąć coś więcej oprócz wspaniałego świadectwa. Dlatego Montse po raz pierwszy w swoim osiemnastoletnim życiu, a na dodatek wbrew własnej woli, musiała zostać na całe wakacje w mieście. A kiedy dni nad morzem mijały monotennie i jednostajnie, ona mu-

\* Akcja tego wątku rozgrywa się w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy w Katalonii językiem urzędowym był hiszpański, dlatego nazwy ulic i placów podane są w tym języku (*przyp. tłum.*).



siała rano i po południu uczęszczać na zajęcia, aby doksztalić się z matematyki, chemii oraz opanować język niemiecki.

Uczelnia Świętej Teresy mieściła się na półpiętrze budynku przy alei Generała Franco. Na pierwszym piętrze w szkole tańca na intensywnych kursach letnich lekcje trwały od ósmej rano aż do dziewiątej wieczór. Kiedy Montse i Nuria próbowały skupić się nad logarytmami Nepera, ławki szkolne drżały w rytmie sewiliany albo poddawały się urywanym taktom tanga. W takich warunkach wzrok łatwo gubił się gdzieś za oknem, a wraz ze wzrokiem znikwała uwaga, umykając w ślad za jakimś przystojnym chłopcem, albo rozpraszała się na widok wystaw sklepowych po drugiej stronie ulicy. Ale monotonia tamtego lata bardzo szybko została przerwana w pierwszych dniach lipca, a dokładnie pewnego popołudnia, kiedy Montse i Nuria czekały na autobus bez zbędnych złudzeń, że cokolwiek uwolni je od letniej nudy i upału.

Być może właśnie nuda sprawiła, że obie przyjaciółki wpatrzyły się w biały kabriolet z ogromną tablicą rejestracyjną, który zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Auto było zagraniczne, pewnie amerykańskie. Oprócz niespotykanego modelu uwagę dziewcząt przyciągnęło jeszcze to, że w kabrioecie siedziało dwóch przystojnych, elegancko ubranych chłopców, którzy nie spuszczali z nich wzroku. Przyjaciółki nie odważyły się odezwać, chociaż wiedziały, że wcześniej czy później zdarzy się coś naprawdę niezwykłego. I rzeczywiście, wykonując widowiskowy, a zarazem ryzykowny manewr, kabriolet przeciął aleję i zatrzymał się przed przystankiem autobusowym. Wtedy po raz pierwszy Montse zobaczyła Santiaga San Romana. Chociaż chłopak miał zaledwie dziewiętnaście lat, brylantyna, ubranie i samochód sprawiały, że wydawał się starszy. Wraz

z kolegą wysiadł z kabrioletu i podszedł do dziewcząt. „Właśnie zawiesili ruch autobusowy na tej linii - powiedział z akcentem, który od razu zdradził, że nie jest Katalończykiem. - Właśnie dowiedzieliśmy się o tym, ja i Pascualin". Ludzie czekający na przystanku spojrzeli z niedowierzaniem, wątpiąc w słowa obcego. Tylko Montse i Nuria uśmiechały się zaciekawione. „To kwestia dwóch, najwyżej trzech dni" - dodał Pascualin. „Jeśli nie chcecie tak długo czekać, my, wierni słudzy, możemy was podwieźć, dokąd tylko sobie życzycie". Mówiąc te słowa, Santiago wskazał im szpanerski wóz. Pascualin otworzył drzwi z prawej strony i Montse pod wpływem impulsu, jaki poczuła pierwszy raz w życiu, powiedziała do przyjaciółki: „Chodź, Nuria, podwożą nas". Przyjaciółka usiadła z tyłu obok Pascualina, a Montse zajęła imponujący fotel z jasnobeżowej skóry, szeroki, elegancki, luksusowy. Santiago zawahał się chwilę, wytrzeszczając szeroko oczy, jakby nie mógł uwierzyć, że dziewczyny przyjęły jego zaproszenie. Szczerze mówiąc, zdenerwował się, kiedy usiadł za kierownicą i usłyszał pytanie Montse: „A ty jak masz na imię?". „Santiago San Roman, do usług" - odpowiedział z naiwną galanterią, która wydawała się śmieszna.

To było największe szaleństwo, jakie popełniła Montse w swoim osiemnastoletnim życiu. Siedząc obok Santiaga, nagle poczuła, że nuda i upał tego lata znikły. Cała czwórka jechała w milczeniu, rozkoszując się chwilą i doznaniem, każde z nich pogrążone we własnych myślach. Dlatego kiedy okrążyli Plaza de la Victoria i przejechali obok Via Layetana, Montse nie odezwała się. Jak w pochodzie triumfalnym wjechali na Plaza de las Glorias Catalanas. Od czasu do czasu Santiago zerkał na dziewczynę albo otwarcie się na nią gapił,

kiedy poprawiała włosy rozwiane lekką bryzą. W końcu zatrzymali się przy dworcu Pueblo Nuevo. Wiatr od morza niósł zapach gnijących glonów. Kiedy kabriolet stanął, Montse otworzyła oczy, jakby budząc się ze słodkiego snu. „Dlaczego się zatrzymałeś? - spytała z udawaną pewnością siebie. - Przecież tu jest strasznie brzydko”. „W porządku, ale nie powiedziałyście, gdzie mieszkanie”. „Na Via Layetana” - pośpiesznie rzuciła Nuria, trochę bardziej niespokojna niż jej przyjaciółka. Santiago zawrócił i zaczął jechać w przeciwną stronę. Nagle Montse rozwiązał się język i zaczęła go wypytywać o wszystko. „Ten samochód należy do mojego ojca. Mnie jeszcze nie stać na kupno cadillaca”. „W banku, pracuję w banku. Mój ojciec jest dyrektorem i ja też nim zostanę pewnego dnia”. „Tak, Pascualin też. Obaj pracujemy w tym samym banku”. Tymczasem Pascualin i Nuria nie wtrącali się do rozmowy. Odpowiadając na kolejne pytania, Santiago wkraczał w labirynt, z którego coraz trudniej było mu się wydostać. „Tu się zatrzymaj. Nuria musi wysiąść” - powiedziała niespodziewanie Montse. Prawdę mówiąc, dziewczyny mieszkały po sąsiedzku, ale Nuria szybko zrozumiała intencję przyjaciółki i wysiadła, aczkolwiek trochę niechętnie, z cadillaca. „Nie odprowadzisz jej?” - zganiał Santiago Pascualina.

Kabriolet sunął ulicą, póki nie zatrzymał się w miejscu, które wskazała Montse. Po raz pierwszy spojrzała chłopakowi głęboko w oczy i wydał jej się najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Pozwoliła mu dalej kłamać. Natomiast Santiago nie zadawał jej żadnych pytań. Dosyć się nabiedził, żeby wyjść z twarzą z ciągłego indagowania przez Montse. W końcu, wyczerpany, stwierdził: „To mi przypomina przesłuchanie”. „Przeszkadza ci, że cię wypytyję?” „Skądże znowu, coś ty!

Wcale mi nie przeszkadza". „Rozumiesz, kiedy wsiadam do samochodu z chłopakiem, lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia - wyjaśniła mu Montse w trochę pretensjonalny sposób. - Nie myśl sobie, że robię to codziennie". „Ależ skąd! Wcale tak nie myślę. Chodzi o to, że ja ci opowiedziałem wszystko, a ty..." „Co chcesz wiedzieć?" - spytała dziewczyna. Santiago zawahał się chwilę, zanim zadał pytanie: „Masz narzeczonego?". Po raz pierwszy Montse poczuła się niepewnie. Tym razem to ona namyślała się moment, zanim udzieliła odpowiedzi: „Narzeczonego?... Narzeczonego może nie, ale mam różne sympatie - odpowiedziała, próbując wyjść z twarzą. - A ty masz narzeczoną?". „Skądże znowu! Nie lubię się wiązać". Ale zanim skończył zdanie, już pożałował swoich słów. Dlatego, zmieszany i nie bardzo wiedząc, co robi, położył dziewczynie rękę na ramieniu i delikatnie pogłaskał po szyi. Montse, też odruchowo, zbliżyła twarz i pocałowała go w usta. Kiedy jednak Santiago próbował ją przyciągnąć i pocałować mocniej, dziewczyna bez trudu odsunęła go i udała oburzenie. „Muszę iść - powiedziała - już późno". Otworzyła drzwi, wysiadła z samochodu i zatrzymała się dopiero, kiedy Santiago krzyknął do niej zrozpaczony: „Spotkamy się któregoś dnia?!". A ona, jak obrażona mała dziewczynka, wróciła do samochodu, położyła książki na masce, napisała coś w notatniku, wyrwała kartkę, wsunęła za wycieraczkę, wzięła książki i, oddaliwszy się parę kroków, odwróciła się i zawołała: „Najpierw do mnie zadzwoń! Tam masz numer. Zapisałam ci także adres, numer piętra i mieszkania, żebyś nie musiał wypytywać sąsiadów". Nie dodając nic więcej, podeszła do bramy i z trudem otworzyła wielkie, ciężkie żelazne drzwi. Santiago nie miał czasu odpowiedzieć.

Zanim jeszcze Montse zniknęła w bramie domu, śledził ją wzrokiem, wpatrując się w jej cień. Dziewczyna nie miała cierpliwości czekać na windę. Wbiegła na górę, pokonując co drugi schodek, otworzyła z impetem drzwi, rzuciła książkę na podłogę i wpadła do pokoju, nie witając się nawet z gospożą, Mari Cruz. Z balkonu swojego pokoju ledwie dostrzegła kabriolet włączający się do ruchu, jadący w stronę portu i powoli znikający jej z oczu. Zdążyła jednak zauważyć, że za wycieraczką nie było już kartki z notatnika. Wyobraziła sobie, że złożona na cztery części, leży schowana w kieszonce koszuli Santiaga: w białej, nieskazitelnie czystej i starannie wyprasowanej koszuli, z rękawami zawiniętymi za łokcie, świadczącej o schludności i elegancji, co wyraźnie kontrastowało z klasą i pochodzeniem społecznym, które ten chłopak usilnie próbował ukryć.

Doktor Montserrat Cambra szła korytarzem oddziału pomocy doraźnej, pogrążona w dziwnych myślach. Kurczowo trzymała kieszeń fartucha, jakby się bała, że ktoś jej wyciągnie zdjęcie, które zabrała zmarłej. Przez moment nie wiedziała nawet, gdzie się znajduje. Nagle wydało się jej, że wszyscy na nią patrzą. Tymczasem żadna z osób przechodzących korytarzem nawet na nią nie spojrzała. Weszła do pokoju lekarskiego i zamknęła drzwi tak, jakby ją ścigali. Z trudem łapała oddech. Usiadła i połknęła pastylkę. Ostatnią z fiołki. Na stole ciągle jeszcze stała kawa, którą parę godzin temu zrobiła dla niej Belen. Wypiła ją jednym haustem i nawet nie zauważyła, że jest zupełnie zimna. Podniosła słuchawkę telefonu stojącego na stole, wybrała numer recepcji i drżącym głosem powiedziała:

- Tu doktor Cambra. Mam do pani prośbę. Kiedy przyjdzie mąż kobiety przywiezionej z lotniska, proszę mnie o tym uprzedzić. Niech pani nie zapomni... nawet gdybym była zajęta. Proszę mnie zawiadomić. To bardzo ważne. Dziękuję.

Po odłożeniu słuchawki, wsunęła rękę do kieszeni fartucha i dotknęła zdjęcia. Usiadła, mocno zaciskając dłoń. Miała trudne do wytłumaczenia wrażenie, że w pewnej chwili zdjęcie może zniknąć i wszystko rozwieje się jak we śnie. Byłby to jeszcze jeden sen kończący się koszmarem.

Szpital w Smarze w porze południowej sprawia fantasmagoryczne wrażenie. Na dworze oślepiające rozżarzone słońce i suchy męczący wiatr utrudniają normalne życie. Wewnątrz, pogrążone w półmroku, puste i ciche korytarze, krzyżujące się ze sobą jak pajęczyna, wiodą do środka budynku. Szpital w Smarze, widziany z daleka, wygląda jak fatamorgana pojawiająca się znienacka na straszliwej hamadzie Sahary.

Pułkownik Mulud Lahsen w mundurze oliwkowej barwy wchodzi do pomieszczeń sanitarnych, strząsa pył z ubrania i odsuwa skraj turbanu z twarzy. Szofer, nie wysiadając z toyoty, czeka na niego w pełnym słońcu. Mulud Lahsen nie zdejmuje okularów słonecznych, chociaż w korytarzach szpitalnych jest ciemno. Nagle, po przekroczeniu progu szpitala, wydaje mu się, że pustynia pozostała gdzieś bardzo daleko. Wokół czuć zapach środków odkażających. Pułkownik marszczy nos, jakby po tylu latach nie przyzwyczał się jeszcze do tak intensywnej woni. Zna szpital jak własną kieszeń. Widział, jak rósł od fundamentów, kiedy nie było niczego prócz piasku i kamieni. Pewnym krokiem idzie po labiryncie wymarłych

korytarzy. Nie natknąwszy się na nikogo z personelu, staje wreszcie przed drzwiami gabinetu dyrektora. Wchodzi bez pukania. Dyrektor to niziutki niespokojny mężczyzna. Siedzi za biurkiem z głową pochyloną nad stertą papierów; na nosie ma okulary w szylkretowej oprawce. Resztkę rzadkich włosów przyprószyła siwizna. Ma ogorzałą, spaloną słońcem twarz. Na widok stojącego w drzwiach pułkownika mężczyzna uśmiecha się szeroko. Obaj zaczynają się długo witać i kwieście wyrażać po arabsku, patrząc sobie przy tym w oczy i ściskając dłonie.

Pułkownik Mulud Lahsen jest postawny i bardzo tęgi. Przy nim dyrektor szpitala w Smarze wygląda niepozornie.

- Mulud, Mulud, Mulud - powtarza dyrektor, kiedy kończą przydługie powitanie i wreszcie przestają się trzymać za ręce.

- W fartuchu i okularach naprawdę wyglądasz jak lekarz.

Dyrektor uśmiecha się. Znają się od dziecka, jeszcze zanim musieli opuścić swój kraj.

- Jesteś ostatnią osobą, jaką spodziewałem się dzisiaj zobaczyć - mówi.

- Chciałem przyjechać wcześniej, ale długi czas mnie tu nie było.

- Słyszałem o tym. Jak się czuje minister?

- Ciągle ma gorączkę - oznajmia pułkownik z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Minister zdrowia z gorączką? Czy on nie wie, że w naszym szpitalu mamy nadmiar łóżek?

Obaj wybuchają głośnym śmiechem. Pułkownik zdejmuje okulary słoneczne i kładzie je na biurku. Ma rozognione oczy.

- Jest okropnie uparty. Przecież go znasz.

- Ależ tak, oczywiście, bardzo dobrze go znam...



W trakcie rozmowy dyrektor wyjmuje szklanki z szafki i ustawia je na stole. Potem zapala kuchenkę gazową. Nalewa wody do czajnika i stawia go na palnik.

- A tu co słyhać? - pyta pułkownik.

- W porządku, jak zwykle. Właśnie kończymy instalować najnowszą aparaturę. Wszyscy starają się ją uruchomić.

- Pewnie dlatego w szpitalu panuje taki spokój?

- Tak. Prawdę mówiąc, to dzisiaj nikogo nowego nie przyjęliśmy. Pielęgniarki kończą organizowanie szpitalnej biblioteki i próbują zaznajomić się z nową aparaturą do analiz. Wszystkie instrukcje i napisy na odczytnikach są po niemiecku.

- Nie przybył nikt nowy?

- Aaa... dzisiaj wypisaliśmy chłopca, którego bolały zęby trzonowe.

- I nic więcej?

- Szczerze mówiąc, coś się zdarzyło... Już prawie o tym zapomniałem. Od jakichś trzech tygodni przebywa u nas kobieta, cudzoziemka. Ponieważ codziennie ją badam, już prawie zapomniałem, że nie należy do personelu szpitalnego. Była o krok od śmierci.

- Kobieta? Cudzoziemka?

Dyrektor przestaje parzyć herbatę i podchodzi do pułkownika. Bardzo delikatnie unosi mu powieki.

- A teraz sprawdzimy twoje oczy.

Pułkownik Mulud cierpliwie pozwala się badać. Lekarz odciąga mu szeroko powieki i uważnie przygląda się błonie spojówkowej.

- Wysłałem wam wiadomość następnego dnia po jej przybyciu. W raporcie podałem wszystkie szczegóły przyjęcia jej

do szpitala. Zdziwiłem się, że się nie odzywałeś, ale tyle dokumentów ginie w drodze.

Dyrektor opowiada, jednocześnie dokładnie badając oczy Muluda.

- Masz ostre zapalenie spojówek.

- To przez wiatr.

- I przez słońce. Wczoraj dałbym ci krople do oczu, ale dzisiaj już się skończyły. Jeśli wpadniesz do mnie za jakieś piętnaście dni, być może będę mógł coś dla ciebie zrobić. Nie podoba mi się stan twoich oczu.

Pułkownik szuka czegoś pod bluzą i w końcu wyciąga jakiś papier. Rozkłada go na biurku. Dyrektor przypatruje się dokumentowi i od razu poznaje własne pismo.

- A jednak dostałeś w Rabuni\* mój raport.

- Znalazłem go przedwczoraj między dokumentami, które miałem przedstawić w ministerstwie. Mówiłem ci, że przez pewien czas nie byłem na Saharze. Ale to, co mówisz, zaintrygowało mnie.

- Dla mnie to też jakiś niesamowity przypadek. Dlatego chciałbym wiedzieć, co powinienem zrobić.

- Mówisz, że kobieta żyje.

- Tak, chociaż jeszcze tydzień temu miałem wątpliwości, czy wyjdzie z tego.

Obaj mężczyźni milczą przez chwilę. Dyrektor przeciera bawełnianą ścierką dwie szklanki, póki nie zaczną błyszczeć.

- Właściwie nic pewnego nie wiemy, co jej się przydarzyło. Cieszę się, że jesteś, bo mogę przynajmniej z tobą o tym porozmawiać.

\* *Rabuni* - miasto w Saharze Zachodniej, ważny ośrodek administracyjno-polityczny, położony 20 kilometrów od Tindufu w Algierii (*przyp. tłum.*).

- A więc opowiadaj...
- Przed miesiącem pojawił się tu patrol wojskowy z umierającą kobietą.
- Powiedziałeś: patrol?
- Dwaj mężczyźni w terenówce. Zgodnie z ich relacją wyjechali tego samego dnia rano z całą grupą ze Smary w stronę muru\*.
- Nie pamiętasz żadnego nazwiska?
- Nie. Nigdy ich nie widziałem i nie przedstawili się.
- To wszystko brzmi bardzo dziwnie. Żaden patrol nie zameldował o znalezieniu tej kobiety, ani tym bardziej o tym, że przetransportował ją do twojego szpitala.
- Zgodnie z ich wyjaśnieniami należeli do konwoju, który jechał do wolnej strefy. Na podstawie ich skąpych wyjaśnień wywnioskowałem, że wyjechali ze Smary o świcie i w odległości trzydziestu kilometrów od miasta znaleźli samotną kobietę na środku pustyni. Była jedną z naszych i z daleka dawała im znaki, aby przyciągnąć ich uwagę. Kiedy podjechali do niej, wyjaśniła, że dzień drogi na północ zostawiła umierającą kobietę. Z jej słów wynikało, że kobietę ugryzł skorpion.
- Jedna z naszych, sama na środku pustyni?
- Tak opowiadali.
- Rozmawiałeś z nią?
- Nie przyjechała z nimi samochodem. Została w miejscu, w którym ją znaleźli, trzydzieści kilometrów od Smary. I na

\* *Mur* - wał zachodniosaharyjski, zwany też marokańskim; 3-metrowa fortyfikacja z kamieni i piachu o łącznej długości 2500 kilometrów, otoczona polem minowym między tzw. wolną strefą a częścią okupowaną przez Marokańczyków. Wzniesiony w celu ochrony okupowanego terytorium przed atakami bojowników Frontu Polisario, walczącego o niepodległość Sahary Zachodniej (przyp. tłum.).

dodatek sama, bo konwój, jak mówili, pojechał w stronę muru.

- To wszystko brzmi bardzo dziwnie.

- Mnie także wydało się to dziwne, dlatego wysłałem raport do ministerstwa. Myślałem, że wcześniej prześlą mi odpowiedź.

Pułkownik Mulud przemilcza tę uwagę. Próbuje znaleźć jakieś logiczne wyjaśnienie. W końcu pyta:

- Czy któryś z żołnierzy udzielił ci jakichś dodatkowych informacji na temat tych dwóch kobiet?

- Bardzo się śpieszyli. Chcieli jak najszybciej wyruszyć. Dla nich to był tylko dodatkowy kłopot. Zasugerowałem, że powinni sporządzić raport, opisując całą sytuację, ale tylko zmierzyli mnie wzrokiem.

- To przecież ich obowiązek.

Dyrektor szpitala nalewa herbatę do szklanek. Odgłos spadającej z wysoka wody rozbrzmiewa w całym gabinecie. Przez chwilę słowa gdzieś giną i dwaj mężczyźni popadają w zamyślenie, wpatrzeni w błyszczącą tacę.

Przez chwilę Aza była pewna, że zginie. Uciekała zakosami, starając się unikać linii prostej. Biegła pod słońce i to dawało jej lekką przewagę, ale nogi poruszały się znacznie wolniej, niż nakazywał im mózg. Umykała męczącym zygzakiem, wypatrując jakiegoś wzniesienia na tym pustynnym terenie, małego pagórka czy też wgłębienia, w którym mogłaby przyucupnąć. Zrozpaczona beznadziejną sytuacją, wybrała najmniej odpowiednie miejsce. Rozdygotane nerwy przeszkadzały jej w podjęciu rozsądnej decyzji. Zanim zdała sobie z tego sprawę,

już biegła po sypkim piasku. Jej kroki stawały się coraz krótsze i bardziej niezdarne. Przy każdym ruchu zapadała się aż po kostki w miazgi gruntu. Dobrze wiedziała, że miała zaledwie niewielką przewagę nad swoimi prześladowcami. Nawet nie chciała odwracać głowy, żeby to sprawdzić. W końcu zaczęła kroczyć ze wzrokiem wbitym w ziemię, tym razem trzymając się linii prostej. Czowała, jak bardzo ciężą jej ramiona. Palły ją też nogi. Na dodatek milhaf przeszkadzał w marszu, ale nie chciała go ściągać i odrzucać od siebie. Nagle bardzo wyraźnie usłyszała dobrze jej znany metaliczny trzask. Ktoś ładował karabin i robił to bez pośpiechu. Resztkami sił, które wydobyla nie wiadomo skąd, znowu udało jej się przebiec kilka metrów. W tej właśnie chwili nieoczekiwanie zerwał się silny wiatr. Mimo jego wycia usłyszała, jakby tuż koło siebie, odgłos wystrzału. Milhaf owinał jej się wokół nóg i nagle kobieta upadła na suchy pustynny piasek. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że początkowo nie wiedziała, czy sama się przewróciła, nadepnąwszy na skraj milhafu, czy upadła obalona pociskiem.

Teraz słyszała już tylko wycie wiatru, wznoszącego ogromne tumany piasku. Bolało ją całe ciało, ale powoli odzyskiwała jasność umysłu. Leżąc na ziemi, nie widziała swoich prześladowców, a zatem oni także musieli ją stracić z pola widzenia. Poruszyła się nieznacznie i, nie wstając, delikatnie pomacała plecy. Nie wyczuła krwi ani rany: kula prawdopodobnie przeszła obok. Niemal instynktownie przywarła do ziemi i oburącz zaczęła wykopywać jamę. Piasek był bardzo miękki, a wiatr pomagał jej w tym zadaniu. Sama była zaskoczona swoją niezwykłą energią. Rozgrzebywała piach także stopami, kolanami i całym ciałem. W ciągu paru minut wykopała sporą dziurę. Już leżąc w dołku, naciągnęła milhaf na twarz i zaczęła zaszy-

pywać się piaskiem. Wiatr dokończył dzieła. Po chwili była już zupełnie schowana, z twarzą ukrytą parę centymetrów pod powierzchnią. Wciąż słyszała zawroźnienie wiatru, a gdy zaczął wiać w inną stronę, dochodziły ją nawet głosy Monsieur i jego ludzi.

Aza wielokrotnie słyszała opowieści starych ludzi o wojnie. Potem przestała na nie zwracać uwagę, ale nigdy o nich nie zapomniała. W latach siedemdziesiątych wielu saharyjskich pasterzy stało się partyzantami i stosowało metody walk swoich przodków. W zasadzkach na wojska marokańskie Saharyjczycy często wykorzystywali metodę zagrzebywania się w ziemi. Wujek Azy wielokrotnie opowiadał jej, jak leżał przykryty piaskiem i czuł, że czołg wroga nad nim przejeżdża. Trzeba było zachować zimną krew; to także często powtarzał jej wujek. Aza, ukryta w ziemi, próbowała sobie przypomnieć te historie. Teraz żałowała, że nie słuchała uważniej ani nie doceniła przydatności sposobów walk stosowanych przez partyzantów.

Serce łomotało jej w piersi jak bomba przed wybuchem. Aza dobrze wiedziała, że jej największym wrogiem są nerwy. Starła się myśleć o miłych rzeczach. Pomyślała o swoim synu, o matce. Przypomniała sobie promenadę Malecón w Hawanie i jeżdżące tam staroświeckie samochody. Pustynny samum przypominał jej wiatr z Karaibów, który podnosił ogromne fale, sprawiając, że roztrzaskiwały się o kamienne nabrzeża promenady. Potem pomyślała o swoim ślubie. Z trudem odychała, ale powoli uspokajała się, póki do uszu jej nie dotarły głosy tych podłych łajdaków, przekonanych, że ją zabili. Natychmiast rozpoznała głos Monsieur, rozmawiającego po francusku z otaczającymi go najemnikami. Od czasu do czasu

rzucił jakieś przekleństwo po hiszpańsku. Była pewna, że ciągle jej szukają. Bez wątpienia myśleli, że trafiła ją kula. Nawzajem obwiniali się, że nie mogą znaleźć zwłok Saharyjki. Podeszli tak blisko, że niemal czuła ich zziajane oddechy. A ponad wszystkimi dźwiękami słyszała Monsieur łączącego swoich kamratów i grożącego, że im gardła poderżnie. Aza obawiała się, że zdradzi ją bicie serca. Starła się oddychać głęboko, ale miarowo i spokojnie. Czasami ziarnka piasku przeciskały się przez tkaninę milhafu, przykrywającego jej twarz. Wiedziała, że długo nie wytrzyma w tak męczącej pozycji. A jednak wolała umrzeć zasypana piaskiem niż wpaść w łapy oprawców.

Za każdym razem, kiedy wyraźnie słyszała głos Monsieur, sztywniała ze strachu i kurczowo zaciskała szczęki. Słyszała go tak blisko, że przez chwilę myślała, iż na nią nadeptnie. Później głosy zaczęły się oddalać, ale po chwili znów stały się wyraźne. Mężczyźni krążyli wokół miejsca, w którym widzieli upadającą Saharyjkę. Nadeszła w końcu krytyczna chwila, kiedy najemnicy zaczęli się kłócić ze sobą. Aza dobrze znała ludzi tego pokroju i wiedziała, że są skłonni zabić za obelżywe słowo lub po prostu po zwykłej wymianie zdań. Tym razem najwyraźniej słyszała legionistę. Po tyłu wrzaskach miał zupełnie zachrypnięty głos. Tymczasem wiatr działał na korzyść Azy. Nie tylko zatarł jej ślady, ale też usypał piach w niewielkie wzniesienie, które zmieniło zarys jej ciała w ukształtowanie terenu, toteż była coraz lepiej zamaskowana.

W miarę jak głosy cichły w dali, Aza zaczęła szacować swoje szanse przeżycia. Od ponad dziesięciu godzin nie piła wody, i to pogarszało jej sytuację. Poza tym w czasie morderczej ucieczki przed najemnikami bardzo się spociła i woda

uciekała wszystkimi porami jej skóry. Mimo silnego wiatru piasek był nagrany słońcem. Każdy Saharyjczyk dobrze wie, co znaczy znaleźć się na pustyni bez wody. Znano wiele przypadków śmierci z odwodnienia. A to z pewnością byłby dla niej najgorszy koniec. Przez chwilę zastanawiała się, czy lepiej jest umrzeć od kuli, czy z pragnienia. Ale tak strasznie się bała, że nie mogła podjąć żadnej decyzji. Jeśli najemnicy odjadą dwoma samochodami, jej szanse na przeżycie staną się nikłe. W rozpaczy pomyślała o pojemniku z cuchnącą wodą, który został w tej piekielnej oazie. Kiedy jednak ponownie usłyszała rozjuszone głosy swoich prześladowców, doszła do wniosku, że lepiej znieść straszne skutki pragnienia niż wpaść w ich ręce. Pomimo wszystko starała się nie tracić kontroli nad własnym ciałem i umysłem. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest w swojej chajmie\* razem z synem. Za wszelką cenę starała się myśleć o czymś innym. Po chwili jej serce zaczęło bić w normalnym rytmie.

Kiedy usłyszała warkot silnika ciężarówki i samochodu terenowego, znowu poczuła, że ma całe ciało spięte. Nie wiedziała nawet, ile godzin mogło upłynąć. Tymczasem wiatr ucichł. A jednak znowu usłyszała warkot silników, jakby najemnicy jeździli w kółko, zataczając to większe, to mniejsze kręgi i przejeżdżając tuż obok niej. Pomyślała o Hiszpance pozostawionej w toyocie. Choć nie słyszała więcej strzałów, była pewna, że kobieta wkrótce umrze. Na własne oczy widziała skorpiona, który ją ukąsił, ale nie miała czasu jej ostrzec. Jeśli najemnicy jeszcze jej nie zabili, jad z pewnością

\* *Chajma* (arab.) - namiot. Tu: o dużych rozmiarach, najczęściej rozłożony w obozowisku, spełniający funkcję mieszkania; także w znaczeniu całego obozowiska (*przyp. kons.*).



przemieszcza się w żyłach, póki nie zatrzyma akcji serca. Było jej żal Hiszpanki. Ryk silników działał jej na nerwy. A im bardziej się denerwowała, tym bardziej paliło ją wysuszone gardło. Od czasu do czasu czuła pot wypływający wszystkimi porami skóry. Nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek przedtem czuła takie pragnienie. Starła się nie myśleć, co z nią będzie, jeśli w końcu bandyci jej nie znajdą i pozostanie sama na łasce pustyni.

Doskonale wiedziała, że prawdziwe pragnienie zacznie odczuwać, kiedy straci pół litra wody. Po utracie dwóch litrów żołądek kurczy się i już nie jest w stanie zmieścić niezbędnej ilości płynu. Znała wiele takich przypadków, głównie wśród starszych. Ludzie odwodnieni przestawali pić na długo przedtem, zanim ciało uzupełniło konieczne zapasy. Lekarze nazywali to dobrowolnym odwodnieniem. Jednak wcale nie to było najgorsze. Kiedy ciało straci pięć litrów wody, występują objawy zmęczenia, pojawia się gorączka, gwałtownie przyspiesza puls, skóra staje się czerwona. Aza wiedziała, że później zaczynają się zawroty głowy, migrena, brak śliny i problemy z krążeniem. W mniej nieprzyjnym otoczeniu ta faza może nastąpić dopiero po trzech dniach, zależnie od wytrzymałości organizmu, ale na Saharze wystarczy nawet dwanaście godzin intensywnego upału. Przykryta piaskiem, czuła, że ma lepkie wargi, i wiedziała, że bardzo się poci, ale nie potrafiła ocenić, jak wiele wody straciła. Mało brakowało, by wpadła w panikę. Miała wrażenie, że skóra przykleja się do kości i powoli zaczyna pękać, a oczy w miarę upływu godzin powoli zapadają w oczodoły. Uspokajała ją tylko świadomość, że jej słuch odróżnia bardzo wyraźnie wszelkie odgłosy dochodzące z dali. Najbardziej obawiała się majaków. Starła

się nie denerwować, aby nie odczuwać tak dotkliwie upału. Wiedziała, że śmierć na pustyni może być spowodowana nie tylko pragnieniem, lecz także przegrzaniem: krew w żyłach gęstnieje i nie może wydalać wewnętrznej ciepłoty ciała na powierzchnię skóry. W rzeczywistości to ciepło ostatecznie zabija, powodując nieoczekiwany i gwałtowny wzrost temperatury ciała.

Już zasypiała, kiedy, przestraszona, otworzyła oczy. Przeraziła ją panująca cisza. Wiatr ucichł, głosy najemników zamilkły, nie słyszała także warkotu silników. Ta absolutna cisza była naprawdę przerażająca. Aza miała wrażenie, że już wiele dni spędziła przysypana piaskiem. Wydało jej się, że światło docierające do jej oczu jest już mniej intensywne. Schyliła głowę i z wielkim trudem wyciągnęła ją spod ziemi. Ziarnka piasku zsuwały się z jej ciała. Bolały ją ramiona i ręce. Uczyniła jeszcze jeden wysiłek i wydostała ciało do połowy na wierzch. Odsunęła z twarzy miłhaf i przyjrzała się uważnie wymarłej i pogrążonej w ciszy hamadzie. Wprawdzie brakowało jeszcze dwóch godzin do zachodu słońca, ale upał już nie był tak dokuczliwy. Z wielkim trudem zaczęła się podnosić. Była tak bardzo przerażona, że nawet nie miała odwagi zrzucić ubrania, aby otrzepać piasek oblepiający ciało. Przez dłuższy czas upewniała się, czy najemnicy naprawdę odjechali. Nie miała wątpliwości, że pomimo ogromnych rozmiarów pustyni ci ludzie mogą ją dopaść. Cały teren wokół niej usiany był śladami stóp i koleinami dwóch samochodów: od razu dostrzegła, że krążyli tu godzinami, póki baki z benzyną zupełnie nie opustoszały. Chociaż pragnęła jak najszybciej uciec z tego piekła, postanowiła działać rozsądnie i poczekać, aż słońce całkiem zniknie za horyzontem. Wiedziała, że kiedy na niebie

pojawią się gwiazdy, będzie jej łatwiej orientować się w terenie i oczywiście podczas marszu straci mniej wody. Już zamierzała przesiedzieć tak do zmierzchu, wyczerpując wszystkie zmysły, kiedy nagle wydało jej się, że widzi gdzieś w oddali jakiś cień na ziemi. W pierwszej chwili chciała przycupnąć i pozostać w bezruchu, ale zaraz uświadomiła sobie, co to może być. Ruszyła w tamtą stronę, rozglądając się wokół czujnie, na wypadek gdyby to była zasadzka. Na szczęście nie była to pułapka. W odległości mniej więcej stu metrów nie miała już wątpliwości, że tam leży Hiszpanka. Nawet nie pamiętała jej imienia. Podeszła bliżej i uklękła obok. Prawdopodobnie kobieta leżała tam od ponad pięciu godzin. Aza wyrzuciła z siebie stek wyzwisk wyuczonych jeszcze w dzieciństwie, przeklinając mężczyzn, którzy zostawili na pastwę losu bezbronną konającą kobietę. Przewróciła ją na plecy i próbowała podnieść, ale cudzoziemka nie reagowała. Przyłożyła ucho do piersi Hiszpanki, przerażona beznadziejną sytuacją, w jakiej się znalazła. Dopiero po chwili usłyszała bicie serca. Uderzało słabo, nieregularnie, arytmicznie, jakby dawało sygnały, że zaraz się zatrzyma. Aza wyszukała miejsce, gdzie chorą ukąsił skorpion. Ale już było za późno na wyssanie jadu. Wiedziała, że kobieta umrze, a ona nie może temu zapobiec. Myśl o śmierci znowu wprawiała ją w głęboką rozpacz. Próbowwała odzyskać spokój. Nagle zapadły ciemności, a tym samym wzrosły jej szanse na ucieczkę z pustyni.

W tej samej chwili, gdy oślepiająca kula słoneczna znikła za widnokrzem, Aza ruszyła w drogę, nie oglądając się za siebie. Wcześniej jeszcze upewniła się, czy serce cudzoziemki bije. Parę minut później powierzchnia pustyni zaczęła błyskawicznie stygnąć. Za każdym razem, kiedy zrywał się wiatr,

Aza zauważała, że jeży jej się skóra. Nie traciła więcej czasu. Skierowała się na południowy zachód. Posuwając się naprzód, oceniała swoje szanse na przeżycie. Nie potrafiła obliczyć, jak daleko znajduje się któryś z obozów Saharyjczyków. Zresztą, chociaż tubylcy potrafią znakomicie orientować się nocą na pustyni, ona ledwie miała sposobność liźnąć trochę wiedzy na ten temat, bo prawie połowę życia spędziła, ucząc się, na Kubie. Czasami pustynia wydawała jej się tak samo nieprzyjazna jak obcym, choć przez ostatnie trzy lata Aza nigdzie stąd nie wyjeżdżała. Dobrze wiedziała, że aby dotrzeć w konkretne miejsce, musi wyznaczyć sobie punkt na widnokręgu i nigdy nie zbaczać z linii prostej. Minimalne nawet zboczenie z trasy oznaczałoby, że oddali się o wiele kilometrów od miejsca, do którego zamierzała dotrzeć. Maszerowała, ale nie wysilając się nadmiernie, by nie wyczerpać sił. Starła się nie myśleć o palącym ją pragnieniu. Obliczyła, że jeśli nie będzie pociła się za bardzo i schowa się przed słońcem, być może zdoła iść jeszcze przez jedną noc. Ale to wszystko były tylko przypuszczenia. Tymczasem jej kroki stawały się coraz bardziej niezdarne. Częściej się potykała i przewracała na twarz. Jej oczy stopniowo zasnuwały się mgłą. Pomimo pełni ledwie widziała na odległość pięciu, sześciu metrów. Już ponad dobę nic nie jadła. W końcu, kiedy brakowało ledwie paru godzin do świtu, przewróciła się na piasek i już nie miała siły wstać.

Obudził ją jakiś hałas, jakby drgania. Aza czuła, że ma zlepięte powieki, i nie pamiętała, gdzie jest. W obawie przed owadami szczelnie przykryła się milhafem. Było jej bardzo zimno. Kiedy usłyszała niespodziewane dźwięki, bała się, że to początek majaków. Strasznie bolała ją głowa. Podniosła się

i rozejrzała na wszystkie strony, ale niczego nie dostrzegła. Słońce wzeszło jakieś dwie godziny temu. Znowu położyła się na ziemi i tym razem hałas sprawił, że poderwała się błyskawicznie. Nie miała już wątpliwości: to był warkot silnika ciężarówki. Zaczęła nasłuchiwać, ale wiatr zmienił kierunek. Jednak kłęb pyłu, który pojawił się na horyzoncie, świadczył, że przejeżdża tamtędy kilka pojazdów. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że może to być Monsieur z najemnikami. Choć nie widziała jeszcze blasku karoserii, przypuszczała, na podstawie wysokości, na jaką unosił się pył, że kolumna samochodów jedzie bardzo wolno. W myśli nakreśliła sobie trasę przejazdu i ruszyła, trzymając się linii prostej, aby wyjść im naprzeciw. Prawdopodobnie dzieliły ją od nich dwa kilometry. Ciężko jej było ocenić dystans. Idąc, strząsała pył z ubrania, zwilżyła jeszcze oczy i kąciki ust śliną, pozbyła się piasku z uszu i ułożyła milhaf tak, jakby dopiero wstała. Kiedy była mniej więcej w odległości pięciuset metrów, zaczęła machać rękami, starając się nie okazywać desperacji. Od razu ją spostrzegli. Konwój składał się z dwóch samochodów terenowych i czterech ciężarówek, z naczepami przykrytymi brezentem. Nawet z daleka dostrzegła zaskoczenie na twarzach młodych żołnierzy. W przypiływie wstydu modliła się, aby żaden z nich jej nie znał.

Na widok kobiety, dającej znaki w tym najbardziej niegościnnym miejscu hamady, konwój zjechał z trasy. Zbliżając się do niej, kierowcy i siedzący obok pasażerowie nie mogli uwierzyć w to, co ujrzeli na własne oczy. Wszyscy gapili się na Azę. Jedna z terenówek wyjechała na czoło kolumny i zatrzymała się parę metrów od kobiety. Wyskoczył z niej wojskowy. Po naszywkach na mundurze poznała, że jest naj-

wyższy rangą. Zbliżył się pośpiesznie, zdjął okulary słoneczne i poprawił turban. Wygłosił długą formułkę powitalną, nie przestając mierzyć Azy wzrokiem. Gdyby nie jego ludzie uważnie przypatrujący się tej scenie, pewnie złapałby ją za rękę, aby sprawdzić, czy to nie złudzenie. Przywitawszy ją, zmienił obojętny ton głosu i po raz pierwszy wyraził zdziwienie. „Co tu robisz? Skąd się wzięłaś?” - wypytywał z przyszaną. „Zgubiłam się”. „Zgubiłaś się? - powtórzył, nie dowierając słowom kobiety. - Co to znaczy, że się zgubiłaś?” „To długa opowieść. Nie mam na to czasu” - odpowiedziała Saharyjka z godnością. Wojskowy miał zdeorientowaną minę, jakby rozmawiał ze wskrzeszoną cudem. „Jak tu trafiłaś? Kiedy się zgubiłaś?” „Muszę się napić wody - ucieła. - Dłużej już nie wytrzymam”. Reszta konwoju stanęła w długim rzędzie i żołnierze wysiedli z wozów. Wojskowy zajrzał do terenówki i wyciągnął butelkę oplecioną sizalowym sznurkiem. Aza piła aż do przesytu. Woda wpadała jej do ust i wypływała z ciała wszystkimi porami. Potem Aza poszukała cienia pod jedną z ciężarówek. Żołnierze patrzyli na nią, nie pojmując, co się dzieje. Wojskowy wydał rozkaz natychmiastowego powrotu do pojazdów. „A teraz wyjaśnij mi, co to znaczy, że się zgubiłaś”. „To długa opowieść - powtórzyła. - Są ważniejsze rzeczy do załatwienia”. „Ważniejsze?” „Tak, ważniejsze. Mniej więcej tam - wskazała ręką - została umierającą kobietę... cudzoziemkę. Jakąś dobę temu ukąsił ją skorpion. Może już nawet nie żyje”. Wojskowy zdenrowował się. Zawołał kierowcę terenówki i poprosił Azę, aby dokładnie wskazała mu miejsce. „To mniej więcej tam. Maszerowałam w linii prostej przez jakieś osiem godzin. Wy możecie tam dotrzeć w ciągu dwudziestu minut”. Kierowca

i dwaj żołnierze natychmiast ruszyli w drogę. Pozostali stłoczyli się za samochodem tak, aby kobieta ich nie widziała. Wojskowy tracił cierpliwość, nie mogąc wydobyć od Azy nic więcej. „Muszę dotrzeć do mojego wilajetu\* - powiedziała. - Mam dwuletnie dziecko, które mnie potrzebuje”. „W jakim wilajecie mieszkaś?” „W Dajli” - skłamała. „Oby Bóg ci dopomógł, kobieto. Nigdy tam nie dotrzesz”. „Skąd przyjechaliście?” „Ze Smary”. „To daleko stąd?” „Dwadzieścia kilometrów”. Aza dostrzegła w tym rękę boską. Rozejrzała się dokoła i w głowie ustaliła trasę, jaką musiała pójść, aby dotrzeć do obozu w Ausserd. „Mam krewnych w Ausserd” - powiedziała, próbując ukryć prawdę. „Podwieziemy cię do Smary. Kiedy odnajdą tę kobietę, zawieziemy was obie samochodem do szpitala. Ktoś zawiadomi twoją rodzinę w Dajli”. Aza nie wiedziała, jak wybrnąć z sytuacji. Tak bardzo wstydziła się wyznać prawdę, że gotowa była pobiec na pustynię i tam umrzeć, zanim mężczyźni zaczną się domyślać, co jej się przydarzyło. „Nie mogę pojechać do Smary - wyjaśniła jak najbardziej naturalnym tonem. - Za cztery dni moja siostra wychodzi za mąż w Ausserd i jestem jej potrzebna”. To kłamstwo znowu rozgniewało wojskowego. „Pojedziesz do Smary i tam wszystko wyjaśnisz”. „Jeśli zawieziesz mnie do Smary, oskarżę cię przed walim\*\* o nielegalne zatrzymanie i próbę porwania”. Wojskowy zacisnął pięści i włożył okulary słoneczne, aby ukryć wściekłość. Rozejrzał się i ruszył marszowym krokiem w kierunku pustynnej równiny. Aza dalej piła wodę, ale już nie tak zachłannie. Rekruci

\* *Wilajet* (arab.) - najwyższa jednostka podziału administracyjnego; prowincja (przyp. kons.).

\*\* *Wali* (arab.) - zarządca wilajetu (przyp. kons.).

przypatrywali się jej bez zmruczenia oka. To nagłe pojawienie się tak pięknej kobiety w najbardziej bezludnym zakątku hamady wydawało im się cudem. „Macie coś do jedzenia?” - spytała otwarcie. Wszyscy żołnierze, jak jeden mąż, sięgnęli do plecaków i wyciągnęli placki z pszenicy, kozi ser i cukier. Aza przysiadła w cieniu ciężarówki i zaczęła systematycznie pochłaniać jedzenie, delektując się każdym kęsem.

Mniej więcej po godzinie powróciła terenówka z cudzoziemką w środku. Wojskowy odpowiedzialny za konwój zajrzał z niedowierzaniem do kabiny. To, że Saharyjka powiedziała prawdę, podważało jego hipotezę, iż jest szalona. „Nie żyje?” - spytał kierowcę toyoty. „Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością”. Wojskowy podszedł do Azy i energicznym gestem wskazał jej terenówkę. „Wsiadaj. Moi ludzie podwożą cię do Smary. Potem pójdiesz, gdzie chcesz”. Aza wstała, schowała resztę jedzenia, wypila jeszcze trochę wody i powiedziała: „Muszę wiedzieć, którędy mam iść, żeby dotrzeć do Ausserd”. Mało brakowało, żeby oficer zupełnie stracił cierpliwość. Przygryzł wargi aż do krwi. Podejrzewał, że jeśli będzie dłużej się upierał, ta kobieta ośmieszy go przed całym oddziałem. „W porządku. Skoro tak chcesz, idź w tamtym kierunku. Tylko nie zbaczaj z trasy. Po dziesięciu godzinach szybkiego marszu powinnaś dotrzeć do Ausserd”. To ostatnie zdanie powiedział dobitnym głosem, jakby żywiąc niejasną nadzieję, że kobieta dobrze się zastanowi, zanim ruszy w drogę. Jednak Aza postawiła sobie butlę z wodą na głowie i podeszła do terenówki, w której leżała cudzoziemka. „Pośpiesz się - powiedziała kierowcy - od wielu godzin jest w śpiączce”. Potem wyruszyła, trzymając się linii prostej, w kierunku punktu, który wskazał jej woj-



skowy na linii widnokręgu, a który Aza zapamiętała jako ostatnią szansę ocalenia. Żołnierze nie spuszczały z niej wzroku, póki nie usłyszeli rozkazów wydanych przez dowódcę ostrym głosem.

Pokój, w którym cudzoziemka dochodzi do siebie, jest pogrążony w mroku, chociaż na zewnątrz świeci rozszalałe słońce. Layla siedzi na dywanie, uśpiona upałem. Dyrektor szpitala wchodzi do sali przed swoim przyjacielem Muludem Lahsenem. Na ich widok pielęgniarka wstaje i zapina fartuch. Wymienia niekończącą się formułkę powitalną z pułkownikiem. Potem cała trójka patrzy w milczeniu na pacjentkę. Layla korzysta z okazji, aby poprawić sobie milhaf i zakryć głowę. Cudzoziemka śpi. Oddycha głęboko.

- Trochę zjadła - mówi pielęgniarka do dyrektora. - Ale większość czasu śpi.

- Layla spędza tu całe dni - wyjaśnia dyrektor.

- Kiedy nie mam nic innego do roboty - dodaje pielęgniarka.

Pułkownik uśmiecha się. Jest zaintrygowany i pragnie poznać historię cudzoziemki.

- Czuje się lepiej? - pyta Mulud Lahsen.

- Nie ma już gorączki - odpowiada Layla. - Czasami tylko miewa halucynacje. Wiem tylko tyle, że na imię ma Montse i pochodzi z Hiszpanii. Coś ją dręczy, ale nie wiem dokładnie co.

- Dręczy? - dopytuje się pułkownik.

- Mówi we śnie i ciągle powtarza imię Aza.

- Ma obsesję na punkcie tego imienia - tłumaczy dyrektor.

- Kiedy jest przytomna i pytam ją, o co chodzi, mówi, że zabili Azę. Ale tak bardzo się denerwuje, że nie potrafi nic więcej powiedzieć.

Pułkownik Mulud nie spuszcza oczu z cudzoziemki. Intryguje go jej historia, ale ma mnóstwo spraw do załatwienia i mało czasu.

- Musimy się dowiedzieć, jak tu dotarła. Z pewnością nie podróżowała sama. Ktoś musiał już o nią pytać.

- Niedługo minie miesiąc - mówi dyrektor. - To wystarczająco dużo czasu, aby ktoś się za nią stęsknił.

- To prawda. Im więcej o tym myślę, tym mniej rozumiem.

- Spróbuję się dowiedzieć czegoś więcej - obiecuje Layla. - Z każdym dniem czuje się lepiej, ale wciąż jest czymś przerażona. Nie wiem, co jej się przydarzyło, ale bardzo się boi. Jeśli postaram się, aby nabrała do mnie zaufania, opowie mi wszystko.

- A tymczasem? - indaguje dyrektor.

- Na razie nic nie możemy zrobić - stwierdza pułkownik. - Spytamy przedstawicieli hiszpańskiej misji dyplomatycznej. Jeśli oni też nic nie wiedzą, będziemy musieli poczekać, aż poczuje się lepiej, żeby odesłać ją do kraju.

Po tych słowach Mulud Lahsen rusza do drzwi. Za nim idzie dyrektor szpitala. Zegnają się szybko i pielęgniarka znowu zostaje sama z pacjentką. Przysiada na brzegu łóżka. Dla Layli opieka nad cudzoziemką stała się jednym ze stałych elementów pracy. Bardzo ją intryguje historia, jaką ukrywa Hiszpanka. Przykłada dłoń do jej czoła i znowu patrzy na kręcone włosy, białą skórę i wypielęgnowane dłonie kobiety. Nagle chora wzdryga się i przerażona otwiera oczy. Nie wie, gdzie jest. W jej oczach maluje się strach.

- Aza! - majaczy. - Zastrzelili Azę. Musisz zawiadomić wszystkich.

- Kim jest Aza? - pyta pielęgniarka, starając się jej nie przestraszyć.

- Aza? Uciekła razem ze mną i nas złapali. Ten morderca ją zabił. To moja wina: powinnam była uciec sama.

- Kto ją zabił? - dopytuje się Layla.

Cudzoziemka zamyka oczy i pogrąża się w milczeniu. Jej przyśpieszony oddech oddaje stan udręczonego umysłu. Layla ściska jej dłoń, gotowa siedzieć przy niej, póki się nie uspokoi.

Dla Santiaga San Romana Oaza to środek wszechświata. Wsparty łokciami o ladę baru albo siedząc wygodnie przy nakrytych ceratą stolach, czuł, że cały świat kręci się wokół niego. Nigdy wcześniej nie przeżywał niczego podobnego. Z lampką koniaku w dłoni i w towarzystwie Guillerma, nie potrzebował niczego więcej, aby zapomnieć o cierniu, który zranił mu serce w Hiszpanii.

Oficerowie zbierali się w kasynie wojskowym i w Hotelu Narodowym w Al-Ujun. Natomiast Oazę zarezerwowano dla szeregowców. W sobotnie popołudnia w całym mieście, a nawet w całej prowincji nie było bardziej zatłoczonego lokalu. Właściciel Oazy, Andaluzyjczyk, zwany Pepe *El Boli*, był wyraźnie zmęczony życiem. Tylko w jego lokalu prostytutka mogła liczyć na ciche przyzwolenie kadry oficerskiej. W Oazie były kurwy, bingo, poker, zakłady, walki, haszysz i najtańszy koniak w całej Saharze Zachodniej. W sobotnie wieczory lokal Pepego przypominał pole bitwy. Dziwki poprzebierane za kelnerki nie nadążały zadowalać klientów, a wrzaski hazardzistów mieszały się z dźwiękami dochodzącymi z nastawio-

nego na cały regulator telewizora. Żaden inny bar w mieście nie mógł liczyć na tak wierną klientelę jak Oaza. Wcześniej czy później każdy z rekrutów, który dostawał przepustkę na całe popołudnie czy nawet weekend, trafiał właśnie tam.

Santiago przez tych parę godzin spędzonych w Oazie zapominał, przynajmniej na jakiś czas, o wszystkich swoich obsesjach. A jego obsesje sprowadzały się do Montse, tej perfidnej Montse. Kiedy druga lampka koniaku zaczynała krążyć w jego żyłach i rozpalać krew jak płomień, czuł się najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Wtedy Montse schodziła na drugi plan, a on miał czas wyłącznie dla swego przyjaciela Guillerma i tych, którzy bawili się razem z nimi na przepustce. Przyjaciel był nie tylko jego powiernikiem, ale też kimś, komu ufał najbardziej na świecie. Chłopak pisał za niego listy, które Santiago wysyłał do Montse. Wysłuchiwał go, gdy San Roman chciał się zwierzać, i mileżał razem z nim, kiedy ten nie miał ochoty rozmawiać. Guillermo dostał przydział do plutonu saperów Dziewiątego Regimentu Wojsk Inżynieryjnych. Całymi dniami budował klatki i fosy w ogrodzie zoologicznym w Al-Ujun. Jak wszyscy legioniści nie lubił przebywać w towarzystwie zwykłych rezerwistów. Santiago z kolei był mechanikiem w Czwartym Pułku Legii Alejandra Farnesia, w batalionie zmotoryzowanym. Przypadek jednak sprawił, że przydzielono go do grupy wojsk nomadzkich, pod dowództwo komendanta Javiera Lobo.

Wojska nomadzkie, tak jak policja terytorialna, były to oddziały złożone przede wszystkim z Saharyjczyków, oczywiście prócz kadry oficerskiej. Od samego początku miejscowi w szczególny sposób przyciągali uwagę Santiaga. Ci żołnierze o smagłej skórze, kręconych włosach i dziwacznym zwycza-

jach intrygowali chłopaka nowo przybyłego z Półwyspu. Po raz pierwszy miał okazję poznać ich bliżej pewnego dnia, kiedy czterej żołnierze saharyjscy przypchali land-rovera wojsk nomadzkich aż do kanału, w którym pracował. Saharyjczycy, upaprani smarem po czubek głowy, postawili wóz i podnieśli maskę. Santiago rzucił okiem znawcy na silnik i zagwizdał przeciągle, co zwróciło uwagę pozostałych mechaników. Druty, przewody, zwoje kabli tworzyły prawdziwą płataninę, przez którą nie można było dostrzec bloku silnika. „Przysłała nas komendant Lobo” - powiedział jeden z żołnierzy z tak uroczystą miną, jakby przysięgał na wierność sztandarowi. Mechanicy stracili zainteresowanie. Tylko Santiago San Roman przejął się czterema młodymi żołnierzami. „Nie mogliśmy go zapalić - mówił dalej Saharyjczyk. - Jeśli go nie naprawimy, wsadzą nas do paki”. Santiago nie spuszczał wzroku z całej czwórki. Wkrótce reszta mechaników odłożyła narzędzia i poszła na obiad. Z ich twarzy można było wyczytać, że nie zamierzają pakować się w podobny pasztet. Santiaga oburzyło zachowanie kolegów, ale nie miał siły wyklócać się z nimi. Z kolei Saharyjczycy patrzyli na niego jak rozbitkowie na środku oceanu. Bez słowa wsadził głowę w głąb wozu i zaczął rozplątywać sieć kabli i drucików.

Kiedy jego koledzy wrócili z obiadu, Santiago ciągle jeszcze tkwił po pas schowany pod maską land-rovera. Cała czwórka patrzyła na niego w milczeniu, nie mając odwagi przeszkadzać mu w mozolnej pracy. Santiago, jak w transie, przemawiał do silnika, od czasu do czasu rzucał jakieś słowo do żołnierzy z wojsk nomadzkich. Oni z kolei spoglądali na siebie, nie wiedząc, czy ten legionista nie jest czasem szalony. Po wielu godzinach pracy, wymieniwszy kilka części, spraw-

dziwszy przewody oraz przemówiwszy do mechanizmu, Santiago wsiadł do wozu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zarzęził, krztusząc się i charcząc. Po kilkakrotnym wciśnięciu pedału gazu aż do oporu przestał wydzielać się z rury wydechowej czarny dym, pojawił się natomiast trochę jaśniejszy, szarawy i silnik land-rovera zaczął pracować normalnie. Legionista wyjechał z warsztatu i zatrzymał się dopiero przy bramie. „Wsiadać!” - rzucił krótko. Cała czwórka posłuchała, jakby to był rozkaz samego komendanta. Santiago przejechał się po placu, sprawdził układ kierowniczy, hamulce i w końcu zatrzymał się tuż przed bramą koszar wojsk nomadzkich. Nie gasząc silnika, wysiadł z samochodu i oznajmił: „Gotowe. Przekażcie komendantowi Lobo, że ma wóz na następne dziesięć lat”. Kiedy odchodził, Saharyjczycy stali w milczeniu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Gdy był już daleko, usłyszał, że go wołają. Zatrzymał się. „Dziękujemy, przyjacielu. Bardzo dziękujemy”. Santiago machnął lekceważąco ręką, ale jeden z Saharyjczyków pobiegł w jego stronę. Złapał go za rękę i długo ścisnął. „Jestem Lazaar”. Santiago też się przedstawił. „Jesteśmy tu w koszarach. Wpadnij do nas. Zawsze będziesz mile widziany. Przyjdź, kiedy chcesz. Masz wśród nas przyjaciół”. Tego dnia, kiedy Santiago wszedł do wojskowej kantyny, przekonał się, że słowa żołnierza płynęły ze szczerego serca.

Za pierwszym razem, gdy odwiedził koszary wojsk nomadzkich, wydało mu się, że trafił do innego świata. Żołnierze, z dala od czujnego wzroku dowódców, zachowywali się tak, jakby cały budynek był jedną wielką chajmą. Kilkunastu rekrutów skupionych wokół maszynki spirytusowej, tuż przy wejściu do koszar, gawędziło w hassanii i siorbało herbatę, wszyscy rozluźnieni i swobodni, jakby to nie był teren jedno-

stki. Na widok Santiaga ich twarze spoważniały, a ożywiona rozmowa nagle się urwała. Już chciał się odwrócić i wyjść, ale uspokoiła go obecność Lazaara. „Nie chciałem przeszkadzać - tłumaczył się Santiago. - Nie wiedziałem, że...” Lazaar powiedział coś po arabsku do swoich kolegów i rozmowa znów wróciła na normalne tory. Saharyjczyk chwycił go za rękę i poprosił, aby usiadł razem z nimi przy herbacie. Santiago szybko przestał czuć się obco. „Grasz w piłkę nożną?” - spytał jeden z Saharyjczyków. „Jasne. Uczyłem grać w piłkę samego Cruyffa”. „Jestem z Madrytu” - rzucił Lazaar poważnym głosem. „To uważaj, bo uczyłem grać samego Amancia”. Od tej pory Santiago popołudniami stał na bramce w drużynie wojsk nomadzkich i za każdym razem, kiedy wygrywali z chłopakami z Półwyspu, koledzy z batalionu traktowali go jak zdrajcę.

Teraz, wsparty łokciami o ladę w Oazie, patrzył na żołnierzy wojsk nomadzkich przechadzających się przed lokalem i zagląających przez okno z mieszaniną ciekawości i pogardy. Wychylił lampkę koniaku i podjął mocne zobowiązanie, by nie pić więcej na oczach Saharyjczyków. Czuł się tak zażenowany jak nigdy dotąd. Sierżant Baquedano, jedyny podoficer Legii, który wpadał do Oazy, puszył się przed kelnerkami, szczypiąc je w tyłki i obmacując im piersi. Gdziekolwiek się pojawił, zdradzał go cuchnący wódką oddech. O sierżancie Baquedano opowiadano straszne rzeczy. Miał około czterdziestki i widać było od razu, że Legia, gorzała i kurwy to całe jego życie. Opowiadano, że kiedyś przestrelił stopę rekrutowi, który zmylił krok. Widząc go spitego jak bela i ocierającego się fiutem o prostytutki, można było uwierzyć we wszystko, co o nim mówiono. Większość żołnierzy go unikała, ale było kilku dyżurnych błaznów, którzy zaśmiewali się z jego tanich żartów



i towarzyszyli mu wszędzie, przyklaskując jego chamskim zagrywkom i stawiając mu alkohol. Potem musieli znosić jego wyzwiska i korzyć się przed nim jak bydło. Dziwki, które już go dobrze znały, omijały go szerokim łukiem, aby tylko się nie narazić. Bez wątpienia sierżant Baquedano był jedyną osobą w tym lokalu, przy której czuły się niepewne i przerażone. Dobrze wiedziały, że jeśli sprzeciwią się żołdakowi, stracą pracę albo znajdą się pocięte w jakimś rowie przy szosie ze Smary. Baquedano był jak ojciec chrzestny na usługach u komendanta Panta. Całe podziemie prostytutek w Oazie musiało być nadzorowane przez komendanta, ale żaden z oficerów nie patrzyłby przychylnym okiem, gdyby jakikolwiek wojskowy wyższej rangi przestąpił próg tego lokalu. Oficerowie nigdy nie dzielili tych samych dziwów z żołnierzami. Nawet kaprale i sierżanci. Ale z kolei nie mogli pozwolić, aby mafie zagnieżdżyły się w Al-Ujun i ściągały kurwy z Półwyspu, Maroka czy Mauretanii. Komendant Panta dbał o zdrowie legionistów i nie chciał, żeby ktokolwiek się wtrącał. Jednak komendant nigdy nie widział pijanego Baquedana, zataczającego się między stolikami i obmacującego prostytutki przebrane za kelnerki.

Santiago odwracał wzrok przy nielicznych okazjach, kiedy przypadkowo na siebie spojrzeli. Kiedy zobaczył, że Baquedano wychodzi z lokalu, poczuł się o wiele swobodniej pomimo straszliwego zgiełku, jaki robili żołnierze. Muzyka mieszała się z wyjącem na cały regulator telewizorem, którego nikt nie oglądał, ze stukotem butelek o marmurowy blat baru, wrzaskiem hazardzistów i wykrzykiwanymi numerami binga oraz z głośnymi rozmowami. Nagle cała ta kakofonia dźwięków umilkła. Nastąpiła chwila ciszy, a marsze wojskowe za-

stąpiło ulubione paso dobre Pepego *El Boli: Las Corsarias*. Kiedy Santiago usłyszał pierwsze takty, poczuł się tak, jakby sufit baru zwałił mu się na głowę. Nagle, niczym natrętne widmo, ujrzał twarz Montse. Wszystkie dźwięki stały się dla niego w jakiś dziwny sposób obce i wrogie.

- Jeszcze po koniaczku? - spytał Guillermo.
- Nie chcę. Mam zgagę.
- W takim razie piwko...
- Ty się napij. Boli mnie brzuch - skłamał Santiago.
- Nie będziesz już nic więcej pił? Przecież to sobota.

Santiago spojrział poważnym wzrokiem na przyjaciela i Guillermo natychmiast zrozumiał, o co chodzi. Nic nie odpowiedział. Świetnie znał stany melancholii swego kolegi. Obaj wyszli z Oazy i na ulicy uderzyła ich niesiona lutowym wiatrem fala świeżego powietrza. Szli w milczeniu, bez celu. Ulice były jak wymarłe, póki nie dotarli do placu Hiszpańskiego. Tu zdawało się koncentrować życie całego miasta. Z barów hałas wylewał się na ulicę. Policja terytorialna patrolowała pieszo i samochodami, starając się nie wzbudzać sensacji. Dwaj przyjaciele zatrzymali się przy drzwiach kina. Pod ogromnym napisem *Serpico* kolorowa postać Al Pacina wyglądała tak, jakby zamierzała uciec z plakatu. Guillermo stanął naprzeciwko i rozstawił szeroko nogi, próbując naśladować postawę policjanta z Bronxu. Wyglądał jak cień słynnego aktora. Naciągnął sobie czapkę głęboko na czoło i zacisnął pasek na brodzie. Dziewczyny, czekające w kolejce na wejście do środka, gapiły się na niego i chichotały, zakrywając dłońmi usta.

- Przestań się zgrywać - zganił przyjaciela Santiago. - Nie widzisz, że wszyscy się na ciebie gapią?

Guillermo wyjął kciuki zza ogromnej posrebrzanej sprzączki paska i posłał całusa dziewczynom, które nie przedstawiały chichotać.

- Musisz coś dla mnie zrobić, Guillermo. Przysięgam, że to moja ostatnia prośba.

Guillermowi natychmiast przeszła ochota na wygłupy. Te słowa były mu już skądś znane. Santiago zwołnił kroku, nie przeżył już dumnie piersi ani nie wyrzucał ramion w tył.

- Chodźmy stąd. Tu aż się roi od sierżantów.

Każdy stopień wojskowy miał swoją ulubioną strefę w mieście. Zazwyczaj sierżanci i kaprale unikali okolic hotelu i kasyna, aby co chwila nie salutować swoim dowódcom. Z kolei szeregowcy nie spacerowali po głównych ulicach miasta, gdzie znajdowały się ulubione lokale podoficerów.

Dwaj przyjaciele ruszyli bez słowa w stronę alei Skaikima. Wiedzieli, że tam będą z dala od spojrzeń legionistów. Szli w milczeniu, tak jakby czytali sobie nawzajem w myślach. Stanęli przed budką telefoniczną. Santiago wyciągnął wszystkie monety, jakie miał w kieszeni. Z jakiegoś dziwnego powodu w tym właśnie miejscu powietrze pachniało tymiankiem. Podał drobniaki Guillermowi.

- Chcę, żebyś zadzwonił do Montse. A więc najpierw...

- Dobra, dobra, wiem - przerwał mu zniecierpliwiony Guillermo.

- ...powiesz, że jesteś jej kolegą z uczelni i musisz z nią porozmawiać...

- Santi! - krzyknął na niego Guillermo, mając ochotę walnąć go w twarz.

- O co chodzi?

- Wiesz, ile razy dzwoniłem już do twojej dziewczyny?

- Ona nie jest moją dziewczyną, Guillermo, tyle razy ci to mówiłem. Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie...

Guillermo objął go pojednawczo ramieniem i próbował uspokoić.

- Zadzwoń do niej, w porządku? Zadzwoń, ale przestań mi powtarzać, co mam powiedzieć, bo już mi to mówiłeś tysiące razy. Ja do niej dzwonię, ja do niej piszę, w końcu to ja będę tym, który...

Guillermo umilkł, bo od razu pożałował swoich słów. Santiago był tak przybity, że nic do niego nie docierało. W końcu Guillermo wrzucił pieniądze do kieszeni i wszedł do budki. Przyjaciół oddalił się parę metrów, jakby wstydził się tego, co robi.

Ich ostatnia rozmowa telefoniczna miała dramatyczny przebieg. Dzwonił wtedy, tak jak zawsze, z budki oddalonej zaledwie kilka metrów od bramy jej domu przy Via Layetana. Dochodziła już dziesiąta wieczór, kiedy Montse wreszcie odebrała - Santiago próbował się dodzwonić przez prawie cztery godziny, stercząc przed jej domem. Chłód i wilgoć pierwszych dni grudnia przenikały go do szpiku kości. Kiedy w końcu usłyszał jej głos po drugiej stronie linii, umilkł, nie bardzo wiedząc, co ma powiedzieć. Po chwili wziął się w garść i próbował opanować nerwy. „Tu Santi” - rzekł drżącym głosem. „Wiem, już mi mówili. Co chcesz?” „Słuchaj, Montse. Dzwonię do ciebie przez cały wieczór”. „Uczyłam się w bibliotece. Właśnie wróciłam”. „Nie kłam, Montse. Nie pozwalam ci na to”. „Dzwonisz tylko po to, żeby mnie nazwać kłamczucha? Jesteś bezczelny, wiesz?” „Wcale nie chciałem cię nazwać kłamczu-

chę, ale od szóstej sterczę przed twoim domem i nie zauważyłem, żebyś wchodziła lub wychodziła". Zapadła długa, dramatyczna cisza. „Uważasz, że muszę ci się opowiadać ze wszystkiego, co robię?” „Nie, Montse, wcale tak nie myślę. Chciałem ci tylko powiedzieć, że wyjeżdżam”. „W takim razie żegnaj”. „Wyjeżdżam do Saragossy”. Znowu cisza. „Dostałem kartę powołania z komisji poborowej. Pojutrze muszę się stawić w jednostce”. Montse ciągle milczała, a to dodało Santiagowi otuchy. „Czy już rozmawiałaś z rodzicami?” - spytał, nabrawszy odwagi. „Z rodzicami? A niby o czym mam z nimi rozmawiać?” Wtedy Santiago zaczął krzyczeć ze złości: „O dziecku, do cholery, o naszym dziecku!”. Nie dała mu powiedzieć nic więcej. „Słuchaj, przystojniaku, dziecko to moja sprawa. Tylko i wyłącznie moja”. „Jakkolwiek by było, ja też mam z tym coś wspólnego”. „Trzeba było myśleć o tym wcześniej - tym razem Montse była bliska płaczu. - Zanim zaczęłaś łączyć z tą blondyną z dyskoteki, zanim zaczęłaś migdalić się z tą...” „Z nikim się nie migdaliłem”. „Nie będziesz mnie już więcej okłamywać”. „Kiedy ja nie kłamię, Montse, przysięgam na moją matkę, przysięgam na wszystko, co święte. To tylko moja przyjaciółka”. „To ty tak całujesz przyjaciółki?” „Już ci mówiłem setki razy, że kiedyś ze sobą chodziliśmy. Ale byliśmy jeszcze smarkaczami. Przysięgam...” „Ale ja byłam głupia! Strasznie głupia!” „Montse, a dziecko?...” „Dziecko jest moje. Słyszysz? Moje! Masz zapamiętać, że mnie znałeś. Masz zapamiętać o dziecku. Masz zapamiętać o wszystkim”. Nagle w słuchawce zapadła cisza. Potem rozległ się ostry i ciągły dźwięk, co znaczyło, że po drugiej stronie nikogo już nie ma. Santiago z wściekłością walnął głową o szybę budki. Rozciął sobie czoło i teraz krew ściekała mu po twarzy. Przechodnie,

którzy mijali budkę, słysząc ten łomot, odskoczyli o parę metrów. Nie wiedział, co zrobić ze słuchawką. W końcu z całej siły rzucił nią w aparat telefoniczny, aż pękła na pół. Wyskoczył z budki jak oparzony, rozglądając się z furią na wszystkie strony. Nigdy w życiu nie czuł się tak upokorzony i tak strasznie bezsilny. Nie miał na kim się wyładować ani wykrzyzczeć prawdy w twarz. Nie wiedział, jak wyrzucić z siebie złość.

Guillermo podszedł do niego z bardzo poważną miną. Trzymał w dłoni monety, które mu zostały.

- Nie ma jej w domu.
- Nie ma czy nie chce podejść?
- A cóż to za różnica?
- Żadna, ale ja muszę znać prawdę. Kto odebrał?
- Nie wiem. Pewnie jej siostra.
- Co jej powiedziałaś?
- Że jestem kolegą Montse z uczelni.
- I co ci odpowiedziała?
- Że nie ma jej w Barcelonie. Poprosiła mnie o nazwisko i numer telefonu, na wypadek gdyby Montse chciała do mnie zadzwonić. Powiedziałem jej, że to nic pilnego, że odezwę się kiedy indziej.

Gdy opuszczali aleję, hałas samochodów ustąpił miejsca dźwiękom telewizorów z położonych na parterze mieszkań. Noc była ciepła. Tylko porywy lutowego wiatru niosły ze sobą trochę chłodu. Stanęli na rogu, z dala od centrum. Po ulicach jeździło już niewiele samochodów. Księżyc odbijał się gdzieś daleko, w wyschniętym korycie rzeki Sagufi. Palili w milczeniu. Guillermo nie miał odwagi zakłócać myśli przyjaciela.

- Nigdy więcej, przysięgam! Już nigdy więcej!... -wybuchnął nieoczekiwanie Santiago. - Nie chcę o niej słyszeć!

- Nie denerwuj się tak.

Ale Santiago zdawał się nie słuchać przyjaciela.

- Nikt do tej pory nie potraktował mnie w taki sposób. Jak jakieś gówno. Od dziś Montse dla mnie umarła. Na zawsze! Słyszałeś?

- Słyszałem.

- Jeśli kiedykolwiek wspomnę jej imię albo poproszę, żebyś do niej zadzwonił lub napisał list, przywal mi w głowę. I to z całej siły. Rozumiesz?

- Skoro sobie tego życzysz.

- Przysięgnij.

- Przysięgam.

Santiago, w nagłym przypiływie uczucia, objął przyjaciela i przytulił go z całej siły. Potem pocałował w policzek.

- Co robisz? Puszczaj mnie, kurde... Jak nas zobaczą, pomyślą, że jesteśmy pedałami.

Santiago puścił go i uśmiechnął się po raz pierwszy tej nocy.

- Pedały? Nic podobnego. Tej nocy zabawimy się. Choćbyśmy potem mieli siedzieć w kozie.

Guillermo od razu zaraził się nagłą radością kolegi.

- Idziemy do Oazy - powiedział.

- Pieprzyć Oazę! Tam jesteśmy w każdą sobotę. Idziemy na dziwki. Na prawdziwe kurwy.

- A kasa?

- Jesteśmy narzeczonymi śmierci. Żadna kasa! Pieprzyć pieniądze!

W głębi uliczki pojawił się wóz patrolowy policji terytorial-

nej. Na chwilę obaj legioniści spowaznieli i stali się spięci, jakby Saharyjczycy potrafili czytać w ich myślach. Samochód przetoczył się koło nich, ale się nie zatrzymał.

- Byłeś tam kiedyś? - spytał Santiago, wskazując dzielnicę domów z kamienia.

- Jasne, że nie. Myślisz, że oszalałem? Zresztą tam nie ma żadnych barów ani kurew.

Dzielnicę Zemlę w górnej części miasta zamieszkiwali prawie wyłącznie Saharyjczycy. Nazywano ją czasem dzielnicą domów z kamienia albo Hata-Ramblą, co oznaczało „linia wydm”. Prócz Saharyjczyków mieszkało tam kilku Kanaryjczyków.

- Powiedz: nie jesteś ciekaw, co tam jest?

- Ani trochę. A ty?

- Chodźmy tam. W Legii nie ma ani jednego faceta z jajami, który by tam wszedł.

- A ty masz jaja?

- Jeszcze jakie!

- Jesteś stuknięty, zupełnie pomyłony, stary.

- Nie mogę uwierzyć, że się boisz.

- Wcale się nie boję, Santi, nie wkurzaj mnie. Ale słyszałeś tak samo jak ja, co mówią o tej dzielnicy.

- To wszystko bujdy, Guillermo. Znasz kogoś, kto tam był?

- Nie.

- A ja tak.

- Saharyjczycy się nie liczą, Santi, oni tam mieszkają. Nie słyszałeś o demonstracjach? Te diabły z Polisario zatruwają studnie. Porwali dwóch kierowców. Nie nie wiesz o rzezi w Agyeyimat? Zginęło mnóstwo legionistów.



Zapał Santiaga stygł pod wpływem opowieści przyjaciela. Już od pierwszego dnia, kiedy spacerował po Al-Ujun, ta najwyższej położona część miasta, mimo nędznego wyglądu, przyciągała jego uwagę.

- To się stało daleko stąd. Tu jest cywilizacja. Nie ma żadnych zdrajców. Ale skoro nie jesteś przekonany albo się boisz...

- Spieprzaj! Ja wracam do Oazy.

Zdenerwowany Guillermo ruszył dalej, a jego kolega szedł tuż za nim, nie przestając się uśmiechać. Santiago miał wrażenie, że zawsze żył w tym mieście i zna je lepiej niż rodziną Barcelonę. Starał się myśleć o swojej dzielnicy, domu, kiosku matki, ale obrazy pojawiające się w jego pamięci traciły ostrość. Nagle znowu pomyślał o Montse i już nie mógł przypomnieć sobie jej twarzy.

O ósmej wieczór Via Layetana była kłębowiskiem ludzi i samochodów. Można by powiedzieć, że nowe stulecie rozpoczęło się jak wyścig na czas. Złapanie taksówki stało się wręcz niewykonalnym przedsięwzięciem. W sklepach tłoczyli się klienci, a szyby wystaw były białe od pary. Wyjście ze stacji metra Jaume I wypływało potoki ludzi, którzy natychmiast rozbiegali się na wszystkie strony. Dzielnica Gotycka wchłaniała turystów jak wysuszona gąbka. Na chodnikach dźwięki kolęd, dochodzące ze sklepów przy każdym otwarciu i zamknięciu drzwi, mieszały się z podmuchami ciepłego powietrza z centralnego ogrzewania. Aby przejść dalej, Montse musiała poczekać, aż z metra przestaną wychodzić ludzie. Już ponad godzinę spacerowała i bolały ją nogi. Dobrze wiedziała, dokąd chce pójść, ale próbowała odwlec moment konfrontacji z widmami przeszłości.

Salon przypominał scenerię do filmu grozy. Ostatni raz była tu po śmierci matki, dokładnie dziesięć lat temu. Wszystko wydawało jej się staroświeckie i jakby mniejsze. Nawet światło lamp było przyćmione. Większość mebli przykrywały przeście-

radła, co nadawało pokojowi nieco posępny wygląd. W zamkniętym niewietrzonym pomieszczeniu unosiła się przykra woń. Zrolowane dywany wydzielaly zapach stęchłej wilgoci. Zasłony, o niemodnym już wzorze, wypłowały i poszarzały. Otworzyła okiennice, próbując znowu odetchnąć atmosferą ulicy. Ponieważ drewno napęczniało od wilgoci, niektóre z nich nie dały się otworzyć. Hałas ulicy był wyjątkowo intensywny. Rozejrzawszy się wkoło, Montse załamała się. Nic nie było takie jak w jej pamięci. W ciągu ostatnich lat starała się jak najmniej myśleć o tym mieszkaniu, które teraz wydawało jej się niemal nierealne i przypominało dekorację z *papier-mache* w wyblakłych, sztucznych kolorach. Zaczęła ściągać prześcieradła przykrywające meble i zrzucić je na fotel. W lustrze odsłoniętego kredensu ujrzała nagle własną postać i drgnęła ze strachu. Poczula się jak intruz, który wcisnął się dziurą w czasie do tego swoistego sanktuarium. Ileż to razy stała tu przed lustrem, spinając włosy przed wyjściem! Ileż to razy poprawiała kołnierzyk od bluzki albo przyglądała grzywkę! Ileż to razy wpatrywała się w swoje odbicie dla czystej przyjemności patrzenia na siebie! Piękna nastolatka, pełna planów lub buntu. Zamknęła oczy i, roztrzęsiona, strąciła niechcący jedno ze zdjęć. Cały kredens zastawiony był fotografiami niczym ołtarzyk. Przyjrzała się wszystkim. Na żadnej z nich jej nie było. Stali tam rodzice, dziadkowie, siostra, szwagier, obie siostrzenice. I córka Montse. Wzięła do ręki jedno ze zdjęć, na którym była córka w sukni do Pierwszej Komunii. Nic nie poczuła. Uśmiechnęła się tylko z rozżaleniem, że matka nie zachowała żadnego z jej zdjęć. Próbowała sobie wmówić, patrząc prosto w swoje oczy odbite w lustrze, że wcale jej to nie obchodzi. Odwróciła się plecami do własnego wizerunku.

Jej pokój był taki, jak go zapamiętała. Przysiadłszy na swoim panińskim łóżku, nagle poczuła pełną goryczy tęsknotę. Dobrze wiedziała, że nie potrafi już płakać. Od ponad dwóch miesięcy nie uroniła ani jednej łzy. Rzuciła się na łóżko, wsparła głowę na poduszce i nogi położyła na kapie. Przypomniała sobie, jak bardzo denerwowało to jej matkę. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, co by powiedziała, gdyby ją teraz zobaczyła. Natychmiast poznała wszystkie plamy i rysy na suficie, tak jakby oglądała je stale przez minione lata. Wiszący na środku sufitu żyrandol dodawał pęknięciom życia; tuż obok balkonu wyobraziła sobie cylinder, w samym środku - ślimaka, a dalej profil generalissimusa. Roześmiała się rozbawiona. W jej pamięci zaczęły pojawiać się obrazy, sceny i uczucia, których nie potrafiła już kontrolować. Z uśmiechem na ustach przyknęła oczy, próbując sobie wyobrazić, że czas stanął w miejscu, ona ciągle ma osiemnaście lat, a jej życie jeszcze się nie skomplikowało. Szum samochodów wmięszal się w jej marzenia i podziałal jak najskuteczniejszy środek nasenny.

Obudziła się przestraszona. Śniło się jej, że słyszy natrętny dzwonek telefonu i nikt go nie odbiera. Powstrzymała oddech, próbując oddzielić sen od jawy. Nie wiedziała jednak, jak długo spała. Dzwonek telefonu dźwięczał jej w głowie, ale nie był rzeczywisty. Przez chwilę miała nawet wrażenie, że Mari Cruz otwiera drzwi i mówi do niej poirytowana: „Telefon, panienko. To do panienki”. Ale drzwi się nie otworzyły. Nie mogły się otworzyć. Telefon był wyłączony od dziesięciu lat. Ona skończyła już czterdziestkę, a zmarli nie mogli wstać z grobu, jak gdyby nic się nie stało. Podniosła się i zaczęła szukać pudełka po cygarach w szufladzie szafki nocnej. Położyła

je na łóżku i zaczęła wyciągać po kolei: spinki do włosów, zapalki, stare znaczki, monetę, bilet do muzeum, kredkę do ust. Listy leżały na dnie, przewiązane czerwoną wstążeczką.

Właśnie tak je zobaczyła w kufereku na biżuterię swojej matki. Bardzo dobrze to pamiętała. Siostra siedziała naprzeciwko niej, przy drugim końcu stołu. Kuferek stał pośrodku jak świeżo ekshumowana trumna. Wiedziały, że żadna z nich nie będzie nosiła biżuterii po matce, ale nie mogły jej tak zostawić. Była zbyt cenna. W końcu to siostra otworzyła kuferek i zaczęła rozdzielać kosztowności na dwie kupki. Przypominała zawodową taksatorkę. Widziały te klejnoty tyle razy, że mogły je wymienić, podając nawet wartość, bez otwierania skarbczyka. Kiedy Teresa wyciągnęła ostatni sznur pereł, wbiła wzrok w dno kufereka. „To chyba należy do ciebie” - powiedziała do siostry. Montse spojrzała na nią, blada jak ściana, tak jakby znajdowała się tam jakaś relikwia - niezepsuty palec świętego. Włożyła rękę i wyciągnęła pakiecik listów, przewiązany czerwoną wstążeczką. „To nie moje” - oznajmiła, nie podnosząc oczu. Jej siostra rozsiadła się na krześle i zapaliła papierosa. „Teraz należy do ciebie”. Zimny dreszcz przebiegł Montse po krzyżu. Rozwiązała wstążeczkę i natychmiast zobaczyła własne nazwisko i swój dawny adres na Via Layetana. Koperty pożółkły z czasem. Pobieźnie obliczyła, że musi tam być co najmniej piętnaście, a może dwadzieścia listów ze znaczkiem za trzy pesety z generałem Franco. Nic nie rozumiała. Ułożyła listy w wachlarzyk na stole. Wszystkie były zamknięte. Wzięła jeden i odwróciła, szukając nazwiska nadawcy. Koperta wypadła jej z ręki. Siostra patrzyła nieporuszona, nie okazując

zdziwienia. Montse odwróciła wszystkie listy. Wszędzie widniał ten sam nadawca: Santiago San Roman Chacón, Czwarty Pułk Legii Alejandra Farnesia, Al-Ujun, Sahara Zachodnia. Najpierw poczuła, że się dusi, a potem przeszedł ją delikatny dreszcz. Miała wrażenie, że zmarli wstają z grobu, aby ją dręczyć. Wpatrzyła się w siostrę, prosząc o jakieś wyjaśnienie, ale Teresa nawet nie mrugnęła okiem. To nie było pismo Santiaga, nie miała wątpliwości. „Co to znaczy, Tereso? Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że wiedziałas o tych listach?” Teresa nie odpowiedziała; gładziła biżuterię, jakby to był kot. W końcu odezwała się: „Tak, Montse. Wiedziałam. Niektóre wręczał mi portier. Inne trafiały prosto do rąk matki. Nie miałam tylko pojęcia, że trzymała je przez tyle lat”. Montse milczała. Po tylu latach nie mogła tego traktować jak zdrady, ale pierwszy raz spojrzała na siostrę jak na obcą. Przypatrzyła się stemplom. Listy były poukładane według dat: od grudnia 1974 do lutego następnego roku. Nie odważyła się ich otworzyć przy siostrze. „Ty byłaś w Cadaques. Wiesz, o co mi chodzi. Za każdym razem, kiedy przychodził jeden z tych listów, przeżywaliśmy piekło w domu”. „Tak, ale ty zawsze...” Teresa walnęła pięścią w stół i dwie piramidki z kosztowności rozpadły się. „Nie, Montse, ja wcale nie zawsze... Ty przeszłaś swoje piekło, ale ja przeżyłam tu mój czyściec - rzuciła w porywie złości - i to wcale niezasłużenie. Wysłuchaj mnie i nie wściekaj się tak, jakbyś była bohaterką antycznej tragedii. Kiedy ty byłaś w Cadaques, ukrywając swoją hańbę przed matką, ja musiałam znosić ją dzień w dzień. Codziennie, słyszysz? Kiedy przychodził jeden z tych listów albo ktoś dzwonił, ja musiałam znosić napady furii matki. To ja musiałam stąpać na paluszkach i przemykać się niezauważona. To ja musiałam

chodzić spać o dziewiątej, żeby nie narażać się na jej zły humor. Przestałam spotykać się z koleżankami, by nie błagać jej o pozwolenie. Miałam po dziurki w nosie jej wrzasków, wyrzutów, nagan, i to niesprawiedliwych. Miałam dosyć odgrywania roli idealnej córki, płacącej za grzechy starszej siostry". Nagle zamilkła z udręczoną twarzą, starając się opanować. Tym razem Montse zamarła. Nigdy nie widziała siostry w takim stanie, rozniewanej, rozbitej. Było to dla niej bardziej wstrząsające niż sam fakt odnalezienia listów. Teresa, młodsza siostra, zawsze grała rolę starszej. To Teresa służyła za bufor między nią a matką. Teresa była czystą inteligencją, okazywała chłód, opanowanie i spokój w najbardziej dramatycznych chwilach. Widząc ją w takim stanie, Montse miała wrażenie, jakby świat jej się walił. Przez dłuższą chwilę milczały, patrząc sobie w oczy i starając się opanować. „Wybieraj” - powiedziała w końcu Teresa. „Co mówisz?” „Żebyś wybrała kupkę biżuterii, którą chcesz”. „Może losujmy?” Teresa wyciągnęła notatnik, wyrwała kartkę i podzieliła na cztery części. Nabazgrała liczby, zrobiła dwie kulki i dała do wyboru Montse. Siostra wzięła jedną. Potem Teresa położyła swoją część biżuterii na chusteczce, zrobiła z niej węzełek i schowała do torebki. Wstała. Montse poczuła skrępowanie. Nie miała odwagi zadawać więcej pytań. „Idziesz?” - spytała Teresa. „Zostanę jeszcze chwilę”. „Wychodząc, nie zapomnij zwolnić automatycznej blokady. I zamknij na dwa klucze”.

Kiedy już wielokrotnie przeczytała listy, przewiązane czerwoną wstążeczką, znowu spoczęły na dziesięć lat w kuferku, w szufladzie nocnej szafki w mieszkaniu matki. Teraz też leżały przed nią, pożółkłe, skruszałe, staroświeckie. Rozwiązała wstążkę i rozrzuciła je na łóżku. Otworzyła jeden na chybił

trafił. Pomimo upływu czasu pamiętała dokładnie każde zdanie, tak jakby przeczytała je przed chwilą. Montse dobrze wiedziała, że to nie było pismo Santiaga, ale słowa niewątpliwie należały do niego. Pewnie jakiś kolega pisał listy pod dyktando. W wielu kopertach oprócz listu były jeszcze zdjęcia. Wszystkie do siebie podobne: Santiago w mundurze wojskowym, przed czołgiem, wsiadający do ciężarówki, z karabinem na ramieniu, składający przysięgę na flagę narodową. Montse miała wrażenie, że widzi jego twarz tak żywo i wyraźnie, jakby nawet miesiąc nie minął od ich ostatniego spotkania. Przez całe lata, co noc, ta twarz powracała w jej snach, obsesyjnie, niemal do szaleństwa.

Teraz potrafiła odtworzyć sobie w pamięci wszystkie szczegóły - miny, gesty, zapachy, a myślała, że zapomniała je na zawsze. Przez chwilę wydawało jej się nawet, że słyszy szybkie kroki Mari Cruz, gosposi, stukającej obcasami po parkiecie przedpokoju. Ten stukot stanowił część jej młodości, podobnie jak widok z balkonu. Ten sam stukot, który słyszała tamtego upalnego lipcowego popołudnia, rozlegający się w tę i z powrotem po przedpokoju, podczas gdy ona czekała, siedząc na łóżku, udając, że czyta, i niecierpliwie obgryzając paznokcie. Po raz pierwszy w życiu opuściła lekcje. Oczywiście, że rano poszła na Uczelnię Świętej Teresy, ale po obiedzie powiedziała Mari Cruz, że się źle czuje, ma straszną migrenę. Dodała jeszcze, że jeśli ktoś zadzwoni, ma ją natychmiast zawiadomić. Ale godziny mijały i nikt nie dzwonił. W swojej sypialni Montse mogła nie usłyszeć telefonu, dlatego nasłuchiwała kroków służącej, niespokojna, czujna na każdy dźwięk i każdy ruch. Przez otwarte drzwi balkonu słyszała dzwony wybijające godziny w Dzielnicy Gotyckiej. Myślała tylko i wy-



łącznie o chłopcu, który ją odwiózł do domu poprzedniego dnia. Teraz sposób, w jaki pożegnała go pod domem, wydawał jej się bardzo chłodny. Może powinna była coś powiedzieć, zostawiając mu numer telefonu. Prawdopodobnie źle odczytała wyraz jego czarnych i tajemniczych oczu. Może Santiago San Roman miał wszystkie dziewczyny, które chciał; wystarczyło tylko, że zaprosił je do białego kabrioletu, tak jak ją. Nacichodziły ją wątpliwości i rósł niepokój.

Poszukała nazwiska San Roman w książce telefonicznej. Chociaż poznała numer jego telefonu, i tak nie była w stanie do niego zadzwonić, ale przynajmniej uspokajała ją myśl, że może się z nim skontaktować, kiedy zechce. Od czasu do czasu stukot obcasów Mari Cruz ją przestraszał. Niespokojna, chyba z dziesięć razy wychodziła na balkon. Może chłopak naigrawał się z niej teraz. Na pewno miał narzeczoną, a ją zaprosił do auta, żeby pokazać swojemu kumplowi, Pascualinowi, jakie ma powodzenie wśród dziewczyn. Chyba nie powinna była pierwsza go całować... Może powinna była dać się pocałować... Im później się robiło, tym bardziej czuła się niewolnicą własnych nerwów. Ogarniała ją wściekłość na samą myśl, że opuściła lekcje przez takiego pacana, i czuła, że nie może myśleć o nikim innym, tylko o tym „Panu Nikt”, który tak bardzo chciał się przed nią popisać. Kiedy jednak usłyszała szybsze niż zwykle kroki Mari Cruz, która zatrzymała się przed jej drzwiami, a potem delikatnie zastukała i powiedziała: „Panienko Montse, telefon”, musiała się opanować, bo o mało jej serce nie wyskoczyło z piersi. Poleciała jak szalona, wpadła do salonu, zatrzasnęła drzwi i prawie bez tchu złapała w obie ręce słuchawkę. „Mówi Santiago San Roman - usłyszała głos po drugiej stronie telefonu. - Nie wiem, czy sobie przypomi-

nasz wczorajszy wieczór". „Santiago San Roman?" - powtórzyła Montse, starając się, aby nie wyczuł sztuczności w jej głosie. Zapadła chwila dręczącej ciszy, jakby to była pomyłka. „Wczoraj odwiozłem cię do domu i dałaś mi swój numer. To znaczy nie dałaś mi, tylko ja cię poprosiłem..." „Aha, już wiem, to ty jesteś tym chłopakiem z białego kabrioletu". Santiago drżącym głosem wyjąkał: „Tak, to ja. Santiago. Dzwonię, bo może masz ochotę się przejechać". „Przejechać, ale gdzie?" - Montse było przykro, że musi udawać chłód, ale nie potrafiła rozmawiać inaczej. „Gdzieś tu, po okolicy. Zresztą gdzie chcesz. Przekąsimy coś i w ogóle". „Twój kolega, ty i ja?" „Coś ty? Skądże. Tylko ty i ja. Pascualin ma mnóstwo pracy". Montse policzyła powoli do siedmiu. „Muszę się uczyć. Mam zaległości z niemieckiego". Santiago nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. „Kurczę, szkoda. W takim razie zadzwonię kiedy indziej". Dziewczyna przełknęła ślinę i zrobiła coś wbrew swoim zasadom. „Czekaj. Gdzie teraz jesteś?" „Przed twoim domem, w budce telefonicznej". „Nie ruszaj się stamtąd, zaraz schodzę".

W tamtym dniu Montse po raz ostatni uczestniczyła w zajęciach na Uczelni Świętej Teresy. Od tej pory lato zmieniło się w wiosnę, podręczniki w zeszcłe kwiaty. Czowała duszący upał i delikatny wietrzyk, który nie przestawał pieścić jej skóry przez wiele miesięcy, nawet gdy wilgotny chłód od morza wciskał się w górę aleją Ramblas, przenikając wszystkie ulice miasta.

Tamtego wieczoru niebo było zabarwione tak intensywną czerwienią, jakiej Montse nigdy nie widziała. Santiago miał na sobie tę samą nieskazitelną białą koszulę, z rękawami zawiniętymi za łokcie. Wydał jej się wyższy niż poprzedniego

dnia, ciemniejszy i przystojniejszy. Prawie godzinę zabrało jej wyszykowanie się i zejście na dół, ale chłopak nie powiedział jej ani słowa; czekał na nią, nie wychodząc z budki. „Dokąd chcesz mnie zabrać?” - spytała wyzywająco Montse, stanąwszy naprzeciwko niego. „Miałabyś ochotę na spacer?” „Piechotę?” Chłopak nie spodziewał się takiego pytania. „Nie masz samochodu?” Santiago zaczerwienił się. Po raz pierwszy wyglądał na dotkniętego. Wziął Montse za rękę i poszli w dół ulicą jak para narzeczonych. „Dziś nie mam kabrioletu - tłumaczył dziewczynie, otwierając drzwiczki żółtego seata 850. - Został w garażu”. Montse wsiadła bez słowa. Wewnątrz unosił się zapach papierosów i smaru.

Siedząc w aucie z opuszczonymi szybami, przez które wpadało świeże powietrze, Montse czuła się tak dobrze jak poprzedniego wieczoru w białym kabriolecie. Spoglądała kątem oka na Santiaga, który prowadził tak, jakby to robił przez całe życie. Minęli Dzielnicę Gotycką i wjechali na Ramblas. San Roman wysiadł z samochodu i pobiegł otworzyć drzwi Montse. Dziewczyna nie potrafiła ukryć, jak bardzo podobał jej się ten gest. Bez słowa wskazał jej lokal i wpuścił ją pierwszą. Montse знаła to miejsce, ale nigdy tu nie była. Kiedy usiedli przy barze, Santiago zamówił dwa piwa, nie pytając jej nawet, na co ma ochotę. Czuł się swobodnie, tak jakby to był jego świat. Natomiast Montse z trudem zachowywała się naturalnie. Miała wrażenie, że wszyscy się na nią gapią: kelnerzy, goście, przechodnie mijający wielkie okna lokalu. Próbowwała sobie wyobrazić, co powiedziałyby koleżanki, gdyby ją tu zobaczyły. Ledwie mogła skupić uwagę na tym, co mówi Santiago, a mówił jak nakręcony, nie dając jej dojść do słowa. Pijąc pierwsze piwo w swoim życiu, Montse próbowała odgadnąć,

co się kryje za słowami chłopaka. Piła tak, jakby jej smakował ten gorzkawy napój. Wzięła od niego papierosa i paliła, nie zaciągając się, żeby się nie rozkaszleć. Tamtego wieczoru wszystko było dla niej magiczne. Pozwoliła mówić Santiagowi i nie zadawała żadnych pytań. Kiedy około dziesiątej wieczorem żegnali się, Montse dała się pocałować. Po raz pierwszy zadrżała, czując pieśczoły chłopaka. Wsiadła z samochodu, mając w ustach smak piwa, papierosów i pocałunków Santiaga. Kręciło jej się w głowie. Kiedy otwierała bramę, w szybie odbiła się postać opartego o samochód San Romana, patrzącego na nią uważnie, pewnie z uśmiechem na ustach. Obiecała sobie samej, że już nigdy nie wsiądzie z nim do samochodu i nigdy więcej go nie zobaczy. Przeżycia tych ostatnich dwóch dni wystarczą na temat rozmów z koleżankami przez długie miesiące. Żadnej z nich nic podobnego się nie przydarzyło. Odwróciła się, żeby się z nim pożegnać po raz ostatni, i musiała aż przymknąć oczy, widząc go tak przystojnego, czujnego na wszystkie jej gesty i tak bardzo eleganckiego.

Już przed ósmą rano Montse stała na rogu Via Layetana, przed zakładem szewskim, czekając, aż pojawi się żółty samochód Santiaga. Tym razem przyjechał czerwonym. Ubiegłego wieczoru, ledwie otworzyła drzwi, służąca powiedziała, że jest do niej telefon. To Santiago dzwonił z budki naprzeciwko. „Chodzimy ze sobą?” - spytał ją bez zbędnych wstępów. Montse poczuła przechodzące ją aż po szyję dreszcze. Czuli się pijana i szczęśliwa. „Tak” - odparła, starając się zachować dystans. „W takim razie czekam na ciebie jutro o ósmej przed szewcem”. Nic nie odpowiedziała i odłożyła słuchawkę. Wiedziała, że nie będzie jej łatwo wybić sobie tego chłopaka z głowy.

Przytulała do siebie podręczniki i teczkę, jakby to była poduszka. W piórniku oprócz pióra i długopisów miała jeszcze kredkę do ust i tusz do rzęs. Nie odważyła się pomalować szminką w domu. Była taka zdenerwowana, że musiała oprzeć się o wystawę, aby ukryć drżenie nóg. Wiedziała, że niedobrze robi, że powinna była dać się dłużej prosić, ale nie potrafiła kontrolować własnych impulsów. Kiedy usłyszała, jak trąbi na nią czerwony samochód, i zobaczyła, że Santiago wygląda przez okienko, przebiegła przez ulicę, nie zważając na jadące z obu stron auta. Otworzyła tylne drzwi, rzuciła książki na siedzenie i usiadła z przodu. „To także wóz twojego ojca?” - spytała go bez złościwości i bez ironii, ale Santiago poczerwieniał ze wstydu. Montse pocałowała go, delikatnie muskając wargami. „Co tam masz?” - spytał. „Książki. Przecież nie powiem w domu, że nie idę na zajęcia”. Santiago uśmiechnął się. „Jesteś bardzo sprytna”. „Dzisiaj nie musisz pracować?” - tym razem pytanie było podszyte ironią, ale Santiago tego nie zauważył. „Mam urlop”. Przejeżdżali Barcelonę w upalny poranek. Wraz z upływem godzin słońce rozpałało ulice i gmachy. Santiago nie śpieszył się, prowadził tak, jakby siedział przy barze. Natomiast Montse cały czas paplała. Była w euforii. Wszystko przyciągało jej uwagę: wycie karetki, żebrak przechodzący na pasach, para zakochanych, facet podobny do jej wujka. Santiago uważnie jej słuchał i uśmiechał się bez słowa. Przejeżdżali przez miasto z południa na północ i z północy na południe. Przekąsili coś na tarasie widokowym. Kiedy Santiago zaproponował, żeby poszli do wesołego miasteczka, Montse nie potrafiła ukryć entuzjazmu.

Z punktu widokowego na Montjuic podziwiała port, jakby była królową świata. Zanim wysiadła z samochodu, pomalo-

wała sobie usta, przeglądając się w lusterku wstecznym, i nałożyła tusz na rzęsy. Wszystko działo się zbyt szybko i nie miała czasu na zastanowienie. „Wyglądasz jak księżniczka” - powiedział jej Santiago. A Montse poczuła, że ściska się jej żołądek. Pozwoliła się objąć i kiedy jej wzrok błędził gdzieś nad statkami, pomyślała o chłopcach, których znała do tej pory. Żaden z nich nie przypominał Santiaga. Teraz wydawali jej się dziecinni, niedojrzali. Pozwalała się obściskować. Gdyby nie dreszcze przechodzące po jej ciele, pomyślałaby, że to tylko sen. Ale to nie był sen. Nikt nie zrozumiałby, co czuła w tym momencie. Nagle, jak w przelotnej wizji, zobaczyła domek letniskowy w Cadaques. Teraz wydawało jej się, że zmarnowała tam tyle wakacji, wierząc, że jest w samym centrum świata. „Umiesz pływać?” - spytała chłopaka. „Nie, nie miałem czasu się nauczyć. A ty?” „Ja też nie” - skłamała.

W wesołym miasteczku zjedli watę cukrową. Potem poszli na strzelnicę. Przejechali się samochodzikami na autodromie. Jak para zakochanych spacerowali wśród różnych atrakcji. Kiedy wsiedli do kolejki górskiej, przytulili się mocno i tak już pozostali objęci. Wmieszali się w tłum, starając się przejść niezauważeni wśród nielicznych turystów. Montse paplała i paplała. Nerwy zmieniły ją w gadułę. „Chcę zapalić” - powiedziała. Santiago poszedł kupić w kiosku paczkę chesterów. Za każdym razem, kiedy musiał za coś płacić, wyciągał plik setek, które odliczał z wprawą kasjera w banku. „Powiedz, naprawdę jesteś taki bogaty?” „Oczywiście. Najbogatszy na świecie. Przy tobie czuję się najbogatszy na świecie”.

W południe Montse zadzwoniła do domu, aby zawiadomić służącą, że zje obiad u swojej przyjaciółki Nurii. „A ty, Santiago, nie dzwonisz do rodziców?” „Nie, nigdy. Nie muszę się

tłumaczyć. Jestem niezależny". „Masz szczęście!" Obiad zjedli w drogiej restauracji. Santiago starał się, aby Montse czuła się wspaniale, jak nigdy dotąd. Kiedy dziewczyna, przytulając książki, otworzyła bramę domu, wydawało jej się, że cały świat wiruje. Odwróciła się, żeby pożegnać się z Santiagiem, i poczuła, że delikatnie wpycha ją do przedsionka. „Co robisz?" „A jak myślisz?" Pocałowali się. Montse pierwszy raz czuła cudze dłonie dotykające jej tam, gdzie jeszcze nikt się nie ośmielił. Książki z głuchym stukotem spadły na posadzkę. Długo trwało, zanim zdecydowała się pójść do domu. A potem w nocy, choć była bardzo zmęczona, nie mogła zasnąć. Postanowiła nie myć zębów, żeby jak najdłużej czuć pocałunki Santiaga, ale smak po papierosach okazał się nie do zniesienia. Jeszcze zanotowała coś w pamiętniku. Śniła na jawie. Następnego dnia myślała tylko o jednym: żeby nikt z rodziny o niczym się nie dowiedział.

Wczesnie rano zadzwoniła do ojca. Porozmawiała chwilę z młodszą siostrą, Teresą, i oczywiście z matką. Przekonała ich, że się strasznie nudzi na kursach. Skłamała nawet, mówiąc, że chciałyby pojechać do Cadaques. O wpół do dziesiątej stała zdenerwowana przed zakładem szewskim, obejmując książki. Tego dnia Santiago przyjechał białym samochodem, ale nie kabrioletem. Montse wsiadła, tak jakby to było rutyną, uśmiechnięta, pragnąc mieć przy sobie Santiaga. „Nie wierzę, że pracujesz w banku, ani w to, że twój ojciec jest dyrektorem". Chłopak zeszywniał, wcisnął pedał gazu i włączył się do ruchu. „Kłamiesz, Santi. A ja ci nie skłamałam ani razu". „Ani ja, Montse, ani ja. Naprawdę nie jestem kłamczuchem". Dziewczyna od razu zauważyła, w jakie zakłopotanie wprowadził ją chłopaka. Oparła głowę o podglówek i położyła mu delikatnie

rękę na kolanie. „Powiedz, Santi. Kochałeś już wiele kobiet?” Uśmiechnął się, starając się zachowywać swobodnie. „Żadnej tak jak ciebie, królewno”. Montse wydało się, że spada na nią z nieba deszcz płatków róży. Drżały jej kolana. „Kłamiesz - powiedziała, przyciskając rękę do jego nogi. - Ale ja to lubię”. „Przysięgam, że nie kłamię. Przysięgam na...” Ale słowa utknęły mu w gardle. Zmarszczone brwi świadczyły, że jakieś mroczne wspomnienie przemknęło mu przez głowę.

Cały tydzień książki Montse podróżowały na tylnym siedzeniu coraz to innych samochodów. Miała wrażenie, że patrzy na świat gdzieś z wysoka. Unosiła się nad miastem i dopiero kiedy wracała do domu, stąpała trzeźwo po ziemi. Co wieczór, zanim się pożegnali, Santiago prowadził ją pod ogromne, kręte schody. Tam Montse pozwalała mu się dotykać i pieścić. Całowali się godzinami, aż do bólu. Dręczyło ją tysiące pytań, ale nie miała odwagi przerwać tej magicznej chwili. Oczywiście szybko się domyśliła, skąd pochodzi Santiago. Nie mówił jak Katalończyk, zachowywał się impulsywnie, przeczył samemu sobie. Chociaż starał się ukrywać dłonie, zauważyła, że paznokcie oraz palce ma ubrudzone smarem i przypominały raczej ręce tokarza niż urzędnika z banku. Ale za każdym razem, kiedy Montse mu o tym mówiła, chłopak cierpiał, a ona nie chciała go dłużej dręczyć. Potem, w domu, w łóżku, starała się spojrzeć na te sprawy z dystansem. Co noc postanawiała porozmawiać z Santiagiem, gdy będą razem, ale kiedy przychodziła ta chwila, bała się zrobić coś, co by go spłoszyło.

Dwadzieścia kilka lat później, leżąc na swym panińskim łóżku, miała wrażenie, że znowu prześladowuje ją ta sama myśl.



Zdjęcia Santiaga w mundurze wojskowym cofnęły czas. Wydawało jej się, że widziała to samo spojrzenie ledwie parę godzin temu, kiedy zegnali się pod schodami. Przyjrzała się swoim dłoniom i stwierdziła, że nie jest już młoda. Czuła się tak, jakby odgrzebała zwłoki. Wyjęła zdjęcie znalezione w szpitalu i położyła na kołdrze, tuż obok pozostałych fotografii. Nie miała wątpliwości, że to był Santiago San Roman. Teraz próbowała sobie przypomnieć, co czuła, kiedy powiedzieli jej, że zmarł. Bardzo dobrze pamiętała twarz kioskarki i jej męża. Czy był to pomysł Santiaga? Chciał się zemścić, wymyślając pogłoskę o własnej śmierci? Był to makabryczny żart czy tylko plotka, której nikomu nie chciało się sprawdzić? Piekły ją oczy od długiego wpatrywania się w zdjęcia. Postanowiła zrobić coś, co planowała przez cały dzień. Wyjęła z torbki komórkę. Poszukała numeru pośpiesznie nabazgranego w notatniku. Wybrała cyfry, czując nerwowe skurcze żołądka. Miała wrażenie, że odsuwa płytę nagrobną na cmentarzu, aby się przekonać, czy trup ciągle tam leży. Niecierpliwie odczekała parę sygnałów. W końcu ktoś odebrał telefon. Usłyszała słaby męski głos.

- Czy to pan Ayach Bachir?
- Kto mówi?
- Tu doktor Montserrat Cambra. Czy mogę rozmawiać z panem Ayachem Bachirem?
- Tak, to ja.
- Dzwonię ze szpitala Santa Creu.
- Ze szpitala? Co się znowu stało?
- Nic. Proszę się nie denerwować. Nic się nie stało. Chciałam tylko porozmawiać o pana żonie.
- Moja żona nie żyje. Pochowaliśmy ją dwa dni temu.

- Wiem. To ja wystawiłam kartę zgonu.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Dla Montse to wszystko było bardzo bolesne. Odetchnęła głęboko, zanim zaczęła mówić.

- Proszę pana, chciałam tylko poinformować, że kiedy zwracano rzeczy osobiste pana żony, coś się zawieruszyło w szpitalu. Chodzi o zdjęcie. Chciałabym osobiście zwrócić je panu i porozmawiać.

- Zdjęcie? Jakie zdjęcie?

- Jedno z tych, które pana żona nosiła w torebce.

- Oddali mi wszystkie w szpitalu.

- Przepraszam, że nalegam, ale jedno z nich zawieruszyło się między papierami - skłamała Montse, starając się być stanowcza. - Wiem, że to pewnie nie najlepszy moment, ale jeśli to panu nie przeszkadza, chciałabym się spotkać i zwrócić fotografię. Jeśli pan woli, mogę przyjechać do pana.

Znowu cisza pełna oczekiwania.

- Do mnie? Jak pani mówi, że się nazywa?

- Montserrat Cambra. Znalazłam pana adres w karcie szpitalnej. Właśnie mam ją przed sobą - znowu skłamała - Carrer de Balboa. To ten, prawda?

- Tak, to mój adres.

- A zatem jeśli to panu nie przeszkadza...

- Nie przeszkadza. Bardzo pani miła...

Teraz Montse odetchnęła spokojnie. Zdawało jej się, że w końcu opuściła grząski teren.

- W takim razie jutro do pana przyjadę. Oczywiście, jeśli to panu odpowiada...

- Naturalnie, że odpowiada. Kiedy pani sobie życzy. Czekałam na panią.

Montse wyłączyła telefon i schowała do torebki. Związała listy czerwoną wstążeczką i odłożyła na miejsce. Kiedy wsunęła dłoń do szuflady, wymacała coś jeszcze. Był to lekko już poczerniały srebrny pierścionek. Wyjęła go i obejrzała pod światło, jakby to był pryzmat. Serce znowu zaczęło szybciej bić i nagle stwierdziła z ulgą, że łza ścieka jej po policzku i zatrzymuje się w kąciku ust.

w obozach uchodźców w początkach marca, w samo południe, szczególnie doskwiera upał. Między salami szpitalnymi a dziedzińcem panuje duża różnica temperatur. Dla cudzoziemki obserwowanie świata w pełnym słońcu staje się prawdziwą przyjemnością. Cieszy się, czując promienie słońca na skórze. W przenikliwym chłodzie poranka celebrytuje wszystkie codzienne czynności tak, jakby należały do odwiecznego rytuału. Nauczyła się myć od stóp do głów jednym zaledwie litrem wody. Lubi to robić powoli jak ktoś, kto się przygotowuje do jakiejś ważnej uroczystości. Poranne ablucje zajmują jej ponad godzinę. Jej ruchy są powolne. Szybko się męczy. Z trudem podnosi rękę, aby się uczesać. Kiedy w końcu jest gotowa, siada na krześle i dopiero wtedy spogląda w lusterko. Nie poznaje samej siebie. Wygląda żałośnie, ale bawi ją nieznanym widok odbity w lustrze. Ma splątane włosy, spaloną skórę, zaczerwienione oczy. Bardzo schudła. A jednak czuje się szczęśliwa. Wszystko dookoła wydaje jej się znajome, płyty obłożonego tynku na suficie, okienko, stelaż bez materaca naprzeciwko jej łóżka, szafka nocna, która kiedyś była biała. To już trzeci dzień,

kiedy, nacieszywszy się przestrzenią pokoju, wychodzi na dziedziniec szpitalny. Dobrze zna drogę. Dziś nikt nie musi jej towarzyszyć. Przerazają samotność pustych korytarzy. A jednak zapach wydaje jej się znajomy. Czuje się jak w domu.

Kiedy pojawia się na dziedzińcu, podchodzi do niej pielęgniarka. Zna ją, ale nie może przypomnieć sobie jej imienia. Z zadowoleniem siada na podstawionym krześle. Pielęgniarka mówi tylko po arabsku, ale cudzoziemka natychmiast pojmuje, że Saharyjka wita ją i pyta, jak się czuje. Jest tak samo szczęśliwa jak ona. Nawet na chwilę nie przestaje się uśmiechać. Z drugiego końca dziedzińca pozdrawia ją jakiś chłopak. Jego imienia też nie pamięta. Nawet nie jest pewna, czy widziała go przedtem, chociaż w pewien sposób wydaje jej się znajomy. Cudzoziemka siada. Wysiłek, jaki włożyła w wyszykowanie się i wyjście na dwór, bardzo ją wyczerpał. Słońce dodaje jej sił. Wie, że za dwie godziny upał stanie się nie do wytrzymania i nie będzie mogła siedzieć na słońcu. Przymyka oczy. Poranny wiatr ucichł. Próbuje sobie przypomnieć, który to dzień tygodnia. Wczoraj pytała o to Laylę, ale dziś już nie pamięta. Nagle przypomina sobie miesiąc: marzec. Dziś po raz pierwszy po przebudzeniu nie zobaczyła obok swego łóżka Layli. Dziwi ją to. Twarz pielęgniarki stała się dla niej tak bliska, że za nią tęskni. Zamyka oczy i zasypia.

Już kolejny raz ktoś ją wrywa z koszmaru. Znowu niemal czuła kolec skorpiona wbijający się w szyję, kiedy nagle jakaś chłodna dłoń dotyka jej twarzy. To Layla, która właśnie przyszła, jak zwykle z uśmiechem na ustach. Pielęgniarka nie ma na sobie zielonego fartucha i cudzoziemka czuje się tym zdezorientowana.

- Słyszałam, że sama się ubrałaś.

- Całkiem sama. I doszłam aż tu.

Layla cieszy się z tej nowiny. Przykuca i ujmuje dłoń kobiety.

- Chciałabym to zobaczyć.

- Jutro zobaczysz, obiecuję. Gdzie byłaś?

Layla przestaje się uśmiechać. Wygląda na zaskoczoną.

- Ależ, Montse, mówiłam ci wczoraj. Nie pamiętasz?

Montse udziela się smutek pielęgniarki. Nagle czuje się nikomu niepotrzebna, myśli, że jest zawadą dla wszystkich. Martwią ją luki w pamięci. Zadręcza się, że nie może sobie przypomnieć niektórych spraw albo pamięta zaledwie fragmenty zdań, wrywkowe obrazy. Layla próbuje ukryć rozczarowanie. Stara się to zlekceważyć i mówi tak, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

- Rozmawiałam z Radą. Już otrzymali informację z Rabuni.

- I co stamtąd przysłali?

- Dobre wiadomości. Już nie jesteś zjawą. Sprawdzili wszystkie przyloty w ciągu ostatnich miesięcy i wpadli na twój ślad. Figurujesz na liście pasażerów lotu z Barcelony, w dniu trzydziestym pierwszym stycznia... Montserrat Cambra Boch.

- Mówiłam ci.

- Tak, mówiłaś, rzeczywiście. A jednak to bardzo dziwne, że nikt nie zgłosił twojego zaginięcia.

Na twarzy Montse pojawia się nagły smutek.

- To nic dziwnego. Nikomu nie mówiłam, że jadę do obozów uchodźców. Tylko Ayach Bachir o tym wie. On wszystko załatwił.

Layla stara się nie okazywać zdziwienia. Po raz kolejny ta kobieta jest dla niej prawdziwą skarbnicą tajemnic.

- **Wali** powiedział, że wszystko da się załatwić. Za dzień dni wylatuje samolot z Tindufu do Hiszpanii. Wystawią

ci dokumenty i paszport, żebyś mogła stąd wyjechać. Już rozmawiali z ambasadą Hiszpanii w Algierze. Jutro przyjedzie ktoś z Rabuni, żeby zrobić zdjęcie i wziąć twoje dane.

Montse pozostawia to bez komentarza. Na jej twarzy nie malują się żadne uczucia. Layla próbuje odgadnąć, ile jeszcze rzeczy nie wie o tej kobiecie, która przypadkiem pojawiła się w jej życiu. Odruchowo przykładając rękę do jej czoła, żeby sprawdzić, czy nie ma gorączki.

- Ile masz lat, Layla? - pyta Montse, jakby wydobywając się z letargu.

To samo pytanie chciała jej zadać pielęgniarka, kiedy się nadarzy okazja.

- Dwadzieścia pięć.

- O mój Boże, jakaś ty młoda!

Layla uśmiecha się, pokazując białe lśniące zęby.

- A ty?

- Czterdzieści cztery.

- Czterdzieści cztery?! Kłamiesz!

Montse uśmiecha się rozbawiona.

- Jesteś bardzo miła, ale zapewniam cię, że to prawda.

- Gdzie jest twój mąż?

Cudzoziemka zwleka z odpowiedzią.

- Jest jeszcze taka możliwość, że mogę być samotna.

- Tak, ale jakoś w to nie wierzę - odpowiada Layla w porwywie szczerości.

- Kilka miesięcy temu rzucił mnie dla innej. To młoda lekarka, rentgenolog, blondynka i bardzo ładna. Jesteśmy w separacji... Niedługo się rozwiedziemy... Blondynki zawsze przynosiły mi pecha.

Layla patrzy na nią poważnym wzrokiem, próbując wy-

sondować, co jeszcze kryją błyszczące oczy cudzoziemki. Montse stara się odebrać swoim słowom znaczenie.

- Jakoś sobie poradzę. Zwłaszcza po moich przejściach tu, na Saharze. - Layla uśmiecha się. - A ty jesteś mężatką?

- Jeszcze nie. Jesienią wychodzę za mąż. Kiedy miałam jedenaście lat, pojechałam uczyć się na Kubę i wróciłam dopiero siedem miesięcy temu.

Tym razem Montse stara się odgadnąć, co kryją te piękne ciemne oczy.

- Aza też była na Kubie - mówi Montse machinalnie.

Layla słyszała to imię już tyle razy, że wydaje jej się znajome. Siada na ziemi i czeka, aż Montse powie coś więcej na temat tej kobiety, która jest dla niej prawdziwą zagadką. Ale Montse siedzi z zagubionym spojrzeniem, jakby zmęczenie nie pozwalało jej mówić.

- Czy ta kobieta naprawdę istnieje? - pyta Layla, bojąc się, że zabrzmiało to trochę niegrzecznie.

Montse patrzy na nią. Layla przypomina jej Azę. Może tamta była ciemniejsza. Jednak obie mają takie samo spokojne spojrzenie.

- Nie wiem. Niczego nie jestem pewna. Czasami myślę, że był to jakiś koszmar senny i w rzeczywistości nic się nie stało. Chodzi mi o Azę, lotnisko, tych wszystkich ludzi, których ciągle widzę w moich snach. Gdyby nie to, że jestem taka słaba, pomyślałabym, że oszalałam.

- Nie jesteś szalona. Nikt tak nie sądzi. Ale ta kobieta mnie intryguje. Sama mówiłaś, że widziałaś, jak umiera.

Montse szuka zrozumienia we wzroku pielęgniarki.

- Dlaczego nie opowiesz mi tego, co pamiętasz? - proponuje w końcu Layla. - Może tak będzie lepiej...



- Możliwe, ale tyle spraw umknęło mi z pamięci...
- Pamiętasz dzień, w którym przyleciałaś do Tindufu? Poznałaś Azę podczas podróży? Pamiętasz samolot, lotnisko?

Nie mogła tego zapomnieć. Nigdy nie doznała podobnego uczucia. Pierwsza wyszła na schodki samolotu. Wtedy suche powietrze, bardzo suche, uderzyło ją w twarz jak niespodziewany cios. Z trudem wciągnęła powietrze i odetchnęła. Niebo było ołowiane. Zdawało się, że zaraz opadnie na samoloty stojące daleko na pasie startowym. Przez chwilę straciła poczucie czasu. Mógł to być świt, zmierzch, samo południe, a może późny wieczór. Wszystkie znane jej pojęcia czasowe znikły, kiedy stanęła na płycie lotniska. Żołnierz wskazywał pasażerom kierunek, w którym mieli się udać. Montse śpieszyła się, choć sama nie wiedziała po co. Pomalowany na kolor ochry terminal lotniczy zbudowany był w stylu kolonialnym. Od samolotu do drzwi odprawy celnej dzieliło ich zaledwie dwieście metrów. Pasażerowie kłębili się przed wąskimi drzwiami, uniemożliwiając swobodne wejście. Algierczycy, wsparci o ścianę albo przycupnięci na chodniku, patrzyli na nowo przybyłych z ponurymi minami. Czarne i niebieskie turbany, galabije, nieprzeniknione oblicza, mundury żołnierzy, srogie wygląd wojskowych i broń wywierały na wszystkich ponure wrażenie. Montse była zdenerwowana. Irytowało ją, że musi stać w długiej i posuwającej się ospale kolejce. Nie знаła nikogo i nie miała ochoty nawiązywać rozmowy. Wydawało jej się, że czas stanął w miejscu, że dłużej czeka na odprawę, niż trwał sam lot. Kiedy w końcu jakiś nieopierzony żołnierz wziął od niej paszport, zrozumiała, że to miejsce nie jest celem

wycieczek turystycznych. Wojskowy chyba z tysiąc razy przyglądał się jej zdjęciu, sprawdzając, czy przypomina twarz, którą miał z drugiej strony okienka. Potem upewniał się, że informacje, które Montse podała policji algierskiej, są zgodne z danymi wpisanymi do paszportu. Sprawdzał każdą kropkę nad „i”, każdy przecinek, każdy łącznik, każdą kreskę. Weryfikował również cyfry, na wypadek gdyby były jakieś błędy. Przez prawie piętnaście minut nerwowego oczekiwania, wśród uważnych spojrzeń, bez ani jednego słowa, Montse stała i nie wiedziała, co się dzieje w głowie tego młodego człowieka.

Kiedy dobrnęła na postój z walizką w ręce, była zupełnie wykończona. Oszalałymi ją głosy podróżnych hiszpańskich, stopy plecaków, bieganina to w jedną, to w drugą stronę. Poszukiwała w kieszeni karteczki z nazwiskiem osoby, która miała ją odebrać na lotnisku. Trudno było oczekiwać, żeby w takim tłumie wpadli na siebie. Saharyjczycy, którzy przylecieli z Barcelony, próbowali zorganizować się w grupy do dwóch ciężarówek i autobusu. Gęsty tłum kłębiący się przy wejściu na lotnisko powoli się przerzedzał. Cudzoziemcy czekali już usadowieni w samochodach. „Pani z nami nie jedzie?” - jakiś Saharyjczyk nawoływał ją sprzed ciężarówki. Montse pokręciła przecząco głową. Mężczyzna jakby w to wątpił. Na chwilę oderwał się od swoich zajęć i podszedł do niej. „Czekam na kogoś” - wyjaśniła Montse, uprzedzając pytanie. „Przyjadą po panią?” „Tak, mają mnie odebrać”. „Do którego z obozów pani jedzie?” Montse wyciągnęła do niego kartkę z danymi. Dla niej wszystkie nazwiska i miejsca brzmiały podobnie. Saharyjczyk z mozołem odczytał litery. „To bardzo daleko od naszego. My jedziemy do Dajli. Jeśli pojedzie pani z nami, możemy tam panią podrzucić... jutro lub pojutrze”. „A jeśli

po mnie przyjadą?" Saharyjczyk spojrział w kierunku ciężarówki. Kierowca wołał go głośno i nie przestawał naciskać klaksonu. Wszystko było już gotowe do drogi. „Proszę posłuchać... Może już po panią byli i odjechali bez pani. Samolot wylądował z dwunastogodzinnym opóźnieniem. Zmienił się rozkład, a oni mogli o tym nie wiedzieć". Montse czuła się skołowana głosami dochodzącymi z ciężarówki. „Proszę już iść, czekają na pana. Ja tu zostanę. Jeśli bardzo się spóźnią, zastanowię się, co robić". Niezupełnie przekonany Saharyjczyk odszedł. Wsiadł do ciężarówki i wóz ruszył.

Przymurowana do chodnika, z walizką przyklejoną do nóg, Montse czuła, że wszyscy mężczyźni beczynn timer wyciekający przy drzwiach terminalu nie spuszcza ją z niej wzroku. Stała tak ponad dwie godziny, w widocznym miejscu, i nikt do niej nie podeszedł. W końcu, przegrana, usiadła na walizce. Znużenie nie pozwalało jej myśleć, co powinna zrobić. Zbliżał się wieczór i coraz mniej pojazdów stało przy wejściu do terminalu. Nie było też żadnego punktu informacyjnego. Gdzieś, w oddali, majaczyły światła miasta, ale drzwi do budynku zamknięto, kiedy wyszli pasażerowie z ostatniego lotu. Zrozpaczona, dźwigając walizkę, podeszła do jednego z nielicznych samochodów stojących jeszcze na parkingu. Kierowca siedział z otwartymi drzwiami, jakby na kogoś czekał. Montse próbowała go spytać, gdzie jest jakiś hotel, w którym mogłaby spędzić noc. Mężczyzna nic nie rozumiał. Przechodził z francuskiego na arabski. Montse rzuciła parę słów po angielsku, ale Algierczyk niewiele z tego pojął. Kiedy próbowała porozumieć się za pomocą gestów, mężczyzna otworzył szeroko oczy i coś krzyknął. Wydawało się, że się modli. Następnie chwycił walizkę Montse i rzucił na tylne siedzenie. Pokazał

jej miejsce obok siebie i gestem zachęcił, aby wsiadła. Kobieta wcale nie była pewna, czy Algierczyk zrozumiał, o co pyta, ale w końcu wsiadła do samochodu. Mężczyzna coś wykrzyknął i zaraz też pojawił się chłopak, który bez słowa zajął miejsce z tyłu, tuż obok jej walizki. Jechali z otwartymi oknami. Obaj Algierczycy krzyczeli do siebie. Montse nic nie mogła zrozumieć. Czuła się coraz bardziej zagubiona i zrozpaczona, mimo to starała się zachowywać spokojnie. Jechali w stronę Tindufu szosą, która wyglądała jak namalowana na piasku pustyni.

Stare, zdezelowane auto ledwie się wlokło, pozostawiając za sobą kłęby czarnych spalin. Deskę rozdzielczą pokrywała gruba warstwa piachu. Na widok pierwszych ulic miasta Montse poczuła, jak ściska jej się serce. Zapadła już noc i nieliczne lampy uliczne rzuciły skąpe światło, nadające budynkom przerażający wygląd. Na ulicach z rzadka pojawiały się pojazdy. Spóźnieni przechodnie przemykali chodnikiem. Od czasu do czasu mijali jakiś rower albo osła ciągnącego wóz. Montse miała wrażenie, jakby wjechała do miasta tuż po bombardowaniu. Niekiedy w oddali pojawiał się budynek w nieco lepszym stanie. Obaj mężczyźni głośno do siebie pokrzykiwali.

Kiedy minęli centrum Tindufu, widok dzielnic stawał się coraz bardziej przygnębiający. Wjechali do części miasta, gdzie zgaszone lampy smętnie zwisały z drewnianych słupów. Wokół stały niewykończone domy z cegieł. Nieotynkowane, z pustymi otworami zamiast drzwi i okien. A jednak w środku mieszkali ludzie. Potem Montse dostrzegła zabudowania wzniesione z pustaków, niepobielone, niepokryte tynkiem. Domy o wysokości dwóch metrów, z zasłoną pełniącą rolę drzwi. Samochód stanął przed jednym z tych niezliczonych

sześcianów. Ulica była ciemna. Jakiś kundel ujadał jak oszalały. Montse zobaczyła, że chłopak bierze jej walizkę i wchodzi do jednego z tych prowizorycznych domostw. Mężczyzna dał znak, żeby poszła za nim. Posłuchała, nie mając odwagi o nic spytać. Za zasłoną zobaczyła scenę, która nią wstrząsnęła. Sześcioro czy siedmioro dzieci siedziało na podłodze i teraz wpatrywało się w nią, jakby nagle doznało objawienia. W środku izby paliła się mała gazowa lampka. Dwie kobiety przygotowywały kolację na wyblakłym dywanie. W głębi siedziała staruszka jakby oderwana od rzeczywistości, prawdopodobnie zupełnie głucha. Po chwili nadbiegły dzieci z sąsiedztwa, ale mężczyzna zaczął je przeganiać jak kury, które próbują wtargnąć do jego domu. Dwie kobiety wstały i, gapiąc się na cudzoziemkę, bez słowa, gestów czy min, wysłuchały relacji kierowcy. Potem znowu usiadły na swoim miejscu i kończyły przygotowywanie posiłku.

Montse próbowała dać do zrozumienia obu mężczyznom, że szuka hotelu. Obaj Algierczycy mówili jednocześnie, a ona czuła się coraz bardziej oszołomiona. Kobiety siedziały na podłodze obojętne na wszystko. Czując się zupełnie bezradna, Montse sięgnęła po walizkę i próbowała wyjść z domu. Starszy z mężczyzn chwycił ją za rękę i gwałtownie szarpnął. Potknąwszy się o jedno z dzieci, Montse upadła. Mężczyźni coś do niej mówili, wskazywali na ulicę, a potem na przygotowaną kolację, krzyczeli coś z oburzeniem. Montse zagryzła wargi, żeby się nie rozplakać. Starła się opanować. Usiadła na podłodze. Nie próbowała dłużej ich przekonywać. Wszedł jakiś chłopak i przycupnął obok kobiet. Nie wyglądał na zdziwionego obecnością cudzoziemki. Ledwie parę słów zamienił z mężczyznami. Zanim Montse zrozumiała, co się dzieje, jedna z kobiet

podawała jej talerz z daktylami i kubek mleka. Reszta rodziny jadła z jedyne go półmiska stojącego na środku. Montse nie wiedziała, jak się zachować. Chociaż nie była głodna, ugryzła kawałek daktyla. Kobieta wzięła drugi owoc i zamoczyła go w mleku, chcąc, by cudzoziemka ją naśladowała. Montse miała zupełnie rozstrojony żołądek, ale przypuszczała, że jeśli odmówi, domownicy uznają to za zniewagę. Czuła się tak bardzo zmęczona, że rozbolewały ją szczęki, kiedy przeżuwała. Nikt się do niej nie odzywał ani nie zwracał na nią uwagi. Jedyne z ulicy dochodziło ujadanie psów i płacz dziecka. Montse ciągle jeszcze nie rozumiała do końca, co się z nią dzieje. W pewnym momencie poczuła się tak bardzo senna, że straciła świadomość, gdzie jest.

Otworzyła oczy, przekonana, że to był tylko koszmar. A jednak wszystko okazało się rzeczywistością. Przez zaslonę zastępującą drzwi przebijały się nieśmiało pierwsze promienie słońca. Staruszka, którą widziała poprzedniego wieczoru, siedziała teraz w samym środku izby. Z zagubionym spojrzeniem przygotowywała herbatę. Obok niej zobaczyła chłopaka, który tym razem nie spuszczał z niej wzroku. Podszedł do Montse i poczęstował ją kromką twardego jak kamień chleba. Nikogo więcej nie było. Walizka stała w tym samym miejscu, tuż obok leżała torebka. Otworzyła ją, by sprawdzić, czy jest w niej paszport. Wstała. Bolało ją całe ciało. Wyrzała na ulicę i znów wstrząsnął nią ten sam widok co poprzedniego dnia. Wszystkie domy były identyczne, zbudowane z takich samych nieotynkowanych pustaków, bez okien i z zasloną zamiast drzwi. Półnagie dzieci bawiły się wśród wraków samochodów, motocykli i przyczep bez kół. Tuż obok wejścia do domu dreptała koza przywiązana za nogę postronkiem do żelaznego kołka. Zwie-

rzę, z brudną i skołtunioną sierścią, krztusiło się i charczało, jakby miało zaraz zdechnąć. Z sąsiedniego obejścia jakiś kundel zaczął ujadać na Montse. Kobieta przeszła parę kroków, trzymając się płotu, póki nie zobaczyła Algierki. Z zakrytą twarzą biegła w jej stronę, coś do niej krzycząc i unosząc ręce do głowy. Chwyliła Montse za rękę i wciągnęła do domu. Była to jedna z kobiet, które poprzedniego wieczoru przygotowywały kolację. Montse nie mogła zrozumieć, co Algierka do niej mówi. Nagle w tych czterech niewykończonych ścianach poczuła się więźniarką. Próbowwała wyjaśnić, że chce znaleźć jakiś czynny telefon. Kobieta wciąż coś mówiła podniesionym głosem, to po arabsku, to po francusku. Zrozpaczona Montse rzuciła się do drzwi i wyszła na ulicę. Była gotowa wzywać pomocy, ale widząc sąsiadki wpatrzone w nią surowym wzrokiem, nie mogła wydobyć z siebie głosu. Gospodyni wybiegła za nią, nie przestając coś wykrzykiwać. Montse przycisnęła do siebie torebkę i zaczęła iść, uznając walizkę za straconą. Pocieszała się myślą, że ma przy sobie pieniądze i dokumenty. Szła wielkimi krokami, tak szybko jak mogła, słysząc gdzieś z tyłu powoli zanikający oburzony głos kobiety. Wszystkie dzieci z ulicy ruszyły za Montse jak w procesji. Krzyczały i zaśmiewały się, próbując naśladować kroki cudzoziemki. Długo trwało, zanim wydostała się z tego labiryntu ruin, bo wszystkie ulice były do siebie podobne.

Poczuła ulgę dopiero wtedy, gdy po błędzeniu w kółko znalazła się na wyasfaltowanej alei. Dzieciarnia została gdzieś daleko w tyle i teraz szły za nią tylko trzy dziewczynki. Odwróciła się, żeby coś im powiedzieć, i natychmiast poznała twarz jednej z nich, którą widziała poprzedniej nocy. „Do domu - krzyknęła - do domu! Wracajcie do domu!” Dziewczynki

spojrzały na nią bardzo poważnym wzrokiem. Zatrzymały się, ale już po chwili znowu za nią szły. Najstarsza z nich miała może z dziesięć lat. Zrozpaczona Montse przysiadła na kra-  
węźniku. Dziewczynki stanęły po drugiej stronie ulicy. Skinęła na nie ręką, żeby podeszły. Po długiej chwili wahania zbliżyły się do niej. „Chcę zadzwonić. Szukam telefonu. Rozumiecie? Te-le-fo-n”. Dziewczynki patrzyły na nią szeroko otwartymi oczyma. Ludzie jadący samochodami zwalniali na widok tej tak niecodziennej sceny. „Telefon, gdzie jest telefon?” Najstarsza z dziewczynek wskazała w głąb ulicy. Potem dwie inne zrobiły to samo. Montse zerwała się i ruszyła w tamtym kierunku. Nagle poczuła, że najmłodsza z dziewczynek chwyta ją za rękę. Pozostała dwójka ruszyła za nimi, nie oddalając się zbyt daleko. W miarę jak szły, ulice stawały się coraz bardziej zatłoczone. Ludzie gapili się na Montse. Mężczyźni przystawali na jej widok i oglądali się za nią. Kobiety zakrywały chustami twarze. I nigdzie nie było śladu aparatów czy budek telefonicznych. Jakiś mężczyzna, który jechał na oklep na ośle, zaczął coś do niej krzyczeć, ale Montse tego nie rozumiała.

Zatrzymała się w drzwiach baru krytego dachem z trzciny. Stały w nim plastikowe białe, bardzo brudne stoły. Dwaj starszuskowie palili, nie spuszczać wzroku z kobiety. Jeden z nich miał na nosie okulary, w których brakowało szkła. Mrużył oko, żeby lepiej widzieć Montse. W końcu kobieta zdobyła się na odwagę i weszła do baru. Może z dwunastu mężczyzn gadało naraz i paliło. Na jej widok zapadła cisza. Starła się nie patrzeć im w oczy. Starszuskowie, którzy siedzieli przy drzwiach, zaintrygowani weszli za nią do środka. Na słupie wisiał bardzo stary aparat telefoniczny. Montse próbowała się dowiedzieć, kto jest jego właścicielem, ale okazało się to



niemożliwe. „Telefon - powiedziała słabym głosem, wskazując aparat. - Muszę zatelefonować". Jeden z mężczyzn zbliżył się do niej i wziął ją za rękę, jednocześnie popychając w stronę wyjścia. Montse opierała się. Nagle zrobił się zamęt i już nic nie mogła zrozumieć. Mężczyźni zaczęli się kłócić. Wybuchła straszliwa awantura. Gestykulowali, wrzeszczeli na siebie, a nawet wymachiwali rękami, jakby chcieli się bić. Dwaj starszycy przyłączyli się do kłótni i zaczęli pokrzykiwać na cudzoziemkę. Była tak bardzo przerażona, że nawet nie mogła trafić do wyjścia. Czuła, że mężczyźni chwytają ją za ręce. Każdy z nich ciągnął ją w swoją stronę. Torebka spadła jej na ziemię. Nie panując już nad sobą, Montse zaczęła krzyczeć. Prawie bez sił, upadła na podłogę, kiedy nagle mężczyźni ją puścili. Ktoś chwycił ją za pasek i pociągnął. Zanim zdążyła się zorientować, była już na ulicy. Chłopak, którego widziała w domu, popychał ją, żeby szybciej biegła. Montse uciekała bez wahania, jakby ten wyrostek był jej aniołem stróżem. Za sobą, z tyłu, słyszała krzyki mężczyzn wygrażających sobie w drzwiach baru. Zatrzymała się na rogu ulicy i znowu przysiadła na krawężniku. Chłopak trzymał jej torebkę na ramieniu. Podał ją kobiecie, jakby parzyła mu rękę. Trzy dziewczynki siedziały na chodniku po drugiej stronie ulicy i z szeroko otwartymi oczami przyglądały się uważnie tej scenie, tak aby nie stracić z niej ani jednego szczegółu. Chłopak mówił coś do niej, ale Montse nie miała nawet siły spojrzeć mu w twarz.

Kiedy wrócili do domu, Algierka siedziała w środku razem z babką. Zrobiła minę pełną dezaprobaty, ale nic nie powiedziała. Walizka ciągle stała w tym samym miejscu. Cudzoziemka padła na dywan i wypuściła torebkę z rąk. Z pewnością

chłopak opowiadał, co się stało. Po chwili zjawily się sąsiadki. Dzieciaki wyglądały zza zaslonki, nie mając odwagi wejść. Montse puściły nerwy i wybuchła płaczem. Powstrzymywała łzy od chwili, gdy została sama na lotnisku w Tindufu.

Layla mocno trzyma Montse za rękę. Słońce zaczyna przygrzewać coraz silniej. Wysłuchawszy opowieści Hiszpanki, pielęgniarka nieoczekiwanie uśmiecha się. Patrzą na siebie.

- Nie jesteś w swojej ojczyźnie, ale nie musisz się bać - mówi jej z odrobiną goryczy Layla.

- Co to znaczy?

- Że cudzoziemcom trudno jest zrozumieć zwyczaje muzułmanów. Ci ludzie myśleli pewnie, że prosisz ich o nocleg, i chociaż byli biedni, oferowali ci wszystko, co mają. Niektórzy nie potrafią zrozumieć naszych zwyczajów. Ale gościnność to święta rzecz dla muzułmanów.

- Jak dotąd, mogę to zrozumieć.

- Jeśli przyjmujesz ich gościnę, musisz też zaakceptować normy i obyczaje.

- O co ci chodzi?

- Algierki różnią się od nas. Są przywiązane do tradycji. Tak można to określić. Nie mogą zrozumieć, że kobieta sama chodzi po ulicy, tym bardziej jeśli jest czymś gościem i na dodatek cudzoziemką. A ta afery, która wybuchła, kiedy weszłaś sama do lokalu dla mężczyzn... Dla niektórych to taki sam ciężki grzech jak pojawić się z gołymi ramionami na ulicy.

Montse przetrawia słowa Layli. Ogarniają smutek. Pielęgniarka natychmiast wyczuwa, że coś się z nią dzieje. Dotyka jej czoła, choć wie, że cudzoziemka nie ma gorączki.

- Nie smuć się. Wkrótce wrócisz do domu i opowiesz wszystko swoim bliskim, jakby to był film.

Na twarzy Montse pojawia się bolesny grymas. Layla jest zupełnie skonsternowana. Jeszcze nie przyzwyczała się do ciągłych zmian nastroju Hiszpanki.

- Dobrze się czujesz, Montse?

- Nie, wcale się dobrze nie czuję. Niełatwo to wytłumaczyć nawet samej sobie.

- Spróbuj mi opowiedzieć, może ja to zrozumiem.

Montse z trudem przełyka ślinę. Dotyka dłonią włosów, próbując je przygładzić.

- Nie chcę wrócić do kraju. Już na samą myśl o tym czuję się tak, jakbym wpadała do ciemnej studni, z której nie ma wyjścia.

- Nie masz dzieci?

- Mam córkę, ale ona już mnie nie potrzebuje - mówi Montse bez wahania.

- Pracujesz gdzieś?

- Tak, ale poprosiłam o bezterminowy urlop. Nikt na mnie nie czeka. Jeśli zniknę na zawsze, nikt nie będzie za mną tęsknił.

Znowu milkną. Po dziedzińcu przechodzą pielęgniarki i witają się z Laylą. Saharyjka zamienia z nimi parę słów po arabsku. Znowu zostają same.

- Chciałabyś mnie odwiedzić? - pyta Layla. - Mogę cię oficjalnie zaprosić. W przyszłym tygodniu obchodzimy Święto Ofiarowania. Powinno sieje spędzać z bliskimi. Poznasz moją rodzinę.

Na twarzy Montse pojawia się uśmiech. Nagle zaczyna się cieszyć ze słów pielęgniarki.

- Mówisz poważnie? To znaczy... czy to możliwe?

- Naturalnie. Muszę tylko poprosić o pozwolenie w szpitalu. Oczywiście zawsze możesz wrócić do swojej ojczyzny najbliższym lotem albo następnym, ale zapewniam cię, że moja rodzina bardzo by się ucieszyła z twojej wizyty.

Montse z trudem ją obejmuje. Czuje się jeszcze bardzo słaba.

- Obetniesz mi włosy? - pyta jak uszczęśliwiona uczennica.

- Jak to włosy?

- Właśnie włosy. Mam okropne. Nie widzisz? Zetniesz mi?

- Jeśli sobie tego życzysz, to zetnę. A jeśli będziesz chciała, pofarbiję na rudo. Mam w domu dużo henny przygotowanej na święta. No więc jak, zgadzasz się?

- Tak, Laylo. To najwspanialsze zaproszenie, jakie otrzymałam w życiu.

Powiedziawszy to, znowu nie może uwolnić się od smutku.

Co chwila spoglądał na zegarek, tak jakby dzięki temu czas płynął szybciej. Ostatnie pół godziny wlokło się najdłużej w życiu Santiaga San Romana. Ciągle się zastanawiał, co, do cholery, robi w sobotę, po drugiej w nocy, za kierownicą seata 124, gotowy, by błyskawicznie ruszyć wtedy, kiedy dadzą mu znak. Im więcej o tym myślał, tym mniej rozumiał, dlaczego dał się w to wplątać w tak głupi, szczenięcy sposób. Był pewien, że wystawili go jak żółtodzioba na pośmiewisko. Ogarnęła go wściekłość i zarazem rozpacz. Palił go ukryty pod kurtką pistolet. Chciał go cisnąć jak najdalej, wyrzucić za żywopłot i uciec. Potem pomyślał o sierżancie Baquedanie i strach go sparaliżował.

Wbrew rozkazom wysiadł z samochodu i zaczął przechadzać się po chodniku, żeby choć trochę uspokoić stargane nerwy. Czuł się niezręcznie w cywilnych ciuchach. Wiedział, że to wbrew regulaminowi, ale w tych okolicznościach akurat to go najmniej obchodziło. Krążył w tę i z powrotem, nie oddalając się zbyt od seata. Samochód miał rejestrację SH i żadnego szczegółu, który świadczyłby o tym, że należy do

wojska. Przeszukawszy nerwowo schowek, znalazł prawo jazdy i dowód osobisty należący do jakiegoś komiwożera saharyjskiego, którego nie znalazł. To go zaniepokoiło. Zaczął podejrzewać, że to jakiś głupi kawał legionistów, którzy chcieli mu zepsuć sobotnie wyjście na przepustkę. Za każdym razem jednak, kiedy dotykał broni pod kurtką, jego hipoteza się rozwiewała. Po co dali mu pistolet, skoro miał to być tylko głupi żart?

Znowu usiadł za kierownicą. Otworzył okno, zapalił ostatniego papierosa i rzucił pustą paczkę na tylne siedzenie. Powstrzymał się od ponownego spojrzenia na zegarek. Zamiast tego wbił wzrok w róg ulicy, za którym jakieś pół godziny temu zniknął Baquedano, a z nim dwóch starszych gości. Był absolutnie pewny, że ta trójka coś kombinuje. Wyobraził sobie konsekwencje, jakie musiałby ponieść, gdyby teraz odpuścił sobie i po prostu odszedł. Przez chwilę wyobrażał sobie swoje zwłoki z wypatroszonymi bebechami, porzucone gdzieś w rowie przy pustej szosie. Tylko Guillermo by za nim tęsknił i pewnie, zanim zaczęto by go szukać, zgniłyby gdzieś w słońcu pustyni. Ale brakowało mu odwagi, by uciec. Czuł się zupełnym dupkiem. Nie miał śmiałości odmówić sierżantowi Baquedanowi, kiedy w piątek w porze przepustki przyszedł do niego i zaczął go osaczać. W żaden sposób nie mógł się z tego wykręcić.

Zamieszanie panujące w koszarach w piątkowe i sobotnie popołudnia różniło się zasadniczo od rygoru pozostałych dni. Żołnierzy ożywiała nadzieja na przepustkę i wyjście. Tego wieczoru Santiago San Roman został w koszarach ostatni. Koniec końców wiedział, że niezależnie od tego, jak by się uwijał, i tak

będzie musiał czekać w kolejce na wartowni, aby pokazać przepustkę. Wylał na siebie resztkę wody kolońskiej Varon Dandy, wcisnął furażerkę i poprawił pasek pod brodą. Kiedy usłyszał, że ktoś go woła, pomyślał, że to popędza go któryś z kolegów. Odwrócił się i zamarł na widok sierżanta Baquedana. Bardziej niż obecność podoficera zaniepokoiło go, że woła go po nazwisku. Nigdy nie zamienił z nim słowa. Nawet na niego nie spojrział. „San Roman, natychmiast się zameldować”. Santiago wyprostował się, wypiął pierś, wciągnął brzuch, stuknął obcasami i podniósł dłoń do czoła, żeby zaszalutować, powiedzieć nazwisko i oddać się do dyspozycji. Sierżant, na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma wsuniętymi za pasek, stał jak przymurowany w odległości paru metrów. „Spocznijcie, szeregowcu, przyszedłem do was w poufnej sprawie”. Santiago stawiał się do dyspozycji. Baquedano zmierzył go wzrokiem i, zanim zaczął mówić, odchrząknął. Po raz pierwszy Santiago widział go trzeźwego. „Słyszałem, że jesteście najlepszym kierowcą w pułku. To prawda?” „Mechanikiem, panie sierżancie. Jestem mechanikiem”. „Wszystko jedno, nie przerywajcie mi. Słyszałem, że potraficie zakręcić kółko na pasie startowym, nie przekraczając żółtych linii. - Na chwilę zamilkł, nie spuszczać z szeregowca wzroku. - Komendant Panta słyszał już o was i teraz potrzebuje waszej pomocy”. Kropla potu spłynęła po czole Santiaga, od otoku furażerki aż do brwi. Krępowало go i niepokoiło, że Baquedano słyszał o nim. „Panie sierżancie, ludzie przesadzają. Zresztą łatwo jest prowadzić cudzy wóz”. „Nie bądźcie tacy skromni, żołnierzu, przy mnie nie musicie udawać. - Sierżant podszedł do niego, położył rękę na ramieniu i po raz pierwszy przeszedł na „ty”. - Posłuchaj, San Roman, skoro przyszed-

łem do ciebie do koszar, zamiast cię wezwać do dowódcy, to dlatego, że potrzebujemy twojej pomocy i absolutnej dyskrecji. Rozumiesz? - Santiago nie miał czasu odpowiedzieć. - Cieszę się, że mnie rozumiesz. Legia cię potrzebuje, chłopcze, a to powód do dumy i chwały dla narzeczonego śmierci. Ale pamiętaj, że jeśli cokolwiek z tego, o czym mówimy, wyjdzie poza te cztery ściany, jaja ci wyrwę i wyślę ojcu listem poleconym za potwierdzeniem odbioru. Zrozumiałeś? - Santiago nic nie rozumiał, ale i tak nie potrafił wydusić z siebie słowa. - Jutro nie będzie przepustki dla szeregowca San Romana. Potrzebujemy doświadczonego kierowcy, z zimną krwią. Nie muszę ci tłumaczyć, że to ważna i tajna misja. Im mniej znasz szczegółów, tym lepiej dla wszystkich. Pamiętaj tylko, że w sobotę, o dziesiątej wieczór, czekam na ciebie w hangarze. Masz być w mundurze. I pamiętaj, nie bierz ze sobą żadnych papierów ani dokumentów, na podstawie których można by cię zidentyfikować. Weź ze sobą cywilne łachy, na wszelki wypadek, gdyby trzeba było przemknąć się niezauważenie. Reszty dowiesz się jutro podczas rozmowy z innymi dzielnymi legionistami, którzy razem z nami idą na akcję. Nie zadawaj pytań i nie mów o tym nikomu, absolutnie nikomu, nawet komendantowi Pańcie. Zrozumiano?" Santiago nie mógł wydusić z siebie słowa. „Zrozumiano?" „Tak jest, panie sierżancie". Baquedano przeciągnął ręką po ogolonej na zero głowie rekruta, jakby udzielał mu błogosławieństwa. „Będziesz dumny z munduru, który nosisz. Zresztą... komendant Panta da tym wszystkim, którzy zgłosili się na ochotnika do tej akcji, siedmiodniową przepustkę. Siedem dni, San Roman, przez siedem dni będziesz mógł robić to, co chcesz. I tylko za to, że spełnisz swój obowiązek". „Tak jest, panie sierżancie". Baque-



dano już miał się odwrócić, ale nagle stanął. „I jeszcze jedno, San Roman, jeśli nie będzie przy nas żadnego oficera, nie chcę, żebyś do mnie mówił »panie sierzancie«. Masz do mnie mówić: pan. Bo ja tu jestem panem. Zrozumiano?” „Tak jest, panie sierzancie. Tak, proszę pana”.

Guillermo wpadł na Baquedana w drzwiach koszar. Aż wstrzymał oddech, stając na baczność i salutując. Kiedy w końcu znalazł Santiaga, zauważył, że chłopak jest biały jak ściana; stał oparty o szafkę, z wybaluszonymi oczyma, i z trudem łapał oddech. „Co ci jest, Santi?” „Nic, znowu napięprza mnie żołądek”. Guillermo uwierzył mu. „Pośpiesz się, jesteśmy ostatni, Santi, nikogo już nie ma w koszarach. Jak się będziemy ociągali, zabraknie piwa w Oazie”. „Już idę”.

Guillermo nie potrafił skojarzyć spotkania z sierżantem Baquedanem w drzwiach koszar z dziwnym zachowaniem Santiaga. Zgodził się powłóczyć trochę z kolegą, kiedy ten stwierdził, że nie ma ochoty iść do Oazy. Doszli aż do budowanego zoo. Guillermo był bardzo z niego dumny, tak jakby to była wyłącznie jego zasługa. W Barcelonie pracował już jako pomocnik murarza, ale tu po raz pierwszy wykonywał tak poważną robotę. Przysiadłszy na stercie pustaków, obaj przyjaciele palili i gadali, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądał ogród zoologiczny po zakończeniu budowy. Ale Santiagowi z trudem przychodziła normalna rozmowa. Ciągle myślał o sierżancie Baquedanie. Podejrzewał, że ta sprawa nie wiąże się z niczym dobrym. Jeśli był w nią wplątany komendant Panta, to pewnie chodziło o prostytutki. Ale skoro przyszedł z nią sierżant Baquedano, mogło chodzić także o inne rzeczy: haszysz, przemyt papierosów, handel LSD. „Jutro nie idę na przepustkę - powiedział do Guillerma bez

związku. - Mam służbę". Jego kolega wcale się tym nie przejął. „A to cię upierdolili". „Nie, nic podobnego. Potem dostanę przepustkę na siedem dni". Tym razem Guillermo był naprawdę zaskoczony. „W czepek się urodziłeś, stary, tysiąc razy ci mówiłem. Nie znam nikogo, kto by miał taki fart jak ty". San Roman chętnie pogadałby z nim o całej tej aferze, ale nie mógł zdradzić rozmowy z sierżantem Baquedanem. W głębi duszy oczekiwał, że przyjaciel zacznie go wypytywać, że się zainteresuje, wyczuje coś dziwnego. Ale Guillermo o nic go nie pytał. „Napijmy się czegoś, zanim będzie za późno". Nagle podenerwowany Santiago ruszył szybkim krokiem. „Chodźmy do dzielnicy domów z kamienia". Chodziło mu o dzielnicę Zemlę, zamieszkaną przez Saharyjczyków. „Ty znówu to samo, Santi? Chyba zgłupiałeś, stary. Wkurzasz mnie z tymi Saharyjczykami". Santiago szedł dalej. Zatrzymał się na chwilę i odwrócił. „Straszny z ciebie skurwiel, Guillermo. Nie można na ciebie liczyć". Guillermo odczuł to jak cios pięścią w splot słoneczny. Poczerwieniał i zacisnął szczęki. Chciał coś krzyknąć, ale się powstrzymał. Santiago wciąż szedł, nawet się nie odwracając. Był gotowy raz na zawsze zaspokoić ciekawość, jaką budziła w nim położona na wzgórzu dzielnica miasta.

Wzdrygnął się, usłyszawszy za plecami głos Guillerma. „Jesteś niesprawiedliwy, Santi. Szybko zapominasz o wszystkim, co dla ciebie zrobiłem". Odwrócił się. Już od kwadransa Guillermo szedł tuż za nim jak salonowy piesek. Szczerze mówiąc, Santiago dobrze wiedział, że jego przyjaciel nie zasłużył sobie na taką zniewagę. Teraz żałował swoich słów. Objął Guillerma i przyciągnął do siebie. „Nic z tych rzeczy, Santi. Żadnego pedalstwa. Dobrze wiesz, że tego nie lubię". San-

tiago zrobił ruch, jakby chciał pocałować kolegę, a potem rzucił się biegiem, umykając przed Guillermem, który próbował dać mu kopniaka.

Dzielnicę Zemlę, przypominającą półwysep oderwany od nowoczesnej części miasta, zabudowanej głównie trzypiętrowymi domami, Saharyjczycy zwali Hata-Ramblą. Z oddali parterowe kamienne budynki wyglądały jak dekoracja z dykty. Kiedy obaj legioniści wspinali się wąskimi zaułkami, w dole pozostawały białe, wyglądające jak skorupki jajek, kopuły domów, w których rozgrzane powietrze unosiło się pod sufitem. Akurat wypadało jakieś muzułmańskie święto i ulice o zmierzchu były nienormalnie ciche i wyludnione. We wszystkich możliwych miejscach chłopcy grali w piłkę i na widok idących legionistów rzucali się do ucieczki, jakby zdarzyło im się po raz pierwszy takie spotkanie. Kobiety chowały się w domach i tylko wysuwały zaciekawione oblicza zza tkanych zasłon, zakrywających otwory drzwi i okien. Mężczyźni natomiast wychodzili przed domy, żeby im się bliżej przyjrzeć. Patrzyli na nich z nieskrywaną arogancją, jakby przez swoje zuchwałe spojrzenia chcieli przekazać wrogość. Żaden z legionistów nie czuł się bezpiecznie, chociaż Santiago trochę zręczniejszemu udawał pewność siebie. Gawędził z Guillermem, nie zwracając uwagi na gapiących się na nich Saharyjczyków. Znał już niektóre z ich zwyczajów i dobrze wiedział, że najlepiej zachowywać się wśród nich naturalnie, bez zbędnych gestów i pół.

Jakiś mężczyzna w turbanie podszedł do nich i stanął naprzeciwko. W zębach trzymał miedzianą ozdobną fajkę. „Macie ogień, chłopcy?” - spytał spokojnie, jakby codziennie natykał się na legionistów hiszpańskich w krętych zaułkach dzielnicy saharyjskiej. Santiago podał mu pudełko zapalek.

Słyszając głos mężczyzny, domyślił się, że to jeden z Kanaryjczyków mieszkających w tej dzielnicy. Większość ich pracowała w transporcie, a niektórzy po przejściu do cywila nie wrócili już na Wyspy. Kanaryjczyk przytknął ogień do wlotu fajki. Była to miedziana rurka, poszerzona na końcu, bogato zdobiona rytami. „Od czasu, kiedy przeszedłem do cywila, koledzy, o wiele lepiej dzieje się w Legii. Wtedy nie mieliśmy takich mundurów, nie dostawaliśmy też ani reala na wodę kolońską”. Santiago natychmiast się domyślił, że jest to przytyk do wody Varon Dandy, którą obficie się skropił. „Czasy się zmieniły, proszę pana, nawet w wojsku”. Guillermo czuł się skrępowany taksującym spojrzeniem mężczyzny ubranego w tradycyjny strój saharyjski. Jego zepsute zęby i flegmatyczny sposób mówienia budziły w nim nieufność. Mężczyzna od razu to dostrzegł i zwrócił zapalki Santiagowi. „Widzę, jak bardzo się zmieniają. Parę lat temu żaden z nas nie miałby odwagi dotrzeć aż tu, w świąteczny dzień, tym bardziej w mundurze”. Guillermo pociągnął delikatnie kolegę. Kanaryjczyk wyraźnie zauważył podejrzliwość żołnierza. „Wybaczenie, że się wtrącam, ale posłuchajcie rady starego legionisty: jeśli nie zamierzacie mieszkać w tej dzielnicy, nie łańcie tak po ulicach Hata-Rambli. Miejscowi są przeczuleni, rozumiecie? I mogą to potraktować jako prowokację. To nie jest miejsce dla was. Arabowie nie są tacy jak wy, panowie”. Mężczyzna poszedł w swoją stronę. Widząc jego strój, powolny krok i oszczędne ruchy, trudno się było domyślić, że nie jest Saharyjczykiem.

Santiago pociągnął przyjaciela za rękę. Chociaż starał się nie zachowywać jak typowy turysta, to jednak wszystko w koło przyciągało jego uwagę. Węgary i nadproża drzwi zdobione były szlaczkami w intensywnym kolorze indygo, który kon-

trastował z białą wapna pokrywającego fasady kamiennych budynków. „Kupmy tabakę”. San Roman pragnął poznać jeden ze składników, o których tyle mu opowiadali żołnierze wojsk nomadzkich. Wiedział, że można tam dostać wszystko, nawet najbardziej niespodziewane rzeczy, a miejscowe sklepiki otwarte były codziennie, przez okrągłą dobę. Wypatrzył jeden z nich i skinął na Guillerma. Weszli do pomieszczenia pełnego najprzeróżniejszych towarów, piętrzących się aż po sufit. Poczuli intensywny zapach skóry i sznurów konopnych. Nie wiedzieli, do kogo się zwrócić. Na ich widok jakiś Saharyjczyk zerwał się z podłogi. „*As-salamu alejkum*”<sup>\*</sup> - pośpiesznie powitał go Santiago. „*Wa-alejkum as-salam*”<sup>\*\*</sup> - odpowiedział zaskoczony kupiec. „*Smahlja*”<sup>\*\*\*</sup> - mówił dalej legionista, uśmiechając się usprawiedliwiająco do patrzącego niedowierzającym wzrokiem przyjaciela. Saharyjczyk zaprosił ich do środka: „*Marhaban*”<sup>\*\*\*\*</sup>. San Roman podziękował za zaproszenie: „*Szukran*”<sup>\*\*\*\*\*</sup> „Jak na cudzoziemca bardzo dobrze mówisz moim językiem”. Guillermo zaczął się zastanawiać, czy to wszystko nie było jakimś kawałem wymyślonym tylko po to, aby zobaczyć jego osłupiałą minę. „Mam przyjaciół Saharyjczyków - wyjaśnił San Roman. - Zresztą szybko się uczyć”. „Słucham, czego sobie życzycie?” Tak naprawdę tytoń był tylko pretekstem, żeby wejść do sklepu, ale Santiago nie chciał

\* *As-salamu alejkum* (arab.) - zwrot grzecznościowy wypowiedziany w czasie powitania, w dosłownym tłumaczeniu oznacza: „Pokój wam”. W odpowiedzi mówi się: *Wa-alejkum as-salam* (przyp. kons.).

\*\* *Wa-alejkum as-salam* (arab.) - w dosłownym tłumaczeniu: „I wam pokój”, odpowiedź na powitanie brzmiące: *As-salamu alejkum* (przyp. kons.).

\*\*\* *Smahlja* (arab.) - przepraszam, wybac mi (przyp. kons.).

\*\*\*\* *Marhaban* (arab.) - zwrot grzecznościowy, oznaczający: „Witaj”. Wypowiedziany przez gospodarza domu w czasie powitania znaczy również: „Zapraszam” (przyp. kons.).

\*\*\*\*\* *Szukran* (arab.) - dziękuję (przyp. kons.).

uchodzić za ciekawskiego impertynenta. „Paczkę tytoniu, proszę”. Sklepikarz wyciągnął pakiecik spod kontuaru. „Spróbujcie tego. Jest bardzo dobry... amerykański. Świeża dostawa”. Mężczyźni ani przez chwilę uśmiech nie schodził z twarzy. Santiago podał mu stupeśetowy banknot i również z uśmiechem czekał na resztę. Potem zaczął się żegnać, ale handlarz wyszedł z za kontuaru i stanął przed drzwiami. „Nie możecie opuścić domu Sidi Ahmada ot tak, po prostu”. Santiago świetnie rozumiał, o co mu chodzi, ale Guillermo nerwowo się wiercił. „Zapraszam na papierosy i świeżą herbatę”. Sidi Ahmad zniknął za zasłoną ukrywającą drzwi. „Uciekajmy stąd, Santi. Chyba oszalałeś - rzekł zdenerwowany Guillermo. - Nie widzisz, że facet próbuje nam wcisnąć haszysz?” „Cicho bądź, idioto! W końcu jesteś ze mną. Myślisz, że jestem głupi?” Guillermo zamilkł w pół słowa. Nie wiedział, co robić.

W tej samej chwili pojawił się Sidi Ahmad z imbrykiem i szklaneczkami. Odsunął stojące na srebrnej paterze używane szklanki i gestem zaprosił legionistów, by usiedli na dywanie, a sam nalał wodę do imbryczka. Guillermo nie odezwał się ani słowem. Natomiast Santiago swobodnie rozmawiał z Sidi Ahmadem. Palili długie, cienkie papierosy. Kiedy gotowała się woda, Saharyjczyk opowiadał o interesach, piłce nożnej i oczywiście o tym, jak bardzo zdrożało życie. Pokazał obu Hiszpanom wiszące na ścianie sklepiku zdjęcie drużyny piłki nożnej. „Podpisane przez samego Santillanę - wyjaśnił. - Jestem kibicem Realu Madryt. Ten Miljanić jest bardzo dobry. Gdybyśmy mieli takiego trenera jak on, nasza drużyna trafiłaby do pierwszej ligi. *Fahim?*\* Z pewnością mnie rozumiecie.

\* *Fahim*”? (arab.) - rozumiesz? (przyp. kons.).

Mamy znakomitych zawodników, tak samo dobrych jak Amando czy Gento, ale brak nam dobrego trenera".

Sidi Ahmad podał im szklanki ze świeżo parzoną herbatą. "*Min fadlak*\*. Spróbujcie. Moja żona jest ekspertką w parzeniu herbaty, ale w tej chwili odbiera poród i nie może nas ugościć". Sidi Ahmad gadał i gadał bez końca. Santiago wyglądał na zachwyconego, natomiast Guillermo z trudem krył niepokój. Czekał tylko na chwilę, kiedy Saharyjczyk wyciągnie z jakiegoś zakamarka haszysz, żeby wśród pochlebstw i miłych słówek zaproponować im kupno. Dlatego gdy żegnali się w drzwiach, ściskając sobie ręce, Guillermo poczuł się trochę zawiedziony. „Jeszcze się spotkamy, Sidi Ahmadzie” - powiedział Santiago. *In sza Allan*\*\*.

Kiedy opuszczali sklepik Sidi Ahmada, ulica tonęła już w ciemnościach. Okazało się, że ponad dwie godziny gawędzili ze sklepikarzem. W oddali, na rogu, majaczyło mdłe światło latarni. Szli gruntową drogą w świetle księżycy w stronę lampy. Guillermo wydawał się teraz o wiele spokojniejszy. „Gdzie się nauczyłeś tylu słów po arabsku?” „To nie arabski, Guillermo, to w *hassanii*”. „Dla mnie brzmi jak arabski”. Kiedy Santiago śmiał się ze słów przyjaciela, nagle usłyszał odgłos uderzenia, a Guillermo, krzywiąc się z bólu, podniósł ręce do góry. Spadła mu z głowy furażerka. San Roman odwrócił się, nie bardzo wiedząc, co się właściwie stało, tymczasem jego przyjaciel raptownie ukląkł na jedno kolano i wsparł się ręką o ziemię. W słabym świetle nic nie było widać. Wy-

\* *Min fadlak* (arab.) - prośbę, niech pan/pani będzie tak uprzejmy/a (*przyp. kons.*).

\*\* *In szaAllah* (arab.) - zwrot grzecznościowy, oznaczający: „Jeśli Bóg pozwoli”, wypowiediany bardzo często w znaczeniu: „Mam nadzieję, oby” (*przyp. kons.*).

padki toczyły się w błyskawicznym tempie. Guillermo oderwał rękę od głowy i strumyczek krwi spłynął mu po twarzy aż na szyję. „Cholera, Guillermo! Co się stało?” Ale Guillermo nie mógł odpowiedzieć: przyklęknął na drugie kolano i upadł nieprzytomny. Od latarni dzieliło ich zaledwie parę metrów. Santiago dostrzegł błysk klucza francuskiego, leżącego tuż obok przyjaciela. Rozejrzał się dokoła, ale na ulicy nie było żywej duszy.

Choć okna tonęły w ciemnościach, Santiago nie wątpił, że właśnie z jednego z nich ktoś rzucił kluczem. Nie przestając rozglądać się na wszystkie strony, usiłował sprawdzić, jak głęboka jest rana Guillerma. Rozcięcie, tuż nad skronią, było rozległe i lał się z niego strumień krwi. Chciał unieść głowę przyjaciela, żeby ziemia nie zakaziła rany. Chłopak otworzył oczy, ale nie odezwał się słowem. Santiago podniósł go jak wór i zarzucił sobie na plecy. Ruszył z nim w stronę rogu ulicy, coraz bardziej odczuwając jego bezwładny ciężar. Znowu w ich kierunku posypały się jakieś przedmioty. Tym razem były to kamienie i gliniana doniczka, która roztrzaskała się o nawierzchnię.

Santiago przeraził się. Ogarnięty paniką, zaczął wlec przyjaciela w stronę rogu. Ręce i mundur miał zaplamione krwią, co dostrzegł w świetle latarni. Zrozpaczony, zaczął wzywać pomocy. Nikt nie pojawił się na ulicy, nikt też nie wyjrzał przez okno. Przeklinał chwilę, kiedy wpadł na pomysł, aby się wspiąć do dzielnicy Ziemi. Znowu próbował dźwignąć Guillerma, żeby zarzucić go sobie na plecy, kiedy ktoś na niego psyknął od drzwi. Dojrzał mężczyznę w turbanie, ale nie miał odwagi prosić go o pomoc. Nieznajomy nadal go wzywał i dawał znaki, aby podszedł bliżej. Ale Santiago nie miał siły



się ruszyć. W końcu drzwi otworzyły się na rozcież i wyszło dwóch chłopców. Podnieśli Guillerma i gestem pokazali Santiagowi, aby poszedł z nimi do domu. Mężczyzna zamknął drzwi i zaryglował.

W pokoju pół tuzina podejrzliwych i zaniepokojonych osób wpatrywało się w obu legionistów, jakby byli jakimś przerażającym zjawiskiem. Santiago zauważył dwóch chłopców i czterech starszych mężczyzn w czarnych turbanach, z twarzami pooranymi zmarszczkami i pełnymi powagi. Nie odzywali się, wszyscy patrzyli na Santiaga. Dwaj chłopcy położyli Guillerma na samym środku prostokątnego pokoju, o białych nagich ścianach i podłodze przykrytej dywanem. Wokół ciągnęła się wysoka na pół metra ława zarzucona poduszkami. Jedyne światło padało z nagiej jarzeniówki. Santiago nie ukrywał niepokoju. Ledwie zdołał wyjąkać: „Pomóżcie mi, błagam, mój przyjaciel jest ranny”. Mężczyźni przypatrywali się Hiszpanom z nieskrywaną ciekawością. Najstarszy z nich zaczął wydawać polecenia, ale nikt go nie słuchał. Santiago, nie wiedząc, co robić, ukląkł obok Guillerma. Przeraził go widok twarzy zalanej krwią i nieprzytomnych oczu. Przez chwilę myślał, że Guillermo nie żyje. Patrzył błagalnym wzrokiem na mężczyzn, prosząc ich o pomoc. Saharyjczycy zaczęli wszyscy jednocześnie mówić w hassanii. Widać było, że się kłóca.

Nagle usłyszeli głośnie walenie w drzwi. Ktoś się dobijał natarczywie. Sześciu mężczyzn spojrzęło po sobie i natychmiast zakończyło kłótnię. Do pokoju weszła zaniepokojona hałasem kobieta. Powiedziała coś do chłopców i jeden z nich uchylił drzwi. W szparze ukazała się wzburzona twarz Sidi Ahmada, sklepikarza. Bez słowa spojrzęł na Santiaga i pochylił się nad Guillermem. Przyłożył mu ucho do piersi, a kiedy podniósł

głowę, cały policzek miał umazany krwią. Głośno i energicznie wydawał polecenia. Wszyscy, tym razem w zupełnej ciszy, rzucili się do działania. Pojawiły się jeszcze dwie kobiety. Sidi Ahmad też coś do nich krzyknął. Santiago był niemy świadkiem tego spektaklu; nie miał odwagi się wtrącić. Nie mógł uwierzyć, że to ten sam handlarz, który przed chwilą w swoim sklepie częstował ich herbatą i papierosami, nie przestając się przy tym uśmiechać.

„Rozcięli mu głowę kluczem francuskim, Sidi Ahmadzie. Ktoś rzucił z ciemności, a ja nic nie widziałem... Cały czas krwawi”. Sidi Ahmad gestem nakazał mu, żeby nie podnosił głosu, a później zaczął przemawiać do Saharyjczyków, jakby był bardzo rozgniewany. Wrzeszczał na nich w hassanii, a pozostali mężczyźni odpowiadali mu takim samym oburzonym tonem. Przez chwilę San Roman myślał, że zaczną się bić, ale na szczęście do tego nie doszło. Sidi Ahmad chwycił Santiaga za rękę i pociągnął w stronę drzwi w głębi domu. „Wyzdrowieje, nie martw się. Opatrzą mu ranę i zszyją”. Następnie wyprowadził go na małe podwórko, otoczone ceglany murkiem. W powietrzu zalaływało zapachem zgniłego siana z zagrody dla bydła i końską uryną. Przeskoczyli uszkodzony kawałek muru i znaleźli się na sąsiednim podwórku. W ten sposób minęli parę domostw. „Dokąd idziemy, Sidi Ahmadzie? Nie mogę zostawić Guillerma samego”. Sklepiarz wykonał uspokajający gest. „Nie martw się. Twój przyjaciel jest w dobrych rękach. Zatroszczą się o niego”. Santiago nie miał odwagi zadawać mu więcej pytań, a tym bardziej sprzeciwiać się. Podejrzewał, że wpakował się w niezłe tarapaty. Nagle uświadomił sobie, że została mu tylko godzina na powrót do koszar. Nie miał nocnej przepustki i mogli go oskarżyć o de-

zercję. Był tak bardzo zdenerwowany, że przeskakując na kolejne podwórko, potknął się i przewrócił. Sidi Ahmad pomógł mu wstać. W końcu weszli do pokoju, gdzie cała rodzina wpatrywała się w ekran telewizora, na którym widać było obraz pełen zakłóceń. Nikt się nie przestraszył na widok legionisty i sklepikarza wyłaniających się z ciemności jak duchy. Sidi Ahmad znowu gniewnym tonem zamienił parę słów z najstarszym z rodu. Mężczyzna wskazał mu drzwi na ulicę. Wyszli na zewnątrz i przeszli do sąsiedniego budynku. Santiago biegł tuż za sklepikarzem jak przestraszone dziecko. Sidi Ahmad zatrzymał się przed drzwiami i załomotał donośnie. Otworzył im mały chłopiec. Saharyjczyk pchnął drzwi i wciągnął legionistę do środka. Spośród ludzi zebranych wokół telewizora i pijących herbatę zerwał się młody mężczyzna i podszedł do legionisty. „Co się stało, Santiago? Co tu robisz?” Santiago dopiero po chwili zorientował się, że ten Saharyjczyk, ubrany w nienaganną białą derrahę\*, w błękitnym turbanie na głowie, to Lazaar. Nie potrafił wykrztusić z siebie słowa. Sidi Ahmad zdjął buty i usiadł. Mówił tak szybko, że rodzina Lazaara z trudem go rozumiała. Santiago ukląkł na dywanie; drżały mu nogi. Kiedy sklepikarz skończył opowiadać, zapadło milczenie. Jeden ze starsów dał znak kobietom, żeby zabrały dzieci. W pokoju pozostało tylko pięciu mężczyzn. Któryś z nich podał legioniście szklankę herbaty. Santiago już po pierwszym łyku poczuł się lepiej. „Muszę wrócić z Guillermem, ale nie znam drogi”. Lazaar pomyślał chwilę, zanim odpowiedział. „Twojemu przyjacielowi będzie dobrze tam, gdzie go zostawiliście. Zaręczam ci. Nie martw się - powiedział, kładąc mu

\* *Derraha* (arab.) - strój męski przypominający galabiję, charakterystyczny dla Afryki Północnej (*przyp. kons.*).

ręce na ramionach. - Nie powinniście byli tu przychodzić w mundurach legionistów. Są wśród nas źli ludzie". „My tylko spacerowaliśmy..." "Allah *jirhamak!*\* - krzyknął Saharyjczyk. - Czy ty naprawdę nie wiesz, co się dzieje między twoim ludem a moim?" Po raz pierwszy Santiago zobaczył rozgniewanego Lazaara. Ten widok nim wstrząsnął. „Ściągaj mundur!" - rozkazał mu Sidi Ahmad. Santiago nie rozumiał, o co tym razem chodzi. „Daj mi ubranie - włączył się Lazaar. - Kobiety spiorą krew". „Ale ja muszę wrócić do koszar..." „W takim stanie? Aresztują cię i będą zadawali tysiące pytań. - Santiago zaczął się rozbierać, ślepo ufając Saharyjczykowi. - Jutro rano będzie czyste i suche. Wtedy odprowadzimy cię do koszar". „Jutro? Kto mnie tam jutro odprowadzi? Za pół godziny musimy się stawić w jednostce". Lazaar po raz pierwszy podniósł głos: „Nie mów bzdur! Chcesz zgubić nas wszystkich? Tej nocy będziesz spał u mnie".

Santiago nie zadawał już więcej pytań. Wszyscy wyszli z pokoju i zostawili go samego. W slipach i skarpetach czuł się śmieszny i bezbronny. Nagle zza rozsuniętej zasłony wyłoniła się czarnowłosa dziewczyna o bardzo ciemnych oczach. Zmierzyła legionistę wzrokiem z góry na dół, jakby taki widok był dla niej najzwyklejszą rzeczą pod słońcem. Potem uśmiechnęła się, pokazując białe duże zęby. Bez słowa podała mu niebieską galabiję i cofnęła się parę kroków. W tej samej chwili wszedł Lazaar, niosąc turban dla Santiaga. „Andia, co tu robisz?" Dziewczyna zawstydzila się i zmieszala. Wskazała derrahę, którą Santiago trzymał w ręce. „Przyniosłam ubranie dla Hiszpana". „Możesz już wyjść. To mój gość, nie twój".

\* *Allah jirhamak* (arab.) - niech Bóg się nad tobą zlituje (*przyp. kons.*).

Andia spuściła głowę i, zawstydzona, wyszła z pokoju. Santiagowi słowa Lazaara wydały się szorstkie i niesprawiedliwe, ale nie ośmielił się go zganić. „Kto to?” Początkowo Saharyjczyk nie rozumiał pytania, ale Santiago nie spuszczał wzroku z drzwi. „To moja siostra. Jest bardzo ciekawska i lubi się wtrącać, tak jak wszystkie kobiety z mojej rodziny”. „Nigdy nie mówiłeś, że masz siostrę. Opowiadałeś mi tylko o braciach”. Lazaara bardzo zdziwił ten komentarz. Zaczął przyglądać się Santiagowi. „Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz”. Hiszpan włożył derrahę i zamotał turban na głowie. Tyle razy widział, jak robią to Saharyjczycy, że znał wszystkie ruchy na pamięć. „Zawsze chciałem włożyć coś takiego”. „Możesz nosić to, kiedy chcesz: należy do ciebie - powiedział Lazaar, uśmiechając się po raz pierwszy. - Kaptcie zresztą też. Prezent od przyjaciela. A teraz śpij. Już późno”. Santiago spojrział na zegarek. Była dopiero dziewiąta. Saharyjczyk wyłączył neonówkę i położył się na dywanie. Santiago poszedł w jego ślady. „A twoja rodzina?” Lazaar odpowiedział dopiero po chwili. „Kobiety piorą twój mundur, a mężczyźni śpią”. „Mam nadzieję, że nie zabrałem im miejsca do spania!” „Ależ nie! Jesteś moim gościem i musisz się wyspać. Dziadek strasznie chrapie. Nie zmrużyłbyś oka”. Obaj zaczęli się śmiać tak jak wtedy, kiedy reprezentacja wojsk nomadzkich wbiła gola.

A jednak Santiago nie mógł zasnąć. Zbyt wiele zdarzyło się w ciągu tego dnia, i to w szalonym tempie. Zmęczenie nie pozwalało mu jasno myśleć. Wyobrażał sobie, jak się czuje Guillermo. Nie był pewien, czy dobrze zrobił, zostawiając go w rękach nieznanomych. Martwił się także, co będzie, jeśli przed capstrzykiem odkryją, że ich nie ma. Te wszystkie obawy mieszały się na dodatek ze wspomnieniem twarzy sierżanta

Baquedana i jego mętnych słów. Przez chwilę myślał nawet, że byłoby lepiej, gdyby go aresztowali za niestawienie się w pułku. W ten sposób uniknąłby udziału w akcji, o której mówił sierżant. W samotności nocy godziny wlokły się leniwie. Od czasu do czasu wzdrygał się, słysząc dochodzące gdzieś z oddali wycie psa. Kiedy zobaczył światło dnia wciskające się nieśmiało między szparami zasłon, wstał i wyszedł na podwórko. Brzask jutrzeńki barwił na czerwono szczyty dachów. W zagrodzie okolonej kolczastym drutem dreptała samotna koza. Poczł się odprężony rześkim powietrzem poranku. Pod daszkiem z eternitu zobaczył swój rozwieszony mundur. Wydało mu się, że jest to jedyne świadectwo tego, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Chciał zapalić. Po prawej i lewej stronie wewnętrznego podwórka widniało dwoje niskich, zakrytych zasłonami drzwi; pomyślał, że pewnie tam spała rodzina Lazaara. Właśnie próbował sobie przypomnieć, ile rodzeństwa ma Saharyjczyk, kiedy zobaczył Andię wysuwającą głowę zza zasłony. Miała zaspane oczy i rozczochrane włosy. Na widok Hiszpana uśmiechnęła się. Santiago przywitał ją cicho, żeby nikogo nie obudzić. Podeszła do niego. „Zawsze tak rano wstajesz?” - spytał ją uprzejmie. „Zawsze. Jestem najstarsza z sióstr i mam mnóstwo pracy”. Powiedziała to z dumą w głosie i na chwilę przestała się uśmiechać. Następnie zaczęła zdejmować ze sznura mundur Santiaga i składać go starannie. „Już wysechł - oznajmiła, sprawdzając ustami materiał. - Kiedy wszyscy wstaną, możesz iść”. „Chcesz, żebym sobie poszedł?” Andia wyszczerzyła białe zęby w uśmiechu. „Tego nie powiedziałam. Jesteś gościem mojego brata”. „Ile masz lat, Andia?” Pomyślała chwilę, zanim odparła: „Siedemnaście”. Potem przestała się uśmiechać. Oddała ubranie San-

tiagowi i znikła za zasłoną, zostawiając legionistę w pół słowa. Chłopak pomyślał, że uraził dziewczynę. Z pewnością skłamała, mówiąc, ile ma lat, żeby nie uchodzić za dziecko. Nagle wyszła zza zasłonki, tym razem znowu z uśmiechem na twarzy. Wzięła Santiaga za rękę i wręczyła mu naszyjnik. Legionista poczuł się zmieszany. „To dla twojej narzeczonej. Prezent od Andii”. „Nie mam narzeczonej”. „Nie masz dziewczyny w Hiszpanii?” „Ani w Hiszpanii, ani gdzie indziej”. „Nie wierzę ci. Wszyscy żołnierze mają dziewczyny”. „No więc nie, Andio, nie wszyscy. - Tym razem Santiaga rozbawiła naiwność dziewczyny. - Chyba że ty chcesz zostać narzeczoną legionisty”. Spowaźniała nagle; tak bardzo, że Santiago pożałował swojej niezręcznej odzywki. Zawiesił naszyjnik na szyi, żeby w ten sposób ułagodzić siostrę Lazaara, ale ona już się nie uśmiechnęła. Jakaś kobieta wyszła zza zasłony i zaczęła tajać dziewczynę. Oboje się wystraszyli. Andia wróciła do pokoju, a Santiago znowu położył się obok Lazaara.

Ledwie zaczął się dzień, kiedy obudził ich przeraźliwy dźwięk klaksonu. „To Sidi Ahmad - stwierdził Lazaar, wyrzawszy na ulicę. - Twój kolega jest razem z nim”. Natychmiast zaczęła się gorączkowa krzątanina kobiet i dzieci. Santiago pośpiesznie wyszedł na ulicę. Na tylnym siedzeniu renault 12 zobaczył Guillerma z obandażowanym czołem. Uścisnął go przez okienko. Przyjaciel wyglądał żałośnie, ale chyba czuł się znacznie lepiej. Lazaar, w mundurze, usiadł za kierownicą, a Sidi Ahmad przy nim. Prawie cała rodzina wyległa na ulicę. Jeden z braci Lazaara zajął miejsce z tyłu, obok Guillerma, i kazał Santiagowi wsiąść do auta. San Roman dotknął głowy, dając do zrozumienia, że o czymś zapomniał. „Czapka, Lazaar, nie mam czapki”. Nie zwlekając, wszedł do domu. Pobiegł na po-

dwórko i wpadł na Andię, która sypała kozie surową soczewicę. Z poważnej miny malującej się na jej twarzy Santiago wynioskował, że dziewczyna jest obrażona. „Moja czapka... Nie widziałaś gdzie mojej czapki, Andia?” Dziewczyna wskazała niechętnie sznurek, na którym w nocy wisiał mundur legionisty. Santiago pośpiesznie ściągnął furażerkę i wcisnął na głowę. Andia wyszła z zagrody i stanęła przed Santiagiem. „Tak, chcę” - powiedziała poważnie. „Co chcesz?” „Być twoją narzeczoną. Chcę być twoją dziewczyną”. Słyszając to, nie potrafił ukryć uśmiechu. „Cieszę się. Naprawdę bardzo się cieszę. Wszyscy legionieści będą mi zazdrościli. Żaden z nich nie ma tak pięknej narzeczonej jak ja”. Na twarzy Andii zagościł uśmiech. Santiago rzucił jej przelotny pocałunek i pożegnał się, ale zanim wyszedł, usłyszał głos Saharyjki: „Przyjdziesz jeszcze do mnie?”. „Oczywiście, Andio. Przyjdę”.

Tego ranka Guillermo i Santiago San Roman pierwsi stawili się w szeregu na apelu. Nikt by na pierwszy rzut oka nie podejrzewał, że spędzili noc poza jednostką. Tak samo jak oni to robili kiedy indziej, tym razem koledzy zataili ich nieobecność poprzedniej nocy. I na dodatek nikt z legionistów nie zadał im żadnego pytania. Weszli na teren jednostki dziurą w murze, znaną wszystkim Saharyjczykom. Lazaar poinstruował ich, co mają robić. Przemknęli się za koszarami wojsk nomadzkich i kiedy zagrano pobudkę, stanęli karnie w szeregu. Wszystko działo się tak szybko, że nawet nie mieli czasu pomyśleć, co robią. Potem, w kantine żołnierskiej, obaj legionieści nie przestawali się dziwić, jak łatwo jest wejść do koszar i wyjść z nich, i zastanawiali się, jakie jeszcze sekrety ukrywają przed nimi Saharyjczycy.



Santiago zamurowało na widok Baquedana wyłaniającego się z ciemności. Bez munduru sierżant stracił cały swój autorytet i znaczenie, jakie miał w koszarach. Był ubrany w niebieską kurtkę z podniesionym kołnierzykiem i szerokie spodnie dzwony z tergalu. Za nim pojawili się dwaj legionieści. Starali się nie biec; szli szybkimi, zamaszystymi krokami. Na ich widok San Roman zeszytniał. Na szczęście siedział w aucie, tak jak mu kazał Baquedano. Kiedy sierżant wszedł do samochodu, Santiago od razu zapalił silnik.

- A teraz, San Roman, ruszaj z jajami! Z jajami, stary!!! - wrzeszczał Baquedano na całe gardło.

Santiago wcisnął gaz, jednocześnie puszczając sprzęgło. Wóz ruszył ze straszliwym rykiem, pozostawiając za sobą smród palonej gumi. San Roman nie wiedział, dokąd ma jechać.

- Nie tędy, kretynie! Jedź na plac! - darł się na niego Baquedano. - Chcę, żebyś zrobił dwie rundki wokół placu, tak żeby cię wszyscy widzieli. Zakręcisz bączki, tak jak potrafisz, przypalisz gumę.

Po raz pierwszy Santiago odwrócił głowę, żeby spojrzeć na sierżanta. Dostrzegł niebieską torbę podrózną, ustawioną między nogami.

- A wy dwaj zakryjcie twarze! - rozkazał Baquedano dwóm starszawym legionistom, siedzącym z tyłu.

San Roman zauważył w lusterku wstecznym, że dwaj legionieści z zamaskowanymi twarzami stawiają przed sobą takie same torby, jaką miał sierżant, który też dla niepoznaki zakrył twarz. Kiedy Santiago wpadł ślizgiem i zakręcił bączka na placu Hiszpańskim, poczuł się nagi wobec młodzieży siedzącej na skwerku. Nie rozumiał, co się dzieje. Z torby,

którą sierżant postawił na podłodze seata, dochodził szcęk metalu.

- Na drogę do Smary! - krzyknął raz jeszcze Baquedano. - I to tak, żeby opony piszczwały.

Santiago, nie mając czasu do namysłu, posłuchał i ruszył w stronę szosy na Smarę. Przejeżdżał przed Hotelem Narodowym, kiedy jakiś porucznik wysiadał z auta. Nie miał odwagi spytać sierżanta, co się dzieje. Strach, jaki budził w nim ten człowiek, pozbawił go inicjatywy.

Światła miasta pozostały daleko w tyle. Szosa wyglądała tak, jakby była przedłużeniem pustyni. Poczuł, że sierżant klepie go po ramieniu.

- Świetnie, chłopcze. Masz jaja.

Po jakichś czterech kilometrach Santiago zjechał na drogę gruntową. Wkrótce trafił na land-rover, którym przyjechali z jednostki Alejandra Farnesia. Wyłączył światła i zgasił silnik. Sierżant mówił mu, co ma robić. Przez chwilę ich wzrok przyzwyczajał się do słabego blasku księżyca.

- A teraz włóżcie mundury i tak się wystrójcie, jakbyście wracali z przepustki.

Kiedy się przebierali, San Roman zerkał kątem oka na dwóch starszych legionistów. Jeden był w euforycznym nastroju, drugi zaś, poważny, nie odzywał się ani słowem. Baquedano podszedł do żołnierza od tyłu i zmusił go do podniesienia podbródka.

- Jesteś tchórzem?

- Nie, proszę pana. Oczywiście, że nie.

- W takim razie kim jesteś?

Legionista zawahał się chwilę i w końcu, wypinając pierś, powiedział:

- Jestem narzeczonym śmierci, proszę pana.
- Lubię, kiedy wiesz, kim jest twoja matka - stwierdził sierżant, wskazując naszywki munduru - i kto jest twoją narzeczoną.
- Proszę pana... - zaczął mówić legionista i zaraz umilkł.
- O co chodzi? Nigdy nie widziałeś, jak się kogoś zabija?! - wrzasnął Baquedano na mężczyznę, odgadując jego myśli.
- Nie, proszę pana, nigdy. To było po raz pierwszy...
- W takim razie ciesz się, że już poznałeś oblicze swojej narzeczonej! - Baquedano darł się tak, aż mu nabrzmiały żyły na szyi. Potem odetchnął głęboko i zaczął śpiewać:

*Nikt w pulku nie wiedział,  
Kim jest ten legionista  
Tak odważny i zuchwały,  
Który do Legii na ochotnika przystał.*

Zachęceni gestami sierżanta, żołnierze przyłączyli się do piosenki.

*Mc o nim nie wiedzieli,  
Choć cały pulk się domyślał,  
Że straszna rozpacz zżerała  
Jak bestia jego waleczne serce.*

- Z jajami śpiewać, żołnierze! - krzyknął Baquedano.

*A jeśli ktoś go czasem spytał,  
Szorstko i z bólem powiadał:*

Przestraszony Santiago dołączył do chóru.

*Jestem mężczyzną, którego życie  
Nieraz zraniło głęboko,  
Jestem narzeczonym śmierci  
I wkrótce na zawsze się związę  
Z moją wierną, jedyną kochanką.*

Kiedy kończyli wkładać mundury i śpiewali gromkim głosem, na całe gardło, Baquedano postawił trzy torby na pace land-rovera. Z jednej z nich wyciągnął jakiś przedmiot i postawił na masce. San Roman nic nie rozumiał. Był to srebrny kielich. Później sierżant wręczył każdemu z nich dokument.

- A tu obiecana siedmiodniowa przepustka. Nie chcę was widzieć w pobliżu koszar przed upływem tygodnia. Teraz wszyscy trzej jesteście w to wpłątani i pierwszemu, który się wygada, oberwę jaja.

Santiago już sięgał po kluczyki schowane pod siedzeniem pasażera, ale Baquedano go powstrzymał. Odciągnął go od land-rovera i rzekł na ucho:

- Ty tu zostaniesz. Chcę, żebyś poczekał, aż odjedziemy. Potem weźmiesz seata i zepchniesz go do jaru. Podpalisz wóz i odejdziesz. Ale nie ruszaj się nawet na krok, póki wszystko nie spłonie. Zrozumiano? Za jakąś godzinę będziesz z powrotem w Al-Ujun.

Santiago nie odważył się nic powiedzieć. W głębi duszy czuł ulgę, że znajdzie się z dala od tego żołdaka. Sierżant, zanim usiadł za kierownicą, podał mu srebrny kielich, który wcześniej wyciągnął z torby.

- A to połóżysz na tylnym siedzeniu. Tylko nie zapomnij.

Santiagowi przypominało to puchar. Trzymał go opuszkami palców, ledwie muskając bogate żłobienia, jakby go paliły. Tymczasem land-rover ruszył, a dwaj legionści ryknęli na cały głos, zachęceni przez Baquedana:

*Idę już na spotkanie z tobą,  
Moja najwierniejsza kochanko,  
Jestem narzeczonym śmierci,  
Związałem się z nią na wieki  
I umrę pod jej sztandarem.*

Santiago chciał cisnąć kielich i uciec stamtąd jak najszybciej, ale strach go paraliżował. Odetchnął głęboko i w blasku księżyca poszukał parowu, o którym mówił sierżant. Jak automat wsiadł do samochodu, rzucił puchar na tylne siedzenie i zaczął zjeżdżać po niewielkim zboczach gęsto porośniętym krzewami. W chłodzie nocy ziemia wydzielala intensywny zapach. Oślepiiony światłem lamp samochodowych zając stanął tuż przed samochodem. Santiago miał wrażenie, że w przerażonych oczach szaraka odbija się jego własny strach. Zgasił światła. Nie bardzo wiedział, co ma robić. Miał wrażenie, że mundur go parzy. Bardzo wolno rozebrał się i znowu włożył cywilne łachy. Otworzył wlew od baku i wrzucił zapałkę. Płomień, który stamtąd buchnął, sprawił, że chłopak natychmiast się cofnął.

Szedł na przełaj przez pustkowia w stronę szosy. Z dała widział odbłask płonącego auta. Ruszył w stronę Al-Ujun. Podczas wędrówki nie minął go żaden samochód. Może godziny brakowało do świtu, kiedy w końcu dotarł do miasta. Zaczął się niedzielny poranek, a on czuł się samotny i zagubiony.

Osunął się na drewnianą ławkę pod palmą na placu Hiszpańskim. I dopiero wtedy zrozumiał, co się stało. W drzwiach kościoła panowało straszne zamieszanie. Tłum ludzi kłębił się jak przed wejściem do kina. Santiago podszedł na poły ciekawki, na poły przestraszony. Ludzie gadali, że obrabowano kościół. Policja próbowała rozgonić gapiów. Właśnie wynoszono nosze z ciałem przykrytym kocem.

- To ksiądz? - spytała jakaś kobieta.

- Nie, zakrystian. Mówią, że zabito zakrystiana. Zrabowano wszystkie cenne przedmioty z kościoła... Biedak pewnie spał w środku... Nawet się nie zorientował.

Santiago odszedł, starając się nie biec. Poczul się oszukany, wściekły, przerażony. Nie wiedział, dokąd iść i co zrobić z siedmiodniową przepustką. W końcu ruszył w stronę Zemli. Wspiął się pod górę, otworzył torbę, w której miał mundur i swoje prywatne rzeczy. Wyjął turban ofiarowany mu przez Lazaara. Włożył na głowę i zaczął kluczyć jeszcze pustymi o tej porze zaułkami. Wałęsał się z jednego miejsca w drugie, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszedł do jednego ze sklepików i kupił papierosy. Myślał o tym, co się zdarzyło w nocy. Około południa zobaczył renault 12, stojące przed domem Lazaara. Dłużej się już nie zastanawiał, chciał zapukać, ale drzwi były otwarte. Dwie kobiety siedzące na dywanie zdobyły sobie palce u rąk henną.

- *As-salamu alejkum* - pozdrowił je Santiago.

Odpowiedziały na powitanie, nie okazując zdziwienia niespodziewaną wizytą. Zaprosiły go do środka. Chociaż obydwie były szczelnie przykryte milhafami, chłopakowi wydawało się, że jedna z nich to matka Lazaara. Nagle z ulicy weszła Andia.

Zapewne biegła, bo była bardzo zadyszana. Chyba gdzieś z daleka wypatrzyła Santiaga na ulicy. Uśmiechała się, choć ciągle jeszcze z trudem łapała oddech. Wyszła na podwórko i zaczęła głośno nawoływać. Jeden po drugim pojawiali się mężczyźni z rodziny i kolejno ściskali rękę Santiaga. Andia rozpałała ogień w kuchence węglowej i wstawiła wodę w czajniku.

- Lazaara nie ma - wyjaśniła z uśmiechem na ustach. -  
Dziś jesteś moim gościem.

Samochody, tłoczące się we wszystkich arteriach, kompletnie zakorkowały miasto. Sygnalizacja świetlna okazała się zupełnie nieprzydatna. Policja miejska nie potrafiła przywrócić porządku w panującym wszędzie chaosie. Ze wszystkich stron hordy dzieci ciągnęły rodziców, próbując przedrzeć się w stronę parady Trzech Króli. Panował tak ożywiony ruch, jakby sklepy i stoiska handlowe uczestniczyły w ostatnim etapie biegu na czas. Nieustanny zgiełk, wrzawa i radość dzieci przyprawiały doktor Montserrat Cambre wyłącznie o zawrót głowy. Prawie przez godzinę próbowała złapać wolną taksówkę i kiedy w końcu udało jej się wsiąść, musiała nadrobić wiele kilometrów, aby dotrzeć do Barcelonety. Znowu poczuła, jak zbiera jej się ślina w ustach, a żołądek kurczy. Choć dobrze znała te objawy, przestraszyła się tak, jakby to było po raz pierwszy.

Przed laty miasto kończyło się na Dworcu Francuskim. Stalowa pajęczyna usnuta z kolejowych szyn wyglądała jak zimna i smutna płachta, ukrywająca zrujnowane magazyny, ogromne składy i za nimi morze. Teraz Montse miała wraże-



nie, że znajduje się w zupełnie innym mieście. Dobrze знаła Carrer de Balboa, ale niestety, rozpacz ściskająca serce nie pozwalała jej tam pójść. Dlatego najpierw weszła do Palau del Mar. Pierwszy i jedyny zresztą raz odwiedziła ten budynek dziewięć lat temu, podczas otwarcia. Byli z nią wtedy córka Teresa i mąż Alberto - rzekłbyś: idealna rodzina. Teresa nie miała jeszcze dziesięciu lat. Teraz Montse wydawało się, że widzi, jak mała biega między stolikami w restauracji. Ten obraz sprawiał jej ból, rozdzierający ból. Wjechała windą na ostatnie piętro. Wznosząc się coraz wyżej, czuła rosnący ucisk w piersi. Miała ochotę zwymiotować. Usiadła naprzeciwko wejścia do Muzeum Historii Katalonii, próbując opanować mdłości. Starła się oddychać miarowo i nie poddać się ogarniającej ją powoli panice. Zamknęła oczy, ale natychmiast je otworzyła, ponieważ znowu dostała mdłości. Czuła, że gwałtownie podskoczyło jej ciśnienie. Bała się, że straci przytomność. Otworzyła torebkę i wyjęła flakonik z pastylkami. Włożyła dwie do ust i połknęła zachłannie.

Po drugiej stronie ogromnego okna Barceloneta prezentowała się jak na wielkim ekranie filmowym. Montserrat Cambra zamknęła oczy i starła się odtworzyć w pamięci dawny krajobraz. Dwadzieścia sześć lat temu ten budynek nad morzem był rozpadającą się ruiną starego magazynu. Grasowały w nim ogromne szczury, które wcale nie bały się ludzi. Z domów położonych w Barcelonecie dochodziły dźwięki radiodiodbiorników tranzystorowych i radosnego śpiewu kobiet. Płaskie dachy usiane były zardzewiałymi antenami telewizyjnymi i sznurami z suszącym się praniem.

Nagle znowu wydało jej się, że widzi córkę wychodzącą z Albertem z muzeum. Wizja ta była tak bardzo realistyczna,

że aż zamknęła oczy, aby ją przegnać. Musiała zaczerpnąć świeżego powietrza. Wyszła z gmachu zupełnie rozdygotana. Stycziowy chłód przywrócił ją do rzeczywistości. Doszła aż do deptaku i ruszyła w stronę domu Ayacha Bachira. Mimo ogromnych zmian, jakie zaszły w tej dzielnicy, wszystko wydawało jej się znajome. Bez trudu znalazła poszukiwany adres. Kiedy ktoś wychodził z budynku, skorzystała z okazji i weszła na klatkę. Znajomy zapach przywrócił jej wiele wspomnień. Wszystkie te domy były do siebie podobne. Usiadła na schodach i poczekała, aż zgaśnie światło. Potem położyła głowę na kolanach i przypomniała sobie, kiedy po raz pierwszy znalazła się w tej dzielnicy.

Pewnego dnia Santiago San Roman pojawił się na umówione spotkanie na rogu przed szewcem bez samochodu. „Dziś mam ochotę przejść się pieszo” - powiedział Montse. Dziewczyna się nie sprzeciwiała. Przycisnęła książki do piersi i bez słowa szła obok Santiaga. Pierwszy raz od wielu tygodni chłopak był bardzo poważny. Montse nie miała odwagi spytać, ale podejrzewała, że coś go gryzie. Przechodząc obok kosza na śmieci, cisnęła tam teczkę i książki. Santiago spojrział na nią tak, jakby popełniła wielką zbrodnię. „Co robisz?” „Koniec z nauką”. Wziął ją za rękę i poszli dalej Via Layetana. „Jadę na kilka dni do rodziców, do Cadaques - skłamała Montse. - Bardzo się za mną stęsknili”. Santiago zmarszczył brwi i stanął. „Kiedy?” „W sobotę. Tata po mnie przyjedzie”. San Roman nie wiedział, co powiedzieć. Skonsternowana mina odzwierciedlała jego myśli. Wyglądał na załamanego. „W sobotę?! Wyjeżdżasz w sobotę? I do kiedy? Na jak długo?” Montse nie

spieszyła się z konkretną odpowiedzią. „Jeszcze nie wiem: może do września. Zobaczymy”. Santiago otworzył szeroko oczy. Wyglądał tak, jakby miał dostać ataku serca. „Chyba że...” - ciągnęła Montse. „Chyba że co?” „Chyba że powiesz mi prawdę”. San Roman skurczył się jak pęknięty balon. Poczzerwieniał. Drżały mu ręce i głos. „Jaką prawdę?” Montse przyspieszyła kroku, chłopak został w tyle, próbując się z nią zrównać. „Poczekaj, kochanie. Nie zostawiaj mnie. Przysięgam, że nie wiem, o co ci chodzi. Ja nie kłamię...” I umilkł, kiedy Montse stanęła i wbiła w niego wściekły wzrok.

Na tarasie baru wypili ostatnie piwo tego lata. To był też ostatni stupeśetowy banknot Santiaga. Podał go kelnerowi tak, jakby w jego ręce oddawał swoje życie. „Będiesz ze mną szczery?” Santiago przyjrzał się paznokciom, a potem wypił łyk piwa. „No dobrze, masz rację. Nie pracuję w banku. Zmyśliłem to”. „Zdążyłam się domyślić - rzuciła Montse. - Chcę tylko, żebyś mi powiedział, gdzie pracujesz. Bo zaczynam podejrzewać, że te wszystkie auta są kradzione”. Santiago wyraźnie się zdenerwował. „Nie są kradzione. Przysięgam na moją matkę. Brałem je z warsztatu. Zawsze tak robię rano i zostawiam po południu, kiedy odwożę cię do domu”. „Ten biały kabriolet też?” „Też”. „A więc pracujesz w warsztacie?” Santiago, jakby pragnąc zrzucić kamień z serca, wyznał cichym głosem: „Pracowałem”. Montse nadal go wypytywała. „Zmieniłeś pracę?” „Mniej więcej. No dobra, nie zmieniłem. Wylał mi”. To był właściwy moment na zawieszenie broni. Wziął jej dłoń i czule pocałował. A potem opowiadał dalej, jakby go coś w duszy paliło. „Wczoraj wrócił szef i od razu zauważył, że brakuje jednego auta. Oczywiście ja nim jeździłem. Czekał na mnie w bramie. Powiedział, że złoży skargę na policji i nic

mi nie zapłaci. To straszny łajdak. Wisi mi szmal od stycznia". „A te pieniądze, które miałeś przy sobie?" - maglowała go zaintrygowana Montse. „Umiem zarobić na życie. A co myślałaś? Naprawiam używane części i sprzedaję jako nowe. Wiesz, części zapasowe do starych samochodów, których nie można już dostać. Tylko ten skurwiel Pascualin wszystko wypaplał". „To on też z tobą pracuje?" „Jasne". „Od razu pomyślałam, że nie wygląda na urzędnika z banku" - stwierdziła Montse, próbując wywołać uśmiech na jego twarzy. „Urzędnik z banku? No coś ty?! Facet nie potrafi nawet do czterech zliczyć. Wygadał szefowi wszystko o autach. Powiedział, że od dawna nie pojawiam się w warsztacie, chyba że po to, aby wziąć jakiś wóz, a potem wieczorem odstawić na miejsce". „A szefa nie było w pracy przez cały czas?" „No coś ty! Skądże! Łajdak kupuje kradzione samochody, które opycha potem w Maroku. Ekstra się zarabia w Tangerze na przemyśle i dziwkach". Santiago zrozumiał, że powiedział za dużo. Tym razem Montse była poważna. Chciała ślepo wierzyć w słowa Santiaga, ale ta cała afera tak bardzo różniła się od świata, jaki знаła do tej pory! „O co chodzi? Chciałaś znać prawdę. To właśnie cała prawda". Montse musiała coś odpowiedzieć. „Wszystko mi jedno. Ja po prostu chciałam być z tobą. Tylko strasznie mi przykro, że okazałeś się kłamczuchem". San Roman włożył ręce do kieszeni. Było mu głupio, ale pomyślał, że już chyba za późno na skruchę. „I co? Pojedziesz do Cadaques w sobotę?" Dziewczyna próbowała rozegrać tę rundę na swoją korzyść. „To zależy od ciebie. Jeśli udowodnisz, że żałujesz, zostanę z tobą w Barcelonie". „Jak mam to udowodnić?" „Przedstaw mnie swoim rodzicom". San Roman zaniemówił. To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał. Montse zerwała

się urażona milczeniem chłopaka. „Tak myślałam. Obiecanki cacanki. Mówisz jedno, a potem robisz swoje. Tylko w gębie jesteś mocny”. Szybko odeszła od stolika. Czuła się tak bardzo zraniona, że była zdolna do wszystkiego. Santiago wypadł za nią biegiem i złapał za ręce. „Poczekaj, kochanie! Przecież wcale nie powiedziałem, że nie”. Montse skrzyżowała ramiona i spojrzała z wyzywającą miną na chłopaka. „Ale też nie usłyszałam nic przeciwnego. Zresztą z twojej twarzy można wszystko wyczytać”. „No dobra. Ojcu nie mogę cię przedstawić, po prostu dlatego, że nigdy go nie widziałem. Chyba umarł. Zresztą sam nie wiem. Zaprowadzę cię do mamy. Tylko matka niezbyt dobrze się czuje. Jest strasznie nerwowa i czasem wszystko jej się płacze”.

Wtedy po raz pierwszy Montse przekroczyła granicę miasta, jaką stanowił dla niej Dworzec Francuski. Gdyby nie chodziło tu o Santiaga, nigdy nie zagłębiłaby się w dzielnicę, która wyglądała jak zupełnie inne miasto. Z odbiorników tranzystorowych dobiegały na ulicę piosenki Antonia Moliny. Zapach duszonego mięsa mieszał się z wonią ropy naftowej, dochodzącą ze składów portowych, i smrodem gnijących wodorostów, gromadzących się przy nabrzeżu handlowym. Santiago ani razu nie wziął jej za rękę. Po raz pierwszy widziała, jak idzie skrępowany, onieśmielony, z głową wtuloną w ramiona i zawsze o krok przed Montse. Na pozdrowienia odpowiadał niechętnie.

Matka Santiaga prowadziła kiosk blisko Calle de Balboa. Od tego miejsca hale Zakładów Gazowniczych i Energetycznych tłumiły życie dzielnicy. Kiosk był mały i bardzo zaniedbany, z wyszczerbionymi i popękkanymi płytkami podłogowymi, starą ladą i półkami poczerniałymi od wielu warstw

ciemnego lakieru. Byle jak wstawione szyby w drzwiach chybotały się niebezpiecznie. Santiago pocałował matkę i rzucił od niechcenia: „Słuchaj, mamó, to jest Montse”. Kobieta spojrzała na dziewczynę takim wzrokiem, jakby patrzyła gdzieś z głębi studni. Potem popatrzyła na syna. „Jadłeś już obiad, Santi?” „Nie, mamó, jest dopiero dwunasta. Zaraz coś zjem”. Santiago wziął paczkę chesterfieldów i schował ją do kieszeni. Montse, mimo starań, nie potrafiła oderwać wzroku od tej kobiety o chorobliwym wyglądem, od stóp do głów odzianej w czerń. Matka Santiaga usiadła przy składanym stolyczku, wzięła robótkę i motek wełny. Chłopak dał znak Montse, żeby poczekała na niego, i zniknął gdzieś na zapleczu. Dziewczyna czuła się spięta. Nie wiedziała, co robić ani co powiedzieć tej kobiecie, która, zajęta robótką, nie podnosiła głowy. Montse milczała, przyglądając się stosom kartonów z papierosami. Czas włókł się niemiłosiernie. W końcu dziewczyna odezwała się: „Dzisiaj chyba nie będzie tak upalnie”. Matka Santiaga podniosła głowę, odłożyła druty na stół i wstała. „Przepraszam, nie słyszałam, jak weszłaś - oznajmiła, jakby po raz pierwszy zobaczyła Montse. - Czy coś chciałaś?” Dziewczyna zeszywniała. Chwilę zwlekała z odpowiedzią. „Ależ ja nic nie chcę. Jestem Montse, koleżanką Santiaga”. Kobieta popatrzyła na nią, jakby próbując sobie przypomnieć. „Ach, tak. Montse, oczywiście. Santi jeszcze nie wrócił. Jest w warsztacie. Jeśli chcesz, to jak wróci na obiad, powiem mu, że byłaś”. Montse skinęła głową. Kobieta znowu usiadła i zaczęła robić na drutach. Wkrótce wrócił Santiago, trzymając rękę w kieszeni. Pocałował matkę. „Mamó, wychodzę”. Pożegnała się z nim, nie podnosząc głowy.

Na ulicy Montse próbowała się uśmiechnąć. „Twoja mama

jest bardzo ładna". „Szkoda, że nie widziałaś jej wcześniej. Mam zdjęcia z czasów, kiedy przyjechała do Barcelony i poznała mojego..." Twarz Santiaga spochmurniała. Wyjął rękę z kieszeni i pokazał jej srebrny pierścionek. Wziął dłoń Montse i włożył pierścionek na palec, na który najlepiej wchodził. Montse obdarzyła go najpiękniejszym z uśmiechów. „To dla mnie?" „Jasne, oczywiście. To pierścionek rodzinny. Przeszedł z babki na matkę, a teraz na ciebie". Montse złapała Santiaga za ręce. „Co jest twojej mamie, Santi? Czy jest chora?" „Nie wiem. Lekarz twierdzi, że to nerwy. Ja zawsze pamiętam ją w takim stanie. Już się przyzwyczaiłem". Chłopak był speszony, podrygiwał nieznacznie na czubkach palców. „Chodźmy stąd. Tu jest strasznie gorąco" - powiedział do Montse.

Kiedy Santiago otworzył oczy, przez okno balkonowe w sypialni Montse zaglądało już słońce. Z trudem sobie uświadomił, gdzie jest. Wzdrygnął się, kiedy poczuł ciało dziewczyny obok siebie. W ustach miał jakiś słodki smak. Zapachem Montse przesiąknięte były prześcieradła i poduszka. Wciągnął go głęboko, żeby zapamiętać. We śnie wyglądała tak pięknie, że aż żał mu było ją budzić. Ześlizgnął się z łóżka i ubierał się, nie spuszczać z niej wzroku. W domu panowała głucha cisza. Było jeszcze bardzo wcześnie. Santiago wiedział, że po wolnym dniu gospościa przychodzi dopiero po dziesiątej, bo najpierw robi zakupy na bazarze. Korytarzami przeszedł się po mieszkaniu, podziwiając obrazy i meble, takie jak w muzeum. Po raz pierwszy znalazł się w domu, w którym na podłogach leżały dywany. W salonie pachniało skórą foteli i aksamitem zasłon. Zatrzymał się w gabinecie, gdzie książki zapełniały całą jedną ścianę, a dyplomy i świadectwa drugą. Nagle po-

czuł, że nie jest to jego miejsce. Znowu przemierzył korytarze, poszukał drzwi wyjściowych i zbiegi po schodach. Na ulicy włożył ręce do kieszeni: miał tylko sześć peset. Szedł aleją, póki nie znalazł kosza na śmieci. Przeszukał go i wyciągnął książki oraz teczkę Montse.

Kiedy otworzył drzwi, dziewczyna miała oczy czerwone od płaczu. Spojrzała na Santiaga jak na ducha. „Skurwysyn z ciebie” - powiedziała, opierając głowę o framugę drzwi. Santiago nie wiedział, co się z nią dzieje. Pokazał jej książki. „To twoje. Nie chcę, żeby moja żona była taka głupia jak ja”. Montse wzdrygnęła się. Złapała go za rękę i wciągnęła do środka. „Wejdz, musimy zjeść śniadanie, zanim przyjdzie Mari Cruz”.

Zgrzyt klucza w zamku zaskoczył ich w kuchni, kiedy podgrzewali mleko w rondelku. Montse wytężyła słuch jak pies gończy. Santiagowi serce załomotało ze strachu. „To służąca?” „Tak - potwierdziła, starając się zachować spokój. - Przyszła za wcześniej. Dopiero dziewiąta”. Na nic nie mieli czasu. Zaraz też pokazała się w drzwiach spocona Mari Cruz z koszykiem w ręku. Zastygła na progu, nie spuszczać oczu z Santiaga. „To jest Santiago, mój kolega z kursów. Wpadł po mnie, bo jeździmy tym samym autobusem”. Mari Cruz postawiła zakupy na stole i nic nie powiedziała. Potem wyszła z kuchni. „Nie uwierzyła” - rzekł chłopak. „Wszystko mi jedno. Nic nie może powiedzieć, wierz mi”. Kiedy Montse poszła przygotować się do wyjścia, pojawiła się gospoia. Wyglądało na to, że czekała tuż za drzwiami. „Znam ciebie” - powiedziała Mari Cruz do Santiaga ostrzegawczym tonem. „Skądże znowu! Pierwszy raz tu jestem”. „Może, ale ja cię znam z naszej dzielnicy”. Santiago przestał oddychać, nie mając odwagi odwrócić wzroku. „Czy ty czasem nie jesteś



wnukiem Culiverdego?" Chłopak zastanawiał się, czy nie lepiej uciec bez słowa wyjaśnienia, ale coś go sparaliżowało. „Czy ty czasem nie jesteś synem Maravillas, tej od trafiki?” „Ależ nie, skądże znowu! Nawet nie wiem, kto to”. Mari Cruz stanęła w drzwiach, ujawszy się rękoma pod boki. „Słuchaj, chłopaku: nie wiem, co ty kombinujesz, ale mogę sobie wyobrazić. Szukasz dziewczyny z kasą, żeby ją przelecieć. Ale się przeliczyłeś. Jeśli tylko wywiniesz jakiś numer, doniosę na ciebie. Zrozumiałeś? To jest przyzwoity dom. Lepiej byś pomógł matce w kiosku, bo tego jej akurat potrzeba”. Mari Cruz umilkła, słysząc za plecami, w korytarzu, kroki Montse. Dziewczyna zabrała z kuchennego stołu książki i teczkę, po czym skinęła na Santiaga, żeby z nią wyszedł. Pożegnała się z gosposią. „Do widzenia, panienko. Czy dzisiaj też nie wróci panienka na obiad?” „Nie. Zjem u Nurii”.

Doktor Cambra wdrygnęła się, kiedy zapaliło się światło w bramie. Podniosła głowę i otworzyła oczy. Jakaś starsza kobieta podchodziła do niej bardzo ostrożnie.

- Dobrze się pani czuje?

Montserrat Cambra wstała i starała się zachowywać normalnie.

- Dziękuję, dobrze. Czekam na kogoś.

Staruszka, trzymając się poręczy, zaczęła z wysiłkiem wchodzić po schodach. Po ciężkim oddechu Montse poznała, że jest astmatyczką. Rozpacz minęła. Chociaż znała na pamięć numer piętra i mieszkania, jeszcze raz zerknęła na karteczkę z adresem, którą miała w torebce.

Saharyjczyk był szczupłym mężczyzną o wyrazistych rysach

i smagłej cerze. Miał krótko ostrzyżone włosy i kilkudniowy zarost. Liczył sobie może ze dwadzieścia pięć lat. Był ubrany zwyczajnie, w dżinsy i wełniany niemodny sweter. Podał rękę Montse i delikatnie uściśnął jej dłoń. Potem zaprosił do środka. Mieszkanie było skromne, o wytartej podłodze i gotych ścianach. Weszli do obszernego salonu, gdzie stało tylko kilka mebli: fotel, dwa krzesła, niski stolik, regał z lat siedemdziesiątych i lampa starsza od reszty umeblowania. Podłogę przykrywał wielki dywan w pstrych barwach. Pokój wychodził na niewielki balkon. Małe okno nie miało zasłon. Salon stwarzało wrażenie, że umeblowano go resztkami z innych mieszkań. Regał ścienny stał pusty, jakby dopiero co go wstawili. Na samym środku dostrzegła palnik gazowy, a obok patere z szklaneczkami i imbryczkiem. Kiedy weszli do pokoju, jakiś chłopak wyglądał przez okno na ulicę. Był o wiele młodszy od Ayacha i znacznie szczuplejszy. Przedstawił się, ale Montse nie zapamiętała imienia. Usiadła w fotelu, a Ayach Bachir zajął krzesło. Chłopak przycupnął na dywanie, bez słowa zapalił gaz pod fajerką i postawił czajnik. Już od wejścia Montse słyszała rozpaczliwy płacz niemowlęcia. Miała wrażenie, że dziecko jest tuż za ścianą.

Po wymianie paru grzecznościowych zdań Montserrat Cambra wyjęła zdjęcie i pokazała Ayachowi. Saharyjczyk spojrział na fotografię, nie mrugnawszy nawet okiem. Potem przeciągnął po niej opuszkami palców, jakby chciał wyczuć na papierze dotyk swojej żony. Montse zachowała pełną szcunku ciszę. Nie wiedziała, od czego zacząć.

- Nie powiedziałam panu wszystkiego przez telefon, bo wolałam poczekać, aż osobiście z panem porozmawiam o zdjęciu. Prawdę mówiąc, teraz nie wiem, od czego zacząć.

Ayach patrzył na nią skonsternowany. Drugi Saharyjczyk nadal zajęty był parzeniem herbaty, jakby nie obchodziły go jej słowa.

- Nie rozumiem - rzekł Ayach.

- Postaram się to panu wyjaśnić bez ogródek. Dawno temu znałam jednego z mężczyzn ze zdjęcia, tego w galabii.

- Aha, tego, co nosi derraheę.

- Ale ten człowiek zginął przed wielu laty na Saharze. Podczas Zielonego Marszu\*. Przynajmniej tak mnie poinformowano. Tamtej nocy, kiedy pana żona miała wypadek, przypadkiem znalazłam to zdjęcie w jej rzeczach. Od pierwszej chwili nie miałam wątpliwości, że to on. Data na zdjęciu jest późniejsza niż data jego śmierci, jeśli powiedziano mi prawdę. A przecież zmarli nie zmartwychwstają.

Montse od razu zdała sobie sprawę z nietaktu. Ayach Bachir natychmiast zrozumiał, że jest jej przykro. Patrzyli na siebie bez słowa, póki Saharyjczyk znowu nie spojrzał na zdjęcie.

- Ten mężczyzna nie umarł - oświadczył stanowczo. - Znam go: był na moim ślubie trzy lata temu.

Montse odetchnęła głęboko i poprosiła Ayacha Bachira, aby ponownie przyjrzał się zdjęciu. Tak też zrobił.

- To wuj mojej żony.

- Mamii Salek?

Podziękował jej uśmiechem za to, że pamiętała imię i nazwisko zmarłej. Wyglądał na wzruszonego.

- Tak, oczywiście. Po raz ostatni widziałem go na naszym

\* *Zielony Marsz* - akcja zorganizowana przez rząd marokański w 1975 roku. Na apel króla Hassana II 350 tysięcy Marokańczyków wkroczyło na tereny Sahary Zachodniej. Po tej spektakularnej akcji Hiszpania rzekła się praw do kolonii (przyp. tłum.).

ślubie. Moja żona kochała go jak ojca. Mieszkał w da'irze\* Bir Gandus, znajdującej się w wilajecie Ausserd.

Montse nie potrafiła ukryć zawodu, jaki sprawiły jej te słowa. Spuściła głowę i wpatrzyła się w młodego człowieka parzącego herbatę.

- W takim razie to pomyłka - powiedziała zgaszonym głosem. - Mężczyzna, o którym mówię, był Hiszpanem. Ale są tak bardzo do siebie podobni...

- Wcale nie powiedziałem, że jest Saharyjczykiem. Stwierdziłem tylko, że to wujek Mamii. Moja żona mogłaby dużo o nim opowiedzieć. Ale jednego jestem pewien: ten człowiek urodził się w Hiszpanii.

- Pamiętaj pan, jak się nazywał?

- Yusuf. Mówili na niego Yusuf. Ale jego imienia chrześcijańskiego nie znam. Ten drugi na zdjęciu to Lazaar Baha, jego szwagier. Zginął w czasie ataku na stolicę Mauretanii, razem z naszym prezydentem. Urodziłem się tamtego roku.

- Czy nazwisko Santiago San Roman coś panu mówi?

- Nie, nigdy go nie słyszałem. - Ayach Bachir znowu wbił wzrok w zdjęcie. - Słabo go znałem. Zamieniliśmy zaledwie parę słów: nie przypominam sobie. Moja żona miała jego najnowsze zdjęcia. Bardzo się zmienił. Został ciężko ranny w czasie wojny. Nie wydawał mi się normalnym człowiekiem. Mówiono, że to śmierć żony tak nim wstrząsnęła.

Młodszy Saharyjczyk podał Montse tackę. Kobieta wzięła z niej jedną szklanekę, a Ayach Bachir drugą. Lekarce trzęsły się ręce, kiedy unosiła szklanekę do ust. Tym razem płacz nie-

\* *Da'ira* (arab.) - jednostka podziału administracyjnego, mniejsza od *wilajetu*; okręg (*przyp. kons.*).

mowlęcia stał się jeszcze bardziej rozdzierający. W tym momencie zrozumiała, że źle zrobiła, przychodząc do tego domu. Bez wątpienia przeszłości nie da się odwrócić. Nawet własnej. Nie mogąc się powstrzymać, spytała:

- Był żonaty?

- Tak, z ciotką mojej żony. Ich córka studiuje w Libii, a syn zginął na minie w okolicach muru.

Jakiego muru? Gdzie leży Ausserd? I co to jest wilajet? Montse nie miała zamiaru zastanawiać się nad tym, a jednak nie przestała zadawać sobie pytań. Do pokoju weszła kobieta i na widok Montse stanęła jak wryta. Miała długie czarne włosy i była w dżinsach. Przeprosiła grzecznie i zamieniła parę słów po arabsku z Ayachem Bachirem. Młodszy Saharyjczyk, zdenerwowany, wtrącił się do rozmowy. Kobieta wyglądała na bardzo przygnębioną. Cała trójka rozmawiała ściszym głosem, jakby bała się przeszkadzać. Ayach wyszedł z pokoju. Saharyjczyk zaczął przygotowywać kolejną szklankę herbaty. Podniósł głowę i uśmiechnął się. Potem znowu powrócił do parzenia herbaty. Wrócił Ayach i wyjaśnił:

- Przepraszam. Dziecko Fatmy jest chore. Matka się martwi, bo nie wie, co mu jest.

- To płacze dziecko Fatmy?

Saharyjczyk skinął głową. Montse wstała i zostawiła torbę na fotelu. Dwaj Saharyjczycy patrzyli na nią z niepewnymi minami. Nagle twarz kobiety stała się bardzo poważna i spięta.

- Gdzie jest niemowlę?

- W pokoju kobiet.

Montse wyszła do przedpokoju i, kierując się w stronę, skąd dochodził płacz, dotarła do pokoju. Fatma i jakaś starsza

kobieta starały się uspokoić dziecko. Lekarka podeszła i poprosiła, żeby pokazały jej niemowlę.

- Proszę się nie obawiać. Jestem lekarką.

Twarz Fatmy rozpromieniła się. Wstała i wzięła dziecko na ręce. Położyła je na materacu. Miało może cztery, pięć miesięcy.

- Płacze bez przerwy już od południa. Nie chce ssać piersi - wyjaśniła zapłakana Fatma.

- Kiedy było karmione po raz ostatni?

- O dziesiątej - odpowiedziała bez wahania starsza Saharyjka.

Dwaj mężczyźni stali zdezorientowani na progu, nie mając odwagi się wtrącić.

Panowała zupełna cisza, kiedy doktor Cambra badała niemowlę. Rozebrała je, rozluźniła pieluchę, pomacała pachwiny, potem brzuch, osłuchiwała płuca.

- Dziecko trzeba napoić. Może się odwodnić.

- Nie chce otworzyć buzi - powiedziała Fatma, wybuchając płaczem.

Lekarka przekręciła dziecko na brzusek i przyjrzała się kupce w pieluszcze.

- Ma bardzo silną kolkę. Proszę nie płakać, to nic strasznego. Trzeba mu dać naparu z kopru włoskiego, rumianku i anyżku. Niemowlęta mają jeszcze niedojrzałe narządy trawienne i często dostają kolki. Na razie możemy mu pomóc, podając pipetką napar z rumianku. Skoro to działa na koty, musi też pomóc dziecku - powiedziała, próbując rozładować napięcie i wywołać uśmiech na twarzy matki.

Fatma przestała płakać. Ayach Bachir, zaskoczony, patrzył na Montse, nie wiedząc, co powiedzieć. W dłoniach trzymał

fotografię. Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, jaką tajemnicę ukrywa ta kobieta.

- Jutro zadzwonię do Rabuni - oznajmił. - Jeśli ten mężczyzna jest Hiszpanem, o którym pani mówi, mój ojciec powinien to wiedzieć. Ma pamięć jak słoń: może wymienić imiona i nazwiska wszystkich zmarłych krewnych, których pochowano w naszej ojczyźnie, jeszcze przed jego ucieczką.

Doktor Montserrat Cambra uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, choć trochę niepewnie.

Ciężarówka ślizga się i przechyla na hamadzie, jak okręt na falach tuż przed zatonięciem. Trasa ze szpitala w Smarze aż do da'iry Bir Lehlu nie jest zbyt długa, ale dla Montse ciągnie się jak wieczność. Siedzi w sfoferce ściśnięta między kierowcą a Laylą. Z tyłu, na pace, jadą trzej chłopcy z kozą. Saharyjczyk nie odezwał się ani słowem podczas podróży. Teraz, na widok Bir Lehlu, zamienia kilka zdań z Laylą. Pielęgniarka wygląda na obrażoną. Mężczyzna, przeciwnie, jest zupełnie obojętny na jej wymówki. Nawet można powiedzieć, że cieszy go jej zdenerwowanie. Montse nic nie rozumie, ale o nic nie pyta.

Ciężarówka wjeżdża na niewysoki pagórek i zatrzymuje się przed skromnym budynkiem, bielonym wapnem, wzniesionym z cegieł i cementu. Layla wysiada z ciężarówki i pomaga Montse. Kierowca uśmiecha się, nie przestając przygryzać fajki. Pielęgniarka na pożegnanie z hukiem trzaska drzwiami i rzuca zdanie, które brzmi jak wyzwisko.

- To idiota - wyjaśnia Layla. - Nie chce nas podrzucić do mojej chajmy. Twierdzi, że śpieszy się do domu. Jest przyja-



cielem mojego ojca, ale ja po powrocie na Saharę nie chciałam wyjść za niego za mąż.

- Nieważne - pociesza ją rozbawiona Montse. - To miejsce jest śliczne.

To prawda. Podczas zachodu słońca dzielnice Bir Lehlu wyglądają jak namalowane pastelami na pustyni w intensywnym kolorze ochry. Niewielki pagórek, na którym zbudowano szkołę pedagogiki specjalnej, może służyć jako niepozorna wieża, umożliwiająca panowanie nad rozległymi połaciami pustyni. Dachy chajm rozbijają monotonię horyzontu. Zbiorniki na wodę odbijają ostatnie promienie słońca. W podmuchach ciepłego wiatru patrzenie na dzielnice da'iry staje się jeszcze przyjemniejsze. Od czasu do czasu beczenie kóz zakłóca uroczystą ciszę. Niebieskawozielony brezent chajm kontrastuje z nędznymi budynkami wzniesionymi z suszonych na słońcu cegieł.

Montse oddycha głęboko. Jest zmęczona. Piękno tego surowego pejzażu sprawia, że wstrząsa nią dreszcz. Pustynia i niebo zlewają się w ledwie dostrzegalną linię.

- Patrz - mówi Layla, wyciągając rękę. - Tam w dole jest mój dom.

Montse spogląda w kierunku, jaki wskazuje przyjaciółka. Dla niej wszystkie chajmy są podobne.

- Czekaj, chcę odetchnąć wieczornym powietrzem - mówi Montse.

Layla unosi milhaf i siada na ziemi. Montse robi to samo. Tuż obok jednej z dzielnic obozu wznosi się niemal całkowicie przysypany piachem gliniany murek, otaczający kilka hektarów drzew owocowych i krzaczków pomidorów. Montse jest zaskoczona widokiem oazy w samym środku nieprzyjaznej pustyni.

- Sami założyliśmy ten ogród. Wygląda jak namalowany, ale jest prawdziwy. Mimo iż woda jest bardzo słona, rodzą się pomidory i sałata.

- A ta szkoła? - pyta Montse, wskazując budynek z cegły.

- To dla chorych dzieci, to znaczy opóźnionych w rozwoju.

- Skoro zbudowaliście szpitale i szkoły, czemu od ponad dwudziestu pięciu lat mieszkacie w namiotach?

Layla uśmiecha się. Wygląda na to, że ma gotową odpowiedź.

- Moglibyśmy wykopać fundamenty, wznieść budynki, wyznaczyć ulice, założyć kanalizację. Ale to by oznaczało, że daliśmy się pokonać. A my jesteśmy tu tylko tymczasowo, bo nasz kraj jest okupowany. Kiedy wojna się skończy, wrócimy. I to wszystko pochłonie pustynia. Namioty można złożyć w dwa dni i w ciągu tygodnia znowu będziemy w naszej ojczyźnie.

Montse nie wie, co powiedzieć. Nie wyobrażała sobie, że za słabym i kruchym wyglądem kobiety może się kryć aż tyle odwagi i taka niezłomna wola. Puszczą do niej oko i bierze za rękę. Layla przybiera swoją zwykłą, pełną słodyczy minę.

- W nocy znowu mówiłaś przez sen - stwierdza Saharyjka, poprawiając sobie milhaf. - Nie masz się czego bać. Z pewnością ta kobieta jest tylko zjawą. Gdyby istniała, nasi żołnierze znaleźliby ją. Kobiety nie giną tak łatwo na pustyni, chociaż mogłoby się wydawać, że jest inaczej. Zresztą ukąszenie skorpiona wywołuje zwidy.

Montse wpatruje się badawczo w linię znajdujących się w oddali chajm.

- Masz rację. Ja też chciałabym wierzyć, że to halucynacje. Ale nie potrafię w żaden sensowny sposób wyjaśnić tego kosz-

maru, który przeżyłam w Tindufie. To się zdarzyło naprawdę. A teraz czuję się taka skołowana...

W końcu cudzoziemka zgodziła się wyjść na ulicę z zakrytą głową. Mimo to, kiedy wyruszyła, jedna z kobiet z domu poszła za nią i nie spuszczała jej z oczu, chociaż Montse chciała zostać sama, aby poszukać telefonu. Algierka miała surową minę i wyglądała na mocno rozdrażnioną, ponieważ Hiszpanka wyszła sama na ulicę. Chwilami ta sytuacja wydawała się Montse tak absurdalna, że miała ochotę się roześmiać. Kiedy indziej musiała się powstrzymać, aby nie wybuchnąć płaczem. Dzieci też szły za nią, parę kroków dalej. Kiedy Montse zatrzymywała się, kobieta robiła to samo. Kiedy zaczynała iść szybciej, Algierka także przyśpieszała kroku. Obydwie wyglądały na poirytowane i rozdrażnione. Postanowiła nie odzywać się do niej ani słowem. Algierka ledwie mówiła po francusku, a Montse nie była w stanie sklecić więcej niż tuzina zdań, i na dodatek z kiepskim akcentem.

Kiedy w poszukiwaniu budki telefonicznej czy jakiegokolwiek aparatu zatrzymała się na jednym z rogów ulicy, usłyszała, że ktoś przeklina po hiszpańsku. Odwróciła się. Na pobliskiej stacji benzynowej tankowała ciężarówka. Był to stary zdezelowany wóz z przyczepą, przykrytą podziurawionym i podartym brezentem. Bez zastanowienia ruszyła w stronę dystrybutora. Tym razem krzyki Algierki nie powstrzymały jej. Jakiś mężczyzna w uniformie złożonym z różnych części umundurowania wojskowego, pewnie z demobilu, rozmawiał z facetem ze stacji benzynowej. Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat. Siwa broda sięgała mu do piersi, a na obu

rękach brakowało już miejsca na kolejne tatuaże. Montse poznała furazerkę legionisty i zauważyła flagę Hiszpanii wyszytą na obu ramionach. Podeszła do mężczyzny jak rozbitek szukający deski ratunkowej na środku oceanu. „Czy pan jest Hiszpanem?” Mężczyzna odwrócił się z taką miną, jakby nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Montse ściągnęła chustkę z głowy. Zmierzył kobietę wzrokiem od stóp do głów i włożył obie dłonie za pasek. Przez chwilę nie mógł wydusić z siebie słowa. „Na miłość boską, skąd się pani wzięła?” Montse tak bardzo się zdenerwowała, że jej wyjaśnienia były chaotyczne i pozbawione sensu. Próbowwała opowiedzieć wszystko nieznanemu, ale nie potrafiła złożyć tego w logiczną całość. Z drugiej strony ulicy Algierka przyglądała się tej scenie, nie wierząc w to, co widzi, i bojąc się podejść bliżej. „Muszę zadzwonić. Wczoraj mieli mnie odebrać z lotniska, ale nikt się nie pojawił. Zostawiłam walizkę u tej kobiety, a teraz nie pozwalają mi stamtąd wyjść”. Hiszpan spojrzał w stronę, którą pokazała Montse. Kiedy Algierka zrozumiała, że o niej mówią, zakryła twarz i szybko odeszła. „Niech się pani nie boi. Zapewniam, że przy mnie nic pani nie grozi. Jestem prawdziwym legionistą. Miała pani szczęście, że na mnie trafiła. Naprawdę miała pani ogromne szczęście”. Pomimo smrodu zalatującego od mężczyzny Montse miała ochotę go uściskać. „Powie mi pan, gdzie znajdę telefon?” „Zrobię coś lepszego. Zawiozę panią do konsula Hiszpanii, a on się wszystkim zajmie”. Montse nie mogła uwierzyć, że po tylu kłopotach sprawy dały się rozwiązać w tak łatwy sposób. Niemal uszczypnęła się w wyobraźni, aby przekonać się, że nie śni. „Mój bagaż został w domu u tej Algierki, która uciekła - wyjaśniała Montse. - Wiem, jak tam dotrzeć, ale byłabym wdzięczna,

gdyby pan mi towarzyszył. Nie rozumiem, czego ode mnie chcą". „Czy ma pani coś cennego w walizce?" Montse zastanowiła się chwilę przed udzieleniem odpowiedzi. Instykt nakazywał jej ostrożność. „Nie przywiozłam nic cennego. Mam trochę pieniędzy i paszport, ale to akurat zabrałam ze sobą". Mężczyzna przez chwilę się namyślał. Wręczył pompiarzowi wyświechtane i zmięte banknoty, mówiąc coś po francusku. „Proszę wsiąść do szoferki. Zaraz jedziemy". Montse wsiadła do kabiny i natychmiast pojęła, że sprawy wcale nie pójdą tak łatwo, jak jej się wydawało.

Kiedy legionista, jakby z innej epoki, złapał za kierownicę, do szoferki wskoczyli dwaj mężczyźni - muzułmanie, w turbanach i wojskowych butach. Z harmidru, jaki słyszała, Montse domyśliła się, że jeszcze inni mężczyźni wskoczyli na przyczepę. „To dobrzy ludzie, proszę pani. Prawdziwi patrioci" - wyjaśnił, mówiąc o Algierczykach. Ciężarówka ruszyła i kobieta siedziała uwięziona między kierowcą a dwoma mężczyznami. Smród przyprawiał ją o mdłości. Mimo warkotu silnika słychać było krzyki pasażerów z przyczepy. „Dom jest tam, na końcu tej ulicy, po lewej stronie. Jeden z tych budynków z szarych pustaków" - wyjaśniła Montse. Legionista włożył zgaszone cygaro do ust i zaczął je gryźć, ciągle patrząc przed siebie. Kiedy mijali wskazaną ulicę, Montse zaczęła krzyczeć: „To tam, w głębi! W tych domach!". Legionista uśmiechnął się. „Proszę się nie martwić. Nie warto zapuszczać się w tę dzielnicę. Tu mieszka najgorszy element: złodzieje i kurwy, za przeproszeniem. Nikt przyzwoity. Jeśli nie ma pani nic cennego w walizce, lepiej o niej zapomnieć. Niech mnie pani posłucha".

Kiedy powoli pozostawiali za sobą zabudowania Tindufu,

Montse doznawała coraz bardziej mieszanych uczuć. Z jednej strony cieszyła się, że w końcu mają już to piekło za sobą, z drugiej jednak wydawało jej się, że nie powinna była wsiadać do ciężarówki, nie upewniwszy się wcześniej, że ten człowiek jest godzien zaufania. Kiedy powoli nasuwały się jej podejrzenia, legionista nie przestawał gadać. Chyba się upajał własnymi opowieściami o wyczynach starego wiarusa. Pozostali dwaj mężczyźni milczeli, obojętni na wszystko, paląc tanie papierosy. Montse wykorzystwała moment, kiedy legionista przestał mówić, i spytała: „W jakim mieście jest konsulat Hiszpanii?”. Legionista zwlekał z odpowiedzią. Montse miała wrażenie, że chce zyskać na czasie. Potem rzucił po arabsku jakąś nazwę, której nie potrafiła zrozumieć. „Czy to daleko od Tindufu?” „Na pustyni, proszę pani, trudno powiedzieć, co jest blisko, a co daleko. Wszystko zależy, z czym się porówna. A więc przyleciała pani z Madrytu?” „Nic takiego nie mówiłam”. „Możliwe, pewnie mi się zdawało”. „Przyleciałam z Barcelony”.

Legionista próbował ją wypytać o szczegóły podróży. Stwierdziwszy, że pytania zmieniają się w regularne przesłuchanie, kobieta zaczęła być czujna. Starła się przekazać tylko połowiczną prawdę, ale legionista był sprytny i przyłapywał ją na sprzecznościach i nieścisłościach. W końcu Montse odpowiadała wyłącznie monosylabami albo udawała, że przez hałas silnika nie dosłyszała pytania.

Trudno było określić, ile godzin jechali: dwie, może trzy. Asfalt ustąpił miejsca suchej i pełnej kurzu drodze gruntowej, która po paru kilometrach zupełnie znikła. Ciężarówka jechała teraz koleinami wyżłobionymi przez inne pojazdy albo przemierzała zupełnie dziewicze tereny. Zdawało się, że coraz

bardziej oddalają się od świata. Montse była zupełnie przybita, kiedy nagle wydało jej się, że widzi w oddali jakąś osadę. Ciemne plamy zabudowań kontrastowały z pustynią w kolorze ochry. Intensywnie świecące słońce nie pozwalało wyraźnie odróżnić kształtów, choć była pewna, że na widnokręgu dostrzeżę ślady cywilizacji. „To tam?” - spytała z ożywieniem Montse. „Tak, proszę pani, to właśnie tam. Za pięć minut odpocznie pani”.

Kiedy zbliżali się do tej widmowej osady, Montse poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Brakowało może kilometra, kiedy zrozumiała, że wcale nie było to miasto ani miejscowość, ani nic w tym stylu. Ciemny kolor i błyski rzucało tysiące wraków samochodowych, tworzących złomowisko na samym środku Sahary. Było ich tyle, że między nimi utworzono uliczki z przecznicami, tworząc gigantyczne cmentarzysko.

Montse nie mogła z siebie wydusić słowa. Jej wyobraźnia zaczęła wyprzedzać fakty. Skrzyżowała ramiona i zacisnęła je, starając się uchwycić czegoś, co istniało wyłącznie w jej fantazji. Kiedy mężczyźni wyskoczyli z szoferki, ona też wysiadła, walcząc z ogarniającym ją przerażeniem. Opanowała się i powiedziała twardym głosem: „Miał mnie pan zawieźć do konsulatu”. „Wszystko w swoim czasie, proszę pani, wszystko w swoim czasie. Najpierw załatwimy parę spraw, a potem zawiozę panią do konsula”. „Mój mąż już przyleciał do Tindufu. Pewnie dopytuje się o mnie na policji algierskiej”. Słowa Montse zabrzmiały jak kłamstwa zdesperowanej dziewczynki. Szybkim ruchem legionista wsadził rękę do kieszeni Montse i wyciągnął dokumenty. Kobieta próbowała je wyrwać, ale dwóch mężczyzn chwyciło ją mocno za ręce i unieruchomiło. Próbowała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć

głosu. Trzeci, przeszukawszy jej kieszenie, znalazł jeszcze portfel i paszport. Wręczył je legioniście jak pies, który przynosi aportowaną rzecz. Hiszpan przejrzał wszystko i schował do jednej z niezliczonych kieszeni połatanego uniformu. „Teraz już nie zrobisz żadnego głupstwa. Nawet jeśli puścimy cię wolno, nigdzie nie dotrzesz piechotą. Wcześniej skonasz z głodu i pragnienia”.

Legionista ruszył przodem, a za nim dwaj Arabowie powlekli Montse. Wśród wraków samochodów stał nędzny baraczek, z oknem zabitym deskami. Otworzył dwie kłódki zamykające drzwi i najemnicy wepchnęli Montse do środka. Runęła twarzą na ziemię i rozbiła sobie nos. „A teraz możesz się wydierać do woli. Tu nikt cię nie usłyszy”. Zdusiła w sobie krzyk bólu. Wiedziała, że opór nic jej nie pomoże, ale nie była w stanie krzyżeć. Wydała z siebie żalony jęk i podniosła głowę. Z nosa ciekła jej krew. „Błagam, błagam...” - prosiła ledwie słyszalnym szeptem. Drzwi się zatrzasnęły. Montse wstała i zaczęła cicho modlić się o pomoc, bojąc się powiedzieć coś głośniejsze. Dostrzegła, że nie jest sama. W półmroku zobaczyła trzy kobiety siedzące na ziemi. Pewnie wpatrywały się w nią z tak samo zdziwioną miną jak ona. Nagle poczuła niewytłumaczalny wstyd. Próbowwała zachować resztki godności, ale nie mogła powstrzymać się od łez. Przekonała się, że krzyki i kopanie w drzwi nic jej nie pomogą. Przyjrzała się kobietom. Powoli ich twarze zaczęły rysować się wyraźniej. Ubrane były tak samo jak Algierki, które widziała w Tindufie. One też były wystraszone mimo pozornie twardego wyrazu twarzy. Montse próbowała porozumieć się po hiszpańsku. Potem powiedziała kilka znanych jej słów po francusku, ale nie było odzewu. Jedna z kobiet pokazała gestem, żeby



usiadła. Montse zwała się na kolana i zakryła twarz rękami. Zastanawiała się, czy po tym wszystkim, co przeżyła, może ją spotkać jeszcze coś gorszego. Długo płakała, nie znajdując ukojenia, póki nie zabrakło jej łez i sił.

Kiedy próbowała przywyknąć do myśli, że jej sytuacja nie może się nagle poprawić, poczuła, że jedna z kobiet siada koło niej i kładzie jej rękę na ramieniu. „Wypij” - powiedziała w czystym kastylijskim. Montse podniosła głowę, jakby nagle doznała objawienia. Kobieta wyciągała do niej kubek pełen wody. „Już od godziny tracisz wodę. Jeśli nie wypijesz, odwodnisz się”. Montse wzięła naczynie i zbliżyła do ust. Woda była słonawa i wydzielala ohydny mdlący zapach. „Wypij - namawiała ją kobieta - lepiej dostać rozwolnienia niż odwodnić organizm”. Wypiła do dna i próbowała ukryć minę pełną wstrętu. „Dziękuję”. Kobieta wróciła na miejsce i przycupnęła w kącie. „Mówicie po hiszpańsku?” „One nie”. Montse natychmiast zauważyła, że ubiór kobiety różni się od strojów dwóch pozostałych. „Jesteś Algierka?” „Saharyjka”. Montse usiadła obok niej, próbując wykorzystać te krótkie chwile ulgi. „Z obozu dla uchodźców?” „Byłaś tam?” „Nie, nie zdążyłam. Miałam kłopoty po przylocie do Tindufu”. Montse zaczęła opowiadać nieznajomej, co jej się przydarzyło. Saharyjka słuchała, nie mrugnawszy nawet okiem, kłaskając językiem za każdym razem, kiedy Montse robiła przerwę. Kiedy skończyła mówić, poczuła się znacznie lepiej. Kobieta nie spuszczała z niej wzroku, tak jakby usłyszawszy jej opowieść, starała się zrozumieć do końca sens każdego słowa. „Mam na imię Montse” - przedstawiła się Hiszpanka, przerywając ciszę. „A ja - Aza”. „Jak tu trafiłaś?” Aza zrobiła zrozpaczoną minę. Spędziła dwa dni zamknięta na tym cmentarzysku wraków

samochodowych, razem z Algierkami. Jechała do Tindufu, żeby zadzwonić do Hiszpanii i kupić długopisy. W drodze powrotnej do obozu terenówka zepsuła się. Dwaj chłopcy, którzy jechali razem z nią, postanowili przebyć piechotą dwadzieścia kilometrów dzielących ich od wilajetu. Ona została w samochodzie, czekając, aż przyślą pomoc. Miała wodę i żywność, a zatem niczego się nie bała. Ale nagle pojawił się w ciężarówce Hiszpan i zaproponował, że ją podrzuci. Reszty historii można się domyślić. „Co z nami zrobią, jak sądzisz?” - spytała naiwnie Montse. Aza miała zrozpaczoną minę i przykryła twarz milhafem. Nic nie powiedziała.

W baraku czas stanął w miejscu. Dwa pierwsze dni wlokły się w nieskończoność. Słyszały mężczyzn rozmawiających na zewnątrz, ale niczego nie mogły dojrzeć przez szpary między deskami, którymi zabite było okno. Montse musiała kilka razy wyjść na dwór, bo dostała rozstroju żołądka. Tylko w takich chwilach mogły sobie pozwolić na luksus rozkoszowania się światłem słonecznym i odetchnięcia świeżym powietrzem. Aza i dwie muzulmanki o wiele lepiej znosiły niewolę niż Montse. Całymi godzinami potrafiły siedzieć bez ruchu, w milczeniu, nie jedząc nic i nie pijąc. Montse, trochę dla zachowania równowagi psychicznej, uczepliła się Saharyjki. Robiła wszystko, co kazała jej Aza: piła śmierdzącą wodę, jadła gnijące owoce, w godzinach największego skwaru starała się siedzieć nieruchomo. Miała wrażenie, że wytrzymałość tych trzech kobiet jest niemal nadludzka. Kiedy czuła, że jest bliska załamania, starała się rozmawiać z Azą. Dowiedziała się, że silny akcent karaibski Saharyjka zawdzięczała latom spędzonych na studiach na Kubie. Kiedy jednak Montse wypytywała ją o szczegóły z jej życia, Saharyjka zamykała się i zmieniała temat

rozmowy. „Kim są ci mężczyźni, Aza?” „To źli ludzie, kochana, bardzo źli ludzie”. „Co z nami zrobią?” „Nie wiem, kochana, i nie chcę o tym myśleć, póki nie nadejdzie czas”. Potem kłaskała językiem i odganiała muchy pełnym gracji ruchem.

Trzeciego dnia rozległ się warkot ciężarówki. Cztery kobiety zastygły czujnie, myśląc, że mężczyźni zostawią je same. Ale zaraz otworzyły się drzwi baraku i najemnicy zaprowadzili je do przyczepy. Mimo koszmarnych warunków ta podróż była luksusem w porównaniu z dniami spędzonymi w zamknięciu. Montse z przejściem podziwiała przestrzeń Sahary, wyglądając szparą pomiędzy deskami. Jechali ponad trzy godziny. W końcu zatrzymali się przy obrośniętej drzewami studni. Była to jedyna oznaka życia, jaką zauważyły podczas długiej podróży. Kamienne podłoże paliło jak ogień.

Layla z powagą słucha słów Montse. Po krótkiej chwili milczenia kłaska językiem i patrzy na chajmę, którą ledwie widać.

- Dlaczego tak robisz? - pyta Montse.

- Co takiego?

- Kłaskasz językiem.

- To taki zwyczaj.

- Tak samo robiła Aza. Niemożliwe, żeby to było złudzenie albo majaki.

- Nie, nie wydaje się to snem. A teraz chodźmy. Zapada już noc.

Chajmy położone są bardzo daleko od siebie. Nie ma ulic. Glinianym budynkom brakuje znaków charakterystycznych; wszystkie są takie same. Layla porusza się w ciemności, jakby to był dzień. Idą bardzo wolno. Przy wejściu do chajmy Layla

zaczyna nawoływać. Zaraz też pojawia się kobieta, która na ich widok zaczyna krzyczeć. Wygląda na rozgniewaną. Montse jest przerażona.

- Nie bój się, to moja ciotka. Beszta mnie za to, że późno przyjechałyśmy. Ciągle myśli, że jestem małą dziewczynką.

Wchodzą do namiotu i Montse staje zaskoczona sceną, jaką widzi. Mężczyźni i kobiety siedzą lub kucają na dywanach w pstrych barwach. Pośrodku chajmy wisi lampa jarzeniowa podłączona do akumulatora samochodowego. Wszędzie płaczą się dzieci. Kolorowe milhafy kobiet i barwne sukienki dziewcząt są jak plamy, rozszechniające się w świetle lampy. Montse czuje, że serce jej się ściska. Ściąga buty i zaczyna się witać. Większość mówi po hiszpańsku, z silnym akcentem arabskim. Dzieci próbują jej dotknąć i usiąść przy niej. Tymczasem Layla przedstawia zgromadzonych. Cudzoziemka nie potrafi zapamiętać wszystkich nazwisk dłużej niż przez chwilę. Stara się zachować w pamięci wyraz oczu, uśmiech, mimikę, gesty. Czuje się zmęczona. W końcu siada.

Layla mówi w jej imieniu. Montse lubi przysłuchiwać się, kiedy przyjaciółka rozmawia w hassanii. Ktoś proponuje jej szklankę herbaty. Przyjmuje ją z przyjemnością. Z innych chajm ciągle przybiegają dzieci. Ciotka Layli próbuje przegonić je jak stadko kur, ale dzieciarnia zaciekle się przed tym broni. Jakiś starzec krzyczy na dzieci i w końcu, chociaż niechętnie, uciekają. Rozsiadają się na piasku, parę metrów od wejścia. Montse nie wie, jak się odwdzięczyć za sympatię i względy rodziny i znajomych Layli. Przez chwilę czuje się wykończona. Kiedy Layla na nią patrzy, od razu widzi, że Hiszpanka jest bardzo zmęczona. Pielęgniarka wstaje i zaczyna gestykulować. Z pewnością prosi, żeby wyszli. Montse próbuje

temu przeszkodzić, ale Layla jest stanowcza. Goście wstają bez protestu. Wszyscy mężczyźni kolejno podają rękę Hiszpance i wychodzą. Kobiety ostatnie opuszczają namiot. Ciotka Layli ciągle jeszcze marudzi. Nie przestaje udzielać rad siostrzenicy. Kiedy w końcu zostają same, Montse czuje się przygnębiona.

- Nie powinnaś ich wyrzucać. Było mi bardzo miło.

- Za dużo mówią. Gdyby im pozwolić, siedzieliby tu całą noc. Nigdzie się nie śpieszą. Czasem potrafią spędzić cztery dni, gadając i pijąc herbatę tylko dlatego, że przyszedł ktoś z wizytą z innej *da 'iry*.

Jednak na uśmiechniętej twarzy Montse widać zmęczenie. Layla wyjmuje dwa koce z szafy. Rozkłada je na dywanie.

- Tej nocy nikt nie będzie ci przeszkadzał.

- Ależ, Laylo, nikt mi nie przeszkadza. Chyba nie masz zamiaru wyrzucić stąd ciotki.

- Ona świetnie się czuje wszędzie. A ty jesteś moim gościem.

Montse nie ma siły i ochoty, żeby z nią dyskutować. Obserwuje obojętnie Laylę, która szuka czegoś wśród rzeczy schowanych w szafie. W końcu wyciąga nożyce krawieckie. Siada obok cudzoziemki i każe jej nachylić głowę.

- Co chcesz zrobić?

- Ściąć ci włosy. Przecież sama mnie o to prosiłaś.

Montse uśmiecha się do niej. Próbuje poczuć ten sam spokój, który maluje się na twarzy Layli. Pochyla głowę i pozwala jej działać. Saharyjka ścina kosmyk po kosmyku, tworząc z nich niewielką kupkę na dywanie. Miarowy szczepek nożyczek i ciepło dłoni Layli sprawiają, że ogarnia ją senność. Ale Montse nie chce przegapić ani jednego momentu. Stara się nie zasnąć.

- Layla...

- Słucham.

- Skłamałam ci. - Layla nic nie odpowiada. - To znaczy nie okłamałam cię, ale też nie powiedziałam prawdy.

Montse milknie, ale pielęgniarka nie chce jej wypytywać.

- Miałam córkę. Umarła w sierpniu zeszłego roku.

Po raz pierwszy od śmierci córki Montse o niej mówi. Czuje ulgę. Layla kląska językiem i dalej milczy.

- Zginęła w wypadku motocyklowym. Skończyła zaledwie dziewiętnaście lat i miała na imię Teresa, tak jak moja siostra.

Potem Montse słyszy już tylko szcęk nożyczek i odgłos wiatru uderzającego w brezent chajmy. A tuż przed zaśnięciem dochodzi ją ostatnie słowo wypowiedziane przez Laylę:

- Dziękuję.

Żołnierze, którzy nigdy nie czytali prasy, wystawali teraz w długich kolejkach, aby kupić gazetę, albo gromadzili się wokół najbardziej wykształconego, który czytał im na głos nowiny dochodzące z Hiszpanii. W Al-Ujun zbyt późno dowiedziano się, że rząd hiszpański sprzedał Maroku większą część udziałów w przedsiębiorstwie wydobywającym fosforyty Fos Bu Craa. Kiedy wieść o tym rozeszła się wśród pracowników, można już było dostrzec wyraźne oznaki pogorszenia się nastrojów w życiu publicznym. W koszarach oficerowie rzadko rozmawiali z prostymi żołnierzami na temat tych znamiennych wydarzeń, zamieszek w mieście i haseł niepodległościowych wysuwanych podczas manifestacji ulicznych. Kradzież w kościele i zabójstwo zakrystiana zburzyły do reszty tę kruchą równowagę, w jakiej współżyli Saharyjczycy z Hiszpanami.

Santiagowi, prócz obecności sierżanta Baquedana, niewiele spraw zakłócało spokój lub pozbawiało go snu. W pewien sposób podniecenie, jakie panowało w koszarach, wprowiło go w całkiem odmienny nastrój. Bywało, że rozmowy o polityce

okazywały się dla niego nużące, a nawet zbyt trudne. Kolejne miesiące: kwiecień i maj, wypełniało ciągłe przemieszczanie się wojsk, biegi, polecenia i niespodziewane zmiany rozkazów, manewry, nocne marsze. Opinia publiczna obwiniała Polisario o wszelkie gwałty i nieprawości. Zbzczeszczenie kościoła stanowiło tylko przysłowiową kroplę, która przelała czarę goryczy. Prasa określiła napad jako akt terroryzmu. Wspomnienie tamtej nocy wywoływało tak wielkie przerażenie San Romana, że usilnie starał się zapomnieć o swoim udziale. Próbował oczyścić sumienie, nie przyłączając się do głosów potępiających działania Frontu Polisario i jego zwolenników.

Guillermo przeżywał te same wypadki na swój sposób. Prace budowlane w ogrodzie zoologicznym przerwano i większość żołnierzy z jego plutonu skierowano do zaminowania granicy z Marokiem. Kiedy skończył się zapas min metalowych, zaczęto rozkładać miny z tworzywa sztucznego, stwarzające śmiertelne zagrożenie dla ludzi, którzy przy nich manipulowali.

Tymczasem San Roman prowadził land-rovery, samochody oficerskie, ciężarówki, koparki oraz wszelkie maszyny wyposażone w silnik i kierownicę. Codziennie mijał na drogach bataliony żołnierzy jadących na manewry bądź powracających do stolicy w stanie skrajnego wyczerpania. Przynajmniej trzy razy w tygodniu przewoził oddziały pilnujące złóż fosforytów w Bu Craa. Strach przed sabotażem ogarnął nie tylko pracowników eksploatujących złoża, ale też urzędników przedsiębiorstwa zamieszkałych w mieście. Pół roku temu taśmę transportową, którą przesyłano fosforyty nad morze, podpalili młodzi robotnicy saharyjscy, odsiadujący obecnie karę w więzieniu na Wyspach Kanaryjskich. Żołnie-



rze zawodowi i legioniści spędzali niekończące się godziny pod ostrym słońcem Sahary, pilnując, aby nawet lis pustynny nie zbliżył się do taśmy czy urządzeń do wydobywania fosforytów. Także w biurach i mieszkaniach pracownicy żyli w stanie ciągłej czujności.

Na ulicach panowała napięta atmosfera, która Santiagowi wydawała się absurdalna. Żołnierze pilnowali Instytutu Nauczania Średniego w porze rozpoczęcia i zakończenia zajęć, Hotelu Narodowego, siedziby gubernatora Sahary i budynku Sztabu Generalnego. Regularnie patrolowali miasto z cetmami lub krótkimi karabinami maszynowymi, mieszając się z miejscową ludnością i uważając za podejrzanе wszystko, co odbiegało od normy. Dla Santiaga w Al-Ujun wszystko odbiegało od normy, ale przyjmował to ze spokojem. Kiedy żądał od jakiegoś Saharyjczyka okazania dowodu osobistego albo zatrzymywał jakiś pojazd, przeglądał papiery bez emocji, chętnie wymieniał zwroty powitania w hassanii i przepuszczał ludzi trochę tym zaskoczonych i trochę poirytowanych. Nie lubił przeszukiwać, rewizji osobistych i kontroli na skrzyżowaniach alej. Był natomiast szczęśliwy, kiedy dostawał rozkaz patrolowania targu ulicznego czy „zoco”, miejscowego bazaru. Zawsze miał nadzieję, że spotka tam Andię, jej matkę, kuzynkę czy którąkolwiek kobietę z rodziny Saharyjki.

Nie potrafił jednak przekonać Lazaara, żeby zaczął traktować go poważnie. Saharyjczyk wybuchął śmiechem, kiedy San Roman opowiadał mu o jego siostrze. Santiaga denerwowało lekceważenie, z jakim przyjaciel rozmawiał z nim na temat Andii.

- Zakochałeś się w Andii? Przecież to jeszcze dziecko.
- Skończyła już siedemnaście lat.

- Tak ci powiedziała? - wypytywał, nie przestając się śmiać. - Zwolnią cię z wojska, wyjedziesz do siebie i nigdy tu nie wrócisz. Oczywiście, jeśli nie zostawiłeś dziewczyny w Barcelonie.

- No co ty, skądże! Oszalałeś, stary...

A jednak z rodziną Lazaara sprawy miały się zupełnie inaczej. Santiago z zażenowaniem zauważył, że matka Andii, ciotki i młodsze siostry robiły wszystko, żeby mu sprawić przyjemność. W domu zaszły zmiany, które San Roman zauważył z opóźnieniem. Ściany, początkowo pozbawione ozdób, teraz obklejono fotografiami i ilustracjami, których znaczenia legionista nie mógł zrozumieć. Czasami były to wycinki z czasopism o sławnych ludziach albo mapy Półwyspu Iberyjskiego, zdjęcia generała Franco, Carmen Sevilli w czasie wizyty bożonarodzeniowej w 1957 roku, ministra turystyki, Fragi Iribarnego, otwierającego Hotel Narodowy, kalendarze z reprodukcjami obrazów Julia Romera de Torresa, fotografie toreadorów i piłkarzy. Początkowo nie zwracał na to uwagi, póki nie zrozumiał, że kobiety robiły to dla niego. Zaczęły również zmieniać fale radiowe z muzyki saharyjskiej na paso doble czy bolera Antonia Machina. Santiago odwdzięczał się za to na swój sposób.

Związki rodzinne były tak skomplikowane i zawile, że nigdy nie wiedział, kim są i z której strony liczni kuzyni, szwagrowie, dalecy krewni czy bracia. Jednak wszystkim starał się okazać swoją sympatię. Mężczyznom z rodziny pokazywał, jak wymontować i oczyścić gaźnik w samochodzie, zmienić tulejki czy poznać awarię silnika po dźwięku. Młodszy bracia Andii nie odstępowali go na krok. Ale po śmierci ojca głową rodziny stał się niewątpliwie Lazaar. Nie tylko rodzina, ale też sąsiedzi

czuli do niego szacunek. Wszystko, co powiedział Lazaar, akceptowano bez słowa sprzeciwu. Dlatego San Roman wiedział, że póki Saharyjczyk nie zacznie traktować go poważnie, niewiele uda mu się zdziałać z jego siostrą.

Andia z kolei zachowywała się czasem jak kobieta, a kiedy indziej jak dziecko, jednak Santiaga nie drażniły tak zmienne nastroje dziewczyny. Jeśli tylko mógł się urwać z jednostki, wspinał się do dzielnicy Zemli i siadał przy herbacie z każdym, kto w danym momencie był w domu. Dziewczyna przyjmowała go szczerze i naturalnie, jakby przywykła już do jego obecności, ale unikała ukradkowych spojrzeń, prób zbliżenia się czy zawołanych komplementów. W zasadzie więcej rozmawiał z jej rodziną niż z nią samą. Czasami dziewczyna wychodziła do innego pokoju i nawet nie wracała, żeby się z nim pożegnać. To dziwne zachowanie doprowadzało Santiaga do szału i przysięgał sobie, że już nigdy więcej nie wróci do jej domu. A jednak prezenty, które Andia wręczała mu potajemnie, ukradkowe spojrzenia, które go zaskakiwały, szczególne względy, jakie mu okazywała, czy zdenerwowanie widoczne za każdym razem, gdy zwracał się do niej, przywracały mu znowu nadzieję i odwiedzał jej dom zawsze, kiedy tylko nadarzała się sposobność.

Gdy zwierzył się Guillermowi z tego, co czuje do Andii, przyjaciel nie wiedział, czy cieszyć się, czy próbować wybić mu to z głowy. Przynajmniej Santiago nie mówił już o Montse ani nie prosił go, żeby do niej wydzwaniał lub pisał listy. Był przekonany, że jego związek z Saharyjką skończy się wcześniej czy później. Widział jednak, że jego przyjaciel jest szczęśliwy, i nie potrafił powiedzieć mu szczerze, co o tym myśli. Guillerma, w przeciwieństwie do San Romana, niepokoiła napięta atmo-

sfera w Saharze Hiszpańskiej. Niezdolny do własnej oceny, sugerował się komentarzami z kasyna, plotkami i tym, co widział na ulicach miasta. Praca przy zakładaniu min wydawała mu się koszmarna. Nawet oficerowie nie zdawali sobie zbyt dobrze sprawy z tego, co się dzieje. Kiedy dopytywał się jakiegoś sierżanta czy zwykłego kaprała o przyszłość, przełożeni kazali mu milczeć lub wręcz ganili go za ciekawość. Ale niepokój na ich twarzach był wyraźnie widoczny.

Natomiast San Romana niepokoiło wyłącznie własne sumienie oraz sierżant Baquedano. Dlatego cieszył się, kiedy musiał wyjechać na parę dni albo dostawał rozkaz patrolowania ulic lub wysyłano go wraz z rekrutami do batalionu szkoleniowego na poligon odległy o dwadzieścia kilometrów od miasta, nad morze. Ale prędzej czy później musiał się zetknąć z sierżantem, stanąć na baczność i zaszalutować. I właśnie tak się zdarzyło pewnego ranka, kiedy sierżant Baquedano wjechał do jednostki Alejandra Farnesia w sfoferce ciężarówki. Na widok San Romana zeskoczył i szybkim krokiem podszedł do niego. Szeregowiec zaszalutował mu z poważną miną i oddał się do dyspozycji.

- San Roman, mam sprawę do ciebie.

Santiago spociał się, próbując ukryć drżenie nóg.

- Tak jest, proszę pana.

- Chcę, żebyś się stawił do egzaminu na kaprała.

- Na kaprała, proszę pana?

- Tak, na kaprała. Nie wiesz, co to znaczy?

- Oczywiście, że wiem, proszę pana. Ale do egzaminu muszę się trochę poduczyć i znać rachunki.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie umiesz czytać ani pisać?

- Nie, proszę pana. To znaczy tak, proszę pana. Czytać

i pisać umiem, ale nie za dobrze. A jeśli chodzi o rachunki, to jestem w nich słaby.

- Nie chcę słuchać wymówek mięczaka. Jesteś legionistą, słyszysz? Nie musisz umieć czytać ani pisać. Musisz tylko mieć jaja. A te akurat masz. Może mi powiesz, że nie?

- Nie, proszę pana. To znaczy tak, proszę pana. Jasne, że mam.

- W takim razie staw się na egzamin albo spieprzaj. To rozkaz! Egzaminy są w sobotę. I pamiętaj, nie urznij się w piątek ani nie łaż na dziwki. W sobotę o ósmej chcę cię widzieć w koszarach oficerskich. Legia potrzebuje takich patriotów jak ty.

W następnym poniedziałek Santiago San Roman był już kapralem Legii. Koledzy, nie wyłączając Guillerma, zaczęli go traktować inaczej. Kiedy pojawił się w koszarach wojsk nomadzkich, chciał zrobić wrażenie na Lazaarze, ale Saharyjczyk obojętnie przyjrzał się jego galonom, potem spojrział mu w oczy i rzucił z ironią jedno zdanie:

- Teraz naprawdę będzie się ciągnął za tobą sznur panien.

Ten komentarz zabolął go jak zdradziecki cios. Tak bardzo, że tego dnia nie chciał stanąć na bramce w drużynie Saharyjczyków.

A potem wszystko zaczęło się błyskawicznie zmieniać. Parę dni później, kiedy Santiago wrócił z misji rozpoznawczej, Lazaar już na niego czekał na boisku piłki nożnej. Santiago zauważył, że był poważny, a nawet bardzo poważny. Zdenerwował się, usłyszawszy pierwsze zdanie.

- Słuchaj, San Roman, nie wiem, jak ci to powiedzieć, żebyś się nie obraził.

Kapral nie wiedział, co myśleć. Przez jego głowę przebie-

gały najgorsze przypuszczenia, ale żadne nie było tak straszne jak to, co naprawdę usłyszał.

- Dalej, Lazaar, mów, jestem twoim przyjacielem. Powiedz, co się stało.

- Jesteś moim przyjacielem?

- Oczywiście, że jestem. Przecież wiesz. Dlaczego mnie o to pytasz właśnie teraz?

- W takim razie wiesz, że przyjaciele czasem muszą zrobić coś, co im się nie podoba, jeśli uważają, że to jest dobre dla tego drugiego.

- Proś, o co chcesz. Wcale mnie to nie przeraża.

Lazaar wpatrzył się w Santiaga, jakby chciał go przejrzeć na wylot. Trzymał go jedną ręką, a drugą położył na ramieniu.

- Nie chcę, żebyś do nas przychodził. Przynajmniej na razie.

Kapral San Roman przełknął ślinę. Miał wrażenie, że krew odpływa mu z twarzy.

- Jasne, oczywiście - powiedział, nie puszcżając dłoni Lazaara. - To z powodu twojej siostry, prawda?

- Nie, to nie przez Andię. Wiem, że ci się podoba, chociaż to jeszcze dziecko: ma zaledwie piętnaście lat. To z mojego powodu.

- Obraziłem cię?

- Przeciwnie. Czuję się dumny, że jesteś moim przyjacielem. Sprawy nie są takie proste, jak myślisz. Pewnego dnia to zrozumiesz, ale teraz nie mogę ci nic więcej wyjaśnić.

Słowa Saharyjczyka zaskoczyły Santiaga. Nie mógł uwierzyć, że istnieje jakiś inny powód niż Andia, dla którego jego obecność w domu Lazaara stała się niepożądana. Nigdy nie przypuszczał, że jego przyjaciel może mu sprawić

tyłe cierpienie. Nie sądził też w tamtym momencie, że kiedykolwiek potrafi zrozumieć, co zaszło. Po prostu ogarnął go smutek.

Przez kolejne dwa tygodnie nie pojawiał się w domu Lazaara. Kiedy uczestniczył w patrolach na mieście, spoglądał w stronę dzielnicy domów z kamienia i wyobrażał sobie, co robi w tym momencie Andia. Nie mógł spokojnie spać. Przystał jeść. Znowu jakaś kobieta wprowadziła niepokój w jego życie i zmieniła się, koniec końców, w jego obsesję. Wolne chwile spędzał z kolegami z wojsk nomadzkich, ale jego przyjaźń z Lazaarem już nie była taka sama jak dawniej. Odczuwał coś w rodzaju podziwu i zazdrości wobec Saharyjczyka. Kiedy widział go, jak uwija się wśród dromaderów, wydawał mu się kimś szczególnym. Lazaar znał sekrety pustyni, mowę wielbłądów. Tak dużo wiedział o klimacie i terenie Sahary, że dla Santiaga był dwudziestoletnim starcem. Tak więc w ciągu dwóch tygodni ich przyjaźń ochłodziła do tego stopnia, że ograniczali się zaledwie do zdawkowego powitania i kilku grzecznościowych zwrotów.

Ale w początkach maja zdarzyło się coś, co wyrwało San Romana z dołka, w którym tkwił. Przejeżdżał przez dzielnicę Colomina ciężarówką z transportem żywności. W szoferce oprócz niego siedział jeszcze uzbrojony żołnierz, a drugi jechał na platformie. Santiago słuchał cierpliwie gadaniny legionisty, kiedy nagle wydało mu się, że wśród ludzi idących chodnikiem widzi Andię. Zahamował i już chciał zawołać ją po imieniu, kiedy rozsądek go powstrzymał. Wiedział, że nie może opuścić pojazdu ani zjechać z wyznaczonej trasy. Jego towarzysz przestraszył się, kiedy Santiago nagle zatrzymał ciężarówkę.

- Co się dzieje, panie kapralu? Co pan zobaczył?

Santiago wystawił głowę przez okienko, chcąc się upewnić, czy to Andia. Po raz pierwszy widział dziewczynę poza jej dzielnicą.

- Nie wysiadajcie z samochodu. Chyba przed nami coś się dzieje. Mam niejasne podejrzenia.

Szeregowiec zbladł jak ściana. Rozglądał się uważnie na wszystkie strony, ściskając kurczowo cetmę i próbując zlokalizować grożące im niebezpieczeństwo. Kapral San Roman wyskoczył z szoferki.

- Upewnię się! - krzyknął z udawaną powagą. - Nie ruszajcie się z ciężarówki, chyba że zaczną do was strzelać.

Santiago pobiegł chodnikiem, próbując dogonić dziewczynę. Kiedy zobaczył, że skręca za róg, podszedł do niej. Poczul ogromną ulgę, stwierdziwszy, że się nie pomylił. Andia szła chodnikiem z inną młodą Saharyjką. Na widok legionisty instynktownie zakryła twarz milhafem i zaczęła coś pośpiesznie mówić w hassanii. Santiago nic nie rozumiał. Prawdę mówiąc, jej słowa skierowane były do koleżanki, która nie przedstawiała chichotać, jednocześnie zakrywając sobie twarz. Po chwili dziewczyna spowaźniała i umilkła.

- Co tu robisz, Andia? Gdzie idziesz? Czy to twoja koleżanka?

- Brat mi powiedział, że wróciłeś do Hiszpanii, że cię zwolniono z wojska.

- Nieprawda, Andia. Nigdy bym nie wyjechał bez pożegnania. W końcu jesteś moją narzeczoną. Nie wyjechałbym bez ciebie.

Uśmiech znowu pojawił się na twarzy Saharyjki i jej przyjaciółki. Santiago czuł się taki podenerwowany, że zaczął pod-



skakiwać na czubkach palców, a przy tym nieustannie wkłada ręce do kieszeni i wyjmował.

- Nie chcę cię okłamywać. To Lazaar poprosił, żebym już więcej cię nie odwiedzał. Twierdzi, że to nie z twojego powodu, ale też nie wyjaśnił mi dlaczego.

Andia nie mogła domyślić się, jakimi pobudkami kierowa się Lazaar. Zmarszczyła czoło i złapała przyjaciółkę za rękę.

- Mój brat za bardzo lubi się wtrącać. Traktuje mnie jak dziecko, jakbym była głupia.

Nagle chwyciła Santiaga za rękę i zmusiła go, żeby siedł obok niej. Przyjaciółka dreptała z drugiej strony. Przeszli przez ulicę i Andia poprosiła, żeby udał się z nimi na miejscowy bazar, który przypominał targowisko z Hata-Rambli: te same zapachy i ten sam chaos.

- Lubisz daktyle? - spytała go Saharyjka. - Nie, lepiej rodzynki. Lubisz rodzynki? Nie, to też nie.

Poprosiła kramarza o fajkę z futerałem i wręczyła ją Santiagowi.

- Lubisz?

- Bardzo, Andio. Ale ja...

- Chcę, żebyś miał jakiś prezent ode mnie.

Przyjaciółka Andii poprosiła sprzedawcę, żeby pokazał jej bransoletki, i przymierzyła je Santiagowi. Wybrała jedną, która wchodziła mu łatwo na rękę.

- Haibbila też chce ci dać jakiś prezent. To moja najlepsza przyjaciółka.

Santiago nie wiedział, jak dziękować za prezenty podarowane z potrzeby serca. Poczul się niepewny i zmieszany. Zaskoczyła go niespodziewana inicjatywa tych dwóch młodziutkich dziewcząt. Pożegnał się, przyrzekając, że wpadnie, kiedy

Lazaar wyjedzie na manewry. Tej nocy zasnął z bransoletką na ręce i z fajką w dłoni.

Manewry, o których wspomniał Santiago, były w rzeczywistości misją specjalną w Angali jednego z oddziałów patrolowych wojsk nomadzkich. Ale o tym dowiedziano się dopiero kilka dni później. Tak jak prawie wszystko w ostatnich miesiącach - ruchy wojsk otaczano tajemnicą, choć może nie tak ściśle, jak należało. W poniedziałek, piątego maja, w przeddzień wymarszu, Lazaar udał się na poszukiwanie kaprała San Romana do kantyny w jego jednostce. Santiaga bardzo zaskoczyło, że Saharyjczyk po raz pierwszy przychodzi do niego do koszar, ale jeszcze bardziej zdziwiły go słowa Lazaara, które przypuszczalnie przygotował sobie wcześniej.

- Pewnie wiesz, że jutro wyjeżdżam z moim oddziałem. - Santiago skinął głową, próbując przejrzeć myśli Lazaara. - Nie wiem, kiedy wrócę. Dlatego chcę cię o coś prosić.

- Co tylko zechcesz...

Po chwili namysłu Saharyjczyk zaczął mówić.

- Chcę, żebyś zaopiekował się moją siostrą i całą rodziną. - Zrobił przerwę i z niepokojem czekał na reakcję Santiaga. - Wiem, że nic im się nie stanie, ale jeśli ty zaopiekujesz się nimi, będę o wiele spokojniejszy. Moi bracia są jeszcze mali i głowy mają zajęte zupełnie czymś innym. Czasem nawet dobrze nie wiedzą, co się dzieje na Saharze.

- Mówisz tak, jakbyś miał nie wrócić.

- Oczywiście, że wrócę. Ale sytuacja na froncie jest znacznie gorsza, niż nam mówią. Maroko rzuci się na nas jak hiena.

- Spokojnie... Jesteśmy tu po to, żeby was bronić. W końcu stanowicie część Hiszpanii.

- Jesteś jedynym optymistą. To dobrze. Ale tak jak mówi-

łem, będę spokojniejszy, jeśli obiecasz, że zatroszczysz się o moją rodzinę, niezależnie od tego, co się stanie.

- Nawet nie musisz mnie o to prosić. Chętnie to zrobię. Oczywiście tylko do twego powrotu.

- Jasne, tylko do mojego powrotu - powiedział, uśmiechając się.

Objęli się i długo ściskali sobie ręce, patrząc przy tym w oczy.

Słowa Lazaara zupełnie zbiły z tropu kaprała San Romana. Ich ukryte znaczenie zrozumiał dopiero po tygodniu, kiedy dramatyczne wieści dotarły do Al-Ujun. Początkowo wiadomości były mętne, a nawet wyraźnie sprzeczne. W prasie nie zamieszczono żadnej wzmianki o wydarzeniach. W końcu oficerowie otwarcie poinformowali żołnierzy, co się właściwie stało. W sobotę, 10 maja 1975 roku, oddział patrolowy wojsk nomadzkich, działający pod kryptonimem „Pedro”, przeszedł na stronę Frontu Polisario. Saharyjczycy zabrali ze sobą jako zakładników dwóch poruczników hiszpańskich, jednego sierżanta i pięciu szeregowców. Wydarzyło się to w Amgali. Następnego dnia to samo stało się z oddziałem patrolowym w Mahbes; tym razem jednak Hiszpanie bronili się i w walkach zginął szeregowiec oraz sierżant. Pozostałych siedmiu żołnierzy zatrzymano jako jeńców i zabrano ze sobą za granicę algierską.

Z powodu potyczek i dezerecji sytuacja w Al-Ujun stała się jeszcze bardziej napięta. Urzędnicy i funkcjonariusze nie mieli wątpliwości, że ich dni w Afryce są już policzone. Najwięksi optymiści ufali politykom z Półwyspu i starali się utrzymać dawne zwyczaje i styl życia w mieście. Tymczasem codziennie pojawiały się na murach domów nowe napisy sympatyków Po-

lisario, żądające niepodległości, lub słowa protestu i hasła skierowane przeciwko królowi Maroka, który na arenie międzynarodowej rościł sobie coraz bardziej otwarcie prawa do hiszpańskiej kolonii w Afryce. Czasem zamieszki tłumiono siłą. Zarówno Hiszpanie, jak i Saharyjczycy podzielili się zgodnie z interesami każdej ze stron.

Santiago przysłuchiwał się dyskusjom, nie rozumiejąc ich sensu. Za każdym razem, kiedy Guillermo ostrzegał go przed niebezpieczeństwem chodzenia do Hata-Rambli, ich rozmowa kończyła się kłótnią. Przy każdej okazji szedł do domu Andii. A jednak długo trwało, zanim pojął, że wszyscy członkowie jej rodziny są sympatykami Polisario. Kiedy jeden ze stryjów Lazaara wypytywał Santiaga, w obecności całej rodziny, co myśli o ostatnich wydarzeniach, legionista podrapał się w głowę i próbował głośno wyłożyć swoje poglądy:

- My, Hiszpanie, nie wtrącamy się do polityki. Pragnę tylko tego, co dla was najlepsze. Resztę zostawiam mądrzejszym ode mnie.

Później San Roman w różnorodny sposób udowadniał, że jego słowa są szczere. Kiedy niektóre dzielnice miasta otoczono drutem kolczastym w celu zdławienia buntów i zamieszek, wtedy, korzystając ze swego munduru i pagonów, wchodził do różnych sektorów i wychodził, przynosił wieści ze świata, dostarczał brakującą żywność lub przekazywał listy od żołnierzy saharyjskich, skoszarowanych w stanie najwyższej gotowości.

Od czasu do czasu powracała mu w pamięci, bezwiednie i mimowolnie, twarz Montse. Zupełnie jak duch zjawiający się nie w porę, w nieoczekiwanych okolicznościach. Dźwięki piosenki, oblicze jakiejś dziewczyny wystarczały, aby znowu

stawiała mu przed oczyma. Te wspomnienia sprawiały mu ogromny ból. Czasami próbował obliczyć, ile jeszcze tygodni zostało do porodu. Ta myśl dręczyła go godzinami i uwalniał się od niej dopiero wtedy, gdy spotykał się z Andią. Saharyjka w obecności rodziny traktowała go obojętnie. Dobrze wiedziała, że jeśli okaże przy wszystkich zainteresowanie jakimś mężczyzną, nadal będą ją traktowali jak małe dziecko. Nie znała żadnej kobiety, która przy ludziach ujawniałaby swoje uczucia. Pewnego dnia spytała Santiaga:

- Kiedy wracasz do kraju?

- Tu jest mój kraj, Andia.

Ale dziewczyna dobrze wiedziała, o co jej chodzi.

- Przecież w końcu wyjedziesz, prawda?

- Wcale nie wyjadę. A może chcesz, żebym wyjechał?

- Ludzie mówią, że Hiszpanie chcą nas sprzedać rządowi Maroka.

Santiago nie potrafił jej na to odpowiedzieć. Im więcej słyszał komentarzy oficerów i dowódców, tym bardziej czuł się zagubiony.

- Ja stąd nie wyjadę. Chyba że ty pojedziesz ze mną.

***Cha'ifa?\****

- Nie, wcale się nie boję. Ale wiem, że masz inną narzeczoną w swojej ojczyźnie. Widzę to, kiedy na mnie patrzysz.

- Kocham tylko ciebie.

Andia udawała obrażoną. Jednak pod poważną miną ukrywała uśmiech i szczególnie błysk oczu.

\* *Cha'ifa?* (arab.) - boisz się? (pytanie do kobiety; do mężczyzny: *Cha'if?*).  
(Przyp. kons.).

W nocy pastylki nie przyniosły jej ulgi. Była podenerwowana, jakby trapiło ją jakieś zmartwienie, którego nie potrafiła sobie przypomnieć. Zresztą herbata wypita u Ayacha rozbudziła ją na dobre. Tylko tym razem czuła się niespokojna w zupełnie inny sposób niż przez ostatnie miesiące. Przewracała się i wierciła w łóżku aż do drugiej w nocy. Potem wstała i usiadła przed monitorem komputera. Wspomnienia ostatnich dni przewijały się niewyraźnie, łącząc się z obrazami i szczegółami, które w swoim czasie przemknęły jej niezauważalnie.

O ósmej rano w święto Trzech Króli miasto było jeszcze pogrążone we śnie albo dopiero zasypiało. Zeszła w dół aleją Paralelo aż do portu. Napawała się spokojem pustych i cichych ulic. Niebo pokrywały gęste chmury, powietrze przesyciła wilgoć. Pierwszy raz w życiu przemierzyła sam środek Placa del Portal de la Pau. W końcu zatrzymała się na molo. Z drugiej strony pomostu dochodziły z barów dźwięki muzyki. Zobaczyła zmęczonych, wykończonych ludzi, z trudem trzymających się na nogach, opuszczających lokale rozrywkowe po nocnych hulankach. W dali mgła snuła się nad morzem jak

strzępy waty spadającej z nieba. Ten poranny pejzaż wydał jej się przepiękny. Spędziła długie godziny przyklejona do komputera, poszukując informacji na temat obozu Saharyjczyków w Tindufie. Przed jej oczyma przewijały się niezliczone fotografie pustyni, obozów uchodźców, Al-Ujun, Smary. Tyle informacji buzoowało jej teraz w głowie i kontrastowało z błękitną plamą morza i ołowianym światłem świtu, zimowym widokiem, jaki miała przed oczyma.

Dla Montse San Roman nie żył już od prawie dwudziestu pięciu lat. Taka była prawda. Od chwili, kiedy ktoś jej przekazał tę wiadomość. Teraz zastanawiała się, dlaczego od razu uwierzyła w to, co jej opowiadali zupełnie obcy ludzie. Czy coś by się zmieniło, gdyby wtedy z większym zaangażowaniem próbowała dowiedzieć się prawdy? Była pewna, że nie. Teraz przypomniawszy sobie, ile trwało, zanim o nim zapomniała. Jakieś kilka miesięcy. Napięcia w rodzinie w tamtym czasie zmusiły ją do patrzenia w przyszłość, a nie do pograżania się w tęsknocie, która czasem ją ogarniała. Listy od Santiaga, których nie mogła przeczytać w odpowiednim momencie, wydawały jej się po tylu latach przewrotnym żartem losu. A jej idealny Alberto wypełnił pustkę, jaką pozostawił po sobie Santiago. Może jednak nie było żadnej pustki... Wcale nie miała pewności, czy jej młodzieńcza miłość przetrwałaby dłużej, gdyby chłopak wrócił do Barcelony. Nagle zaczęła ją dręczyć myśl, że być może on wierzył, iż ma dziecko w Hiszpanii. Wspominał o tym w każdym liście nadesłanym z Al-Ujun. Nie wykluczone, że tylko to go z nią łączyło. Chociaż wcale nie przypominał wymarzonego przez Montse wzoru ojca. A czy był nim jej wspomniały Alberto?

Wrzawa, jaką robili ludzie opuszczający okoliczne bary,

przywróciła ją do rzeczywistości. Uważała, że jest jeszcze za wcześnie na wizytę u Ayacha. Przeszła się nabrzeżem w stronę Barcelonety. Bezsennie spędzona noc zaczęła wystawiać jej rachunek. Drżały jej nogi i czuła bóle brzucha. Nie zastanawiając się długo, zagłębiła się w zaułki dzielnicy, która w innej epoce stanowiła dla niej prawdziwe odkrycie we własnym mieście. Tym razem zza zamkniętych okien nie dochodziła muzyka. Mogła sobie nawet przypomnieć zapach duszonych potraw, wypełniający w samo południe ulice Barcelonety. Zatrzymała się przed kioskiem. Wyglądał zupełnie inaczej. Weszła. Stare drewniane regały zastąpiono przestronnymi, oszklonymi witrynami. Lada była teraz znacznie niższa i krótsza. Sprzedawano także gazety i słodczyce dla dzieci. Kupiła paczkę chesterfieldów. Nie paliła tych papierosów, odkąd skończyła osiemnaście lat. Przeszedł ją dreszcz, kiedy o tym pomyślała. Właściciel trafiki był bardzo młody. Już miała go spytać o kobietę, która prowadziła kiosk w 1976 czy 1977 roku, ale zrezygnowała. To tak jakby ekshumowała zwłoki. Na ścianie kiosku dostrzegła informację o najbliższej dyżurującej aptece: na **Placa** de la Font. Spytała kioskarza, czy to blisko. Wyjaśnił jej, jak dojść.

Kiedy dotarła na plac, wydało jej się, że to miejsce czekało na nią przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Co prawda parkowało tam teraz mnóstwo samochodów, ale i tak niewiele się zmieniło. Wzdrygnęła się. Jakaś staruszka, otulona różowym szlafrokiem, dreptała z psem po chodniku. Pewnie mieszkała tu od dwudziestu sześciu lat. A jeśli nie ona, to ktoś inny z sąsiadów, którzy wkrótce zaczną wychodzić na plac. Być może ta kobieta była w tym samym miejscu pewnego wieczoru pod koniec sierpnia 1974 roku, na skromniutkiej potańcówce, na



której pojawili się wszyscy miejscowi. Pamiętała to miejsce ze szczegółami. A nawet przypomniała sobie nazwę zespołu muzycznego: Rusadir. Ruszyła w stronę kobiety z psem. Podeszła do niej i przywitała się. Kobieta uprzejmie ją pozdrowiła.

- Czy jest tu w pobliżu apteka? - spytała Montse.

- Tak, zaraz za rogiem.

Montse podziękowała. Staruszka odeszła, głośno narzekając na sterty śmieci, jakie zostawiła młodzież bawiąca się na placu.

- Za każdym razem po świętach jest to samo. Wcale ich nie obchodzi, że toniemy w śmieciach. Jasne, potem sobie wracają do swoich czyściutkich dzielnic.

Niewykluczone, że dwadzieścia sześć lat temu ta kobieta też uczestniczyła w miejscowej potańcówce na tym samym placu. A kiedy skończyła się impreza i muzycy poszli do domu, plac wyglądał jak śmietnisko, zresztą pewnie tak samo jak teraz.

Zdarzyło się to w ostatnich dniach sierpnia. Santiago spytał Montse: „Chcesz pójść potańczyć?”. Ona natychmiast odpowiedziała: „Jasne. Zabierzesz mnie na dyskotekę?”. „W sobotę jest potańcówka w mojej dzielnicy. Nic specjalnego, ale ponieważ mówiłaś, że się ciebie wstydzę...” Wtedy Montse po raz pierwszy włożyła buty na obcasach i wyszła na ulicę z umalowanymi ustami. W swoim pokoju, kiedy nikogo nie było w domu, wielokrotnie robiła już sobie makijaż. Myślała, że nigdy nie nadejdzie moment, żeby zaprezentować publicznie to, czego nauczyła się przed lustrem. Włożyła sukienkę, którą jej matka nosiła na zdjęciach z młodości. Kremową, z łódecz-

kowym dekoltem, dopasowaną w talii. Satynowa spódnica sięgała jej aż do kolan i układała się w plisy, które odsłaniały wzór w kwiaty. Sukienka była jak skrojona na jej miarę. Na ramiona narzuciła żółte dzianinowe bolerko. Włożyła podwójny sznur pereł i do kompletu kolczyki. Wzięła także torebkę matki z białego lakieru i kryte lakierki na szpilkach. Włosy zebrała spinką w koński ogon. Uszminekowane na czerwono usta dopełniły jej przemianę. Sama zastygła zaskoczona, kiedy w lustrze zobaczyła efekt. Zawahała się. Nie miała odwagi upudrować sobie twarzy. I chociaż marzyła o tym od dawna, bardzo się krępowała wyjść w takim stroju na ulicę.

Natomiast Santiago nie wiedział, co powiedzieć na jej widok. Nagle poczuł się przy niej jak dziecko. Dziewczyna wydawała się teraz o wiele starsza od niego. Santiago włożył białą koszulę, tę samą co pierwszego dnia, beżowe spodnie dzwony i skórzane brązowe buty, z bardzo ostrymi czubkami. Montse pozwoliła się cmoknąć w policzek, żeby nie pobrudzić go szminką. W ostatniej chwili utuszowała rzęsy i położyła cień na powieki. „Wyglądasz jak panna młoda” - rzekł zachwycony Santiago. Te słowa wprawiły Montse w euforię. „Masz ochotę się przejść? Chcę, żeby wszyscy zobaczyli, jaka jesteś śliczna”. Wiedziała, że Santiago nie miał ani grosza na autobus i metro, dlatego przez grzeczność zgodziła się na jego propozycję.

Tamtego wieczoru nie było ładniejszej i elegantszej pary od Montse i Santiaga. Dziewczyna nie mogła wprost oderwać od niego oczu. Cerę miał jeszcze smaglejszą niż zwykle, czarne włosy zaczesane do tyłu i usztywnione brylantyną. Nigdy nie widziała przystojniejszego chłopaka od niego. Była świadoma, że inne dziewczyny patrzą na nią z zazdrością, i sprawiało jej

to przyjemność. Kiedy Santiago spoglądał gdzie indziej, delikatnie brała go za rękę, a wtedy chłopak uśmiechał się do niej. „Ty też jesteś bardzo przystojny. Najprzystojniejszy ze wszystkich”. Montse musiała nalegać, żeby Santiago pozwolił sobie postawić piwo. Pił wyraźnie zakłopotany, a nawet zawstydzony. Za każdym razem, kiedy znajomi witali się z Santiagiem, Montse widziała, jak mierzyli ją wzrokiem. W innych okolicznościach pewnie by ją to krępowało, ale tego wieczoru czuła się wyróżniona. „Powiedz, Santi, czy ty mnie kochasz”. „Oczywiście. Jasne. Gdybym cię nie kochał, nie byłbym tu z tobą”. Montse była zawiedziona, że chłopak odbiera wszystko w tak prosty sposób. Choć może właśnie ta prostota ją urzekła. „Skoro mnie kochasz, czemu mi nigdy tego nie mówisz?”

Kapela Rusadir grała przeboje tamtego sezonu. Żadne z nich dwojga nie zwracało uwagi na muzykę. Montse zawsze drażniło, że dziewczyny dosłownie wieszały się na swoich chłopakach, wycierały im końcem palca koniuszki ust, obejmowały gorączkowo rękoma za szyję. A teraz sama robiła to, co tyle razy wyśmiewała. „Zatańczysz, Santi?” „Tańczę jak słoń”. Montse podobało się nawet i to. Chłopcy, którzy potrafili dobrze tańczyć, wydawali jej się mało męscy. To ona zamówiła piwo. Dała Santiagowi swoją portmonetkę, żeby zapłacił, i chłopak za każdym razem, kiedy musiał ją otworzyć, czuł, że monety palą mu rękę. Kapela zaczęła grać paso doble *Las Corsarias*. San Roman poczuł, że serce mu się ściska.

*Gdzieś na arabskiej ziemi,  
Gdzieś w dalekiej Afryce,  
Miody żołnierzyk hiszpański  
Śpiewał taką piosenkę.*

Młodzi zeszli z parkietu, a wtedy zaczęły tańczyć przytulone starsze pary.

*Jak wino z Jerezu  
I młode wino z Riojy  
To są barwy  
Naszej flagi narodowej.*

„Teraz mam ochotę zatańczyć” - rzekł niespodziewanie Santiago. „Do tej melodii chcesz tańczyć? Przecież to **Banderita**”. „No to co? W końcu to paso dobre. Tylko to potrafię tańczyć. Moja matka bardzo je lubi”. Montse dała się zaprowadzić aż na sam środek placu.

*A kiedy umrę z dala  
Od mej ojczyzny kochanej,  
Pragnę tylko, żeby mnie okryli  
Naszym hiszpańskim sztandarem.*

Czuła, że ludzie się na nich gapią; jednak Santiago wydawał się obojętny na wszystko i tylko nucił pod nosem tekst piosenki.

*Kiedy jestem na obczyźnie,  
Twe kolory wciąż wspominam,  
Czyny twoje noszę w sercu  
I pamiętaj, że cię kocham.*

„Co powiedziałaś?” - spytała, wpatrując się w jego oczy. „I pamiętaj, że cię kocham - zaszeptał jej do ucha, a ona deli-

katnym pocałunkiem musnęła jego usta. - I pamiętaj, że cię kocham, i pamiętaj, że cię kocham, i pamiętaj, że cię kocham. Teraz już nie możesz powiedzieć, że nigdy ci tego nie mówię". „Jeszcze raz". „I pamiętaj, że cię kocham". „Jeszcze". „I pamiętaj, że cię kocham". Kiedy ucichła melodia paso dobre i młodzież znowu rzuciła się do tańca, Santiago i Montse całowali się na samym środku placu, nie zwracając uwagi na muzykę, hałas, spojrzenia innych. Gdy otworzyli oczy, ziemia wirowała im pod nogami.

Powoli plac się wyludniał. Śmieci zalegały we wszystkich kątach. Montse nie chciała rozstawać się z Santiagiem. „Chcę, żebyś dziś został u mnie na noc". Chłopak nagle zeszytniał. Montse natychmiast to zauważyła. „Co się dzieje? Nie chcesz do mnie przyjść?" „No coś ty. Skądże. To nie dlatego... to znaczy tak..." „Wytłumacz mi, przecież przed chwilą mówiłeś, że mnie kochasz, a teraz..." „To przez gosposię". „Wejdzimy po cichutku. Śpi w służbówce, położonej daleko od mojej sypialni. Kiedy rano pójdzie na mszę, wyjdiesz". „Zna mnie - wyznał jej speszony. - Zna moją matkę. Nie chcę, żebyś miała przeze mnie kłopoty. Jeśli twój ojciec się dowie... Mówiłaś, że gdyby twój ojciec się dowiedział..." Montse zamknęła mu usta pocałunkiem. „Powiedziałam to całe wieki temu. Nic mnie nie obchodzi, że ojciec się dowie. Zresztą wcale nie musi się dowiedzieć. Mari Cruz wie, że musi trzymać język za zębami. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie". Santiago kiwnął potakująco głową.

Szli przez Barcelonetę w stronę pasażu Kolumba. Montse była bardzo zmęczona. Strasznie bolały ją nogi. Przysiedli w jakiejś bramie. „Te buty mnie wykończą. Nie jestem przyzwyczajona". „Odpocznij, ile chcesz". „Nie, lepiej złapmy tak-

sówkę". Ulica była słabo oświetlona. Portowe magazyny, za budynkami, nadawały nocy posępny wygląd. „Tu nie złapiemy taksówki - ostrzegł ją Santiago. - Musimy dojść do alei, tu żadna nie przyjedzie”. „Nie mogę zrobić ani kroku, Santi”. „W takim razie ja pójdę, ale nie mam przy sobie ani grosza”. „Sama tu nie zostanę”. Santiago wpadł na pomysł. Zobaczył rower przypięty łańcuchem do latarni ulicznej. „Daj mi spinę do włosów”. Montse dała, nie rozumiejąc, o co chodzi. Santiago otworzył kłódkę i zdjął łańcuch. Montse uszczypnęła go, żeby zostawił rower. „Przecież mówiłaś, że bołą cię nogi?” „Oszalałeś?! Chcesz, żebyśmy wpakowali się w tarapaty?” „Coś ty. Skądże. Jutro postawię go w tym samym miejscu. Pomyśl, jaką minę będzie miał właściciel, kiedy znowu zobaczy swój rower”. Montse, zrezygnowana, usiadła na bagażniku. Przez chwilę próbowała sobie wyobrazić, jak wygląda, siedząc na rowerze, wystrojona w odświętną suknię oraz naszyjnik z pereł, i mogła tylko wybuchnąć śmiechem.

Kiedy doktor Montserrat Cambra o jedenastej rano weszła do mieszkania na Barcelonecie, była o wiele pewniejsza siebie niż poprzedniego dnia. W domu zastała tylko dwie Saharyjki.

- Ayach wyszedł rano, żeby zadzwonić z Delegatury - wyjaśniła Fatma, witając ją w progu.

- Nieważne. Prawdę mówiąc, wpadłam zobaczyć dziecko. Jak minęła noc?

Fatma uśmiechnęła się.

- Mały płakał, ale już trochę spał.

Montse weszła do pokoju kobiet. Dziecko kwiliło. Wyjęła

z torebki wszystkie medykamenty zakupione w aptece i położyła na stoliku.

- Trzeba wyparzyć butelkę i podać napar z anyżku. Musi pić dużo płynów. - Zdjęła dziecku pieluchę. - I nasmaruj mu pupę maścią. Wysypka zaraz zniknie.

Saharyjki zgadzały się na wszystko bez słowa sprzeciwu. Montse siedziała przy małym prawie godzinę, póki się nie uspokoił i w końcu zasnął. Kiedy oznajmiła, że musi już iść, zaprotestowały. Zaprowadziły ją do salonu i zaczęły parzyć herbatę. To ją postawiło na nogi. Nie pozwoliły jej wyjść, póki nie wróci Ayach Bachir.

- Ayach twierdzi, że spróbuje się jeszcze czegoś dowiedzieć o tym mężczyźnie ze zdjęcia. Bachir Baiba zna wszystkich.

- Kim jest Bachir Baiba?

- Ojcem Ayacha. Pracuje w ministerstwie, w Rabuni. Zna prawie wszystkich. Był żołnierzem hiszpańskim.

Saharyjczyk bardzo się ucieszył na jej widok. Rozmawiał z ludźmi z obozów dla uchodźców na terenie Algierii. Zanotował sobie wszystko na kartce.

- Ten mężczyzna nazywa się Santiago San Roman, chociaż teraz mówią na niego Yusuf. Mój ojciec jest pewien tego, co mówi. Nie myli się.

- To czemu twierdzili, że nie żyje?

- Tego nie wiem. Pewnie z powodu odległości czterech palców.

Montse nie zrozumiała, o co chodzi. Saharyjczyk uśmiechnął się.

- Tak się mówi w naszym kraju. Usta od ucha dzieli odległość zaledwie czterech palców, ale czasem ten dystans jest większy od całej Sahary.

Montse z nadzieją słuchała wyjaśnień mężczyzny. Obie Saharyjki starały się nie uronić ani jednego szczegółu opowieści.

- Otóż Santiago San Roman ożenił się z ciotką mojej żony. Mój tata ją znał. Miała na imię Andia. Ojciec twierdzi, że była bardzo piękna. Nie żyje od jakichś trzech, czterech lat.

- Santiago?

- Nie, jego żona. On jeszcze żyje. Mój ojciec widział go rok temu w Ausserd. Twierdzi, że Santiago bardzo podupadł na zdrowiu. Ten człowiek jest niezwykły. Według mojego ojca o mało co go nie rozstrzelali w Al-Ujun za to, że wynosił materiały wybuchowe zjednostki. Opowiedział mi historię, która brzmi jak sensacyjny film. Ojciec jest mu ogromnie wdzięczny za pomoc. Zachował się przyzwoicie wobec Saharyjczyków.

Montse milczała. Trudno jej było uwierzyć, że Santiago mógł mieć tyle samo lat co ona, a na dodatek też się zestarzeć. Minęło zbyt wiele lat, odkąd zniknął z jej pamięci. Pomyślała o Andii, której znała tylko imię. Opanowało ją niezrozumiałe uczucie zazdrości, typowe dla nastolatek. Niemal ją to rozbawiło. Fatma nie spuszczała z niej oczu.

- Ten mężczyzna był twoim narzeczonym?

- Raczej ten chłopak. Dla mnie w dalszym ciągu jest chłopcem. Tak, był moim narzeczonym. A nawet kimś więcej niż zwykłym narzeczonym.

- To się pamięta przez całe życie - stwierdziła z przekonaniem Fatma.

- Ależ nie. Już od wielu lat o nim nie myślę. To dziwne: mogłam mieć z nim dziecko, a jednak czasem nie przypominam sobie nawet jego twarzy. Oboje popełniliśmy mnóstwo głupstw, ale żadne z nich nie było aż tak wielkie jak to, jakie popełniłam potem sama, na własny rachunek. Zastanawiam



się, co on by zrobił, gdyby można było cofnąć czas i wszystko zacząć od nowa.

Montserrat Cambra podniosła szklankę herbaty do ust. Fatma patrzyła na nią w milczeniu, nie mając odwagi zakłócić jej myśli. Montse wpatrzyła się w czarne oczy Saharyjki. Była piękna. Czy Andia dorównywała jej urodą? I znowu zazdrość w niezrozumiały sposób sprawiła, że poczuła się lepiej i uśmiechnęła się.

Jeszcze przed świtem słycać warkot samochodów jeżdżących między namiotami obozu. Cudzoziemka wie, że to nadzwyczajny dzień: muzułmańskie Święto Ofiarowania. Na końcu chajmy na drewnianej komodzie, jakby cudem ocalonej z jakiegoś kataklizmu, leżą starannie ułożone ubranka dzieci z rodziny Layli. Tyle jest dzieciarni w tej rodzinie, że nie mogła zapamiętać wszystkich imion. Nie potrafi też odróżnić siostr i braci pielęgniarki. Łączy ich pewne podobieństwo. Kobiety ledwie mówią po hiszpańsku, chociaż rozumieją ten język.

Poprzedniego wieczoru w chajmie aż do późnej nocy było pełno ludzi - w większości żołnierzy, którzy przyjechali na siedmiodniową przepustkę z okazji świąt. Niektórzy od dziesięciu miesięcy nie widzieli swoich żon i dzieci. Montse musiała długo przekonywać Laylę, aby pozwoliła jej położyć się trochę później. Bawi ją i rozczula nadopiekuńczość pielęgniarki.

Kiedy się budzi, Layla jest już na zewnątrz, zarządza domem i dyryguje siostrzeńcami. Chociaż Montse spała bardzo krótko, czuje się wypoczęta. Światło słoneczne przeni-

kające przez zasłonki pada na jej stopy. Przeciąga się leniwie tak, jak nie robiła tego od lat.

Kiedy zbliża się do niewielkiego wybiegu dla bydła, Layla gani ją, że tak wcześnie wstała.

- To zbyt piękny dzień, aby się wylegiwać - usprawiedliwia się Montse. - Zresztą chcę z tobą uczestniczyć w uroczystości.

- Ale ja nie idę. Pojedziesz z Ibrahimem i moją siostrą. Muszę jeszcze przygotować potrawy i pomóc w obrzezaniu.

Montse kiwa potakująco głową i próbuje pogodzić dzieci, które kłócą się, kto ma ją trzymać za rękę.

Ibrahim ma zęby pożółkłe od mocnej herbaty i oczy przekrwione od wiatru Sahary. Bardzo słabo mówi po hiszpańsku, ale nie przestaje gadać przez całą drogę. Prowadzi z obiema dłońmi zaciśniętymi u góry kierownicy; z ust, jak u większości Saharyjczyków, zwisa mu fajka. Bezustannie się uśmiecha. Montse ledwie rozumie, co do niej mówi, ale bawi ją gadanina młodego człowieka. Nie wie nawet, czy to brat, czy szwagier Layli. Siostra siedzi wciśnięta między nimi, nie odzywając się ani słowem. Montse pyta Ibrahima, czy to jego żona; Saharyjczyk uśmiecha się zmieszany, jakby nie zrozumiał pytania. Na pace furgonetki jedzie około tuzina dzieci z domu i z sąsiedztwa. Po mistrzowsku zachowują równowagę i cały czas pozdrawiają pasażerów innych wozów mijanych po drodze. Po dziesięciu minutach docierają na miejsce uroczystości. Jakiś kilometr wcześniej pustynia zmienia się w srebrną plamę samochodów i ciężarówek. Tysiące osób gromadzi się w ogromnym kole. Niebieski i czarny kolor turbanów kontrastuje z pustynią w kolorze ochry.

Montse ma na sobie strój Layli. Nawet pożyczyła od niej błękitny milhaf, który pomoże jej wtopić się w tłum. Męż-

czyżni kłębią się, modlą, dyskutują ściszym głosem. Kobiety zbierają się z drugiej strony, w idealnej ciszy. Ibrahim i siostra Layli rozdzielają się. Montse staje wśród kobiet. Naśladuje je we wszystkim. Siada na ziemi i, zasłaniając sobie oczy dłonią, przygląda się uważnie, aby nie stracić ani jednego szczegółu ceremonii. Ktoś ukryty w tłumie recytuje wersety Koranu przez megafon, który wyrzuca kolejne sury gdzieś w górę w stronę intensywnego błękitu nieba hamady. Montse stara się nie wyróżniać wśród kobiet, chociaż Saharyjki przyglądają się jej z ciekawością. Ale nikt jej o nic nie pyta. Chociaż uroczystość już się zaczęła, ciągle jeszcze zjeżdżają się samochody.

Po półgodzinie megafon milknie i ludzie zaczynają rozmawiać na głos. Montse czeka, aby robić dokładnie to samo, co siostra Layli. Kiedy w końcu wstaje, w tłumie dostrzega kobietę i zamiera na jej widok. Trwa to zaledwie parę sekund, ponieważ kobieta natychmiast odwraca się plecami i znika w ciżbie ludzkiej. Montse jest pewna, że to Aza. To tylko ulotna myśl, która przemyka jej przez głowę i sprawia, że serce zaczyna łomotać. Chce ją zawołać, ale w ostatniej chwili tłum krzyk. Nie chce wystawiać się na widok publiczny ani zachowywać jak histeryczka.

- Zaraz wracam - mówi do siostry Layli, pomagając sobie gestami, i szybko odchodzi.

Nie widzi już kobiety, ale pamięta kolor jej milhafu i miejsce, w którym ostatnio ją widziała. Mężczyźni, zebrani w kołach lub trzymający się za ręce, przeszkadzają jej w szybkim marszu. Montse trzyma się linii prostej. Słońce ją oślepia. Tłum robi jej przejście i wchłania jak fale morskie statek. Zatrzymuje się. Zawraca i idzie po swoich śladach. Kręci się.

Wszystkie kobiety wydają jej się podobne do Azy. Boi się, że pamięć piata jej figle. Szuka wolnego miejsca, aby odetchnąć spokojnie. Bezwiednie wchodzi między zaparkowane samochody. Stara się uspokoić. Jest pewna, że tamta kobieta była podobna do Azy. Tyle czasu widywała jej twarz w majakach sennych! W pewnym momencie, nie wiedzieć czemu, przypomina sobie, że to wtorek, a ona znajduje się w samym sercu Sahary. To sprawia, że czuje się świetnie. Postanawia zapomnieć o Azie, kiedy nagle widzi ciężarówkę zaparkowaną wśród samochodów terenowych. Znowu serce łomocze jej ze strachu. Instyktownie przyczają się wśród aut. Piekło Tindufu znów powraca w jej pamięci. Ciężarówka przypomina jej tę należącą do legionisty hiszpańskiego, do Monsieur, jak mówiły o nim Algierki. Tak bardzo się boi, że wstrzymuje oddech, aby tylko nie zakłócić ciszy. Wśród aut pojawiają się grupki ludzi i to ją uspokaja. Boi się, że Monsieur jest gdzieś blisko.

Kiedy Montse, Aza i dwie Algierki zeskoczyły z ciężarówki, rozgrzane kamienie buchały żarem. Wszystkie wyobrażenia, jakie Montse miała na temat pustyni, w niczym nie przypominały tego, co rozciągało się przed jej oczyma. Było to raczej zbiorowisko ogromnych kamieni i skał, a nie tylko sam piasek. Po raz pierwszy dostrzegła roślinność: kilka palm, akacje i gdzieś tam krzewy. Można by to nazwać oazą, gdyby nie przypominało śmietnika. Pośrodku znajdowała się bardzo głęboka studnia. Ludzie legionisty zalegali w nielicznych ocienionych miejscach. Trzy godziny spędzone na pace ciężarówki wyczerpały niewielki zapas sił Montse. Chciała ich błagać, aby

zawieźli ją do Tindufu, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Aza złapała ją za rękę, nakazując milczenie. Zaciągnięto je do niewielkiego baraku z pustaków i gołych cegieł, przykrytego dachem z eternitu, który niemiłosiernie nagrzewał się od słońca. Mężczyźni otworzyli drzwi i wepchnęli je do środka. Było tam, co prawda, więcej miejsca niż w poprzednim więzieniu, ale wewnątrz przetrzymywano już siedemnaście innych kobiet, które spotkał ten sam los. Smród dochodzący z baraku wywoływał mdłości. W środku Montse dostrzegła tylko jedno okienko zaślepienie maską samochodu, przytwierdzoną drutem kolczastym. Na twarzach przerażonych kobiet zamkniętych w środku pojawił się wyraz zdumienia na widok Europejki, którą traktowano równie brutalnie jak resztę. Żadna z nich nie odezwała się ani słowem. Zrobiły miejsce, żeby nowo przybyłe mogły przycupnąć na ziemi. Aza przykucnęła, zakrywając twarz dłońmi, żeby ukryć rozpacz.

Trzymano je ponad tydzień i wypuszczano tylko po to, aby mogły załatwić swoje potrzeby. Na drugi dzień Montse nie czuła już panującego w baraku smrodu. Rano i wieczorem podawano im daktyle. Zjadała je ze wstrętem. Wydzielały jakiś białawy płyn i bała się zatrucia jadem kiełbasianym. Aza zachęcała ją do jedzenia. Glinianą misę ze śmierdzącą wodą napełniano, nie wylewając pozostałych na dnie mętów i osadów. Na zewnątrz mężczyźni gadali i kłócili się całymi godzinami. Od czasu do czasu słychać było odgłosy strzałów, jakby któryś z nich stracił rozum. Rano legionista wyjeżdżał z grupą swoich ludzi ciężarówką i zostawiał kilku najemników do pilnowania kobiet. Były to Algierki i mówiły wyłącznie po arabsku oraz bardzo prostym francuskim. Wobec Montse zachowywały się z szacunkiem, który ona myliła z nieufnością. Po paru lodo-

watych nocach jedna z nich pożyczyła Hiszpance swój burnus, bo nocą temperatury drastycznie spadały.

Aza próbowała dowiedzieć się czegoś o najemnikach, ale kobiety nie były w tym wypadku zgodne. Każda z nich przedstawiała inną, własną wersję wydarzeń. Montse wypytywała, ale nie otrzymała żadnej konkretnej odpowiedzi. „Na tego człowieka mówią Monsieur. To jedyna pewna rzecz - wyjaśniła jej Aza. - Niektóre z nich twierdzą, że kupuje i sprzedaje więźniów w Mauretanii i Maroku. Inne mówią, że porywa kobiety i zmusza do prostytucji”. „Tak czy owak musimy stąd uciec, Aza. Lepiej zginąć niż tutaj gnić”. Aza nic nie odpowiedziała. Wydawało się, że myślami jest zupełnie gdzie indziej. Nocami, kiedy najemnicy spali, Montse bez przerwy rozmawiała z Azą. Przynosiło jej ulgę opowiadanie o wszystkim, co jej wpadło do głowy. Aza słuchała tak, jakby czytała jakąś książkę. Hiszpanka stopniowo zwierzała jej się ze wszystkich tajemnic, których nigdy nie zdradziła nawet najbliższym przyjaciółkom. Kiedy Aza dowiedziała się, z jakiego powodu cudzoziemka trafiła aż do Algierii, spojrzała na nią tak, jakby była bohaterką jakiegoś melodramatu. Bardzo chciała poznać wszystkie szczegóły. Jednak przez dyskrecję o nic nie pytała. Montse opowiadała jej o mężu, młodości, pracy i oczywiście Santiagu San Romanie. Czasami milkła w obawie, że staje się nudna, ale Aza cały czas okazywała żywe zainteresowanie.

Dzień stawał się coraz dłuższy i miały czas, aby myśleć o wszystkim. Stopniowo Montse uczyła się rozpoznawać każdy dźwięk, jaki można było usłyszeć w oazie. Wiedziała, kiedy mężczyźni wyciągali wodę ze studni, kiedy grzebali w silnikach samochodów, a potem odchodzili postrzelać do skał, kiedy spali albo obchodzili barak. Dziesiątego dnia uświadomiła

sobie, że w oazie panuje idealna cisza. Chociaż przez kraty w dolnej części drzwi widziała samochód, to jednak nie słyszała żadnego z mężczyzn. W południe była pewna, że zostawili je same. Powiedziała do Azy: „Spróbuję uciec. Spójrz na deski w drzwiach. Można je roztrzaskać jednym kopnięciem”. Aza zrobiła zrozpaczoną minę. Potem charakterystycznym gestem zasłoniła dłońmi twarz. „Nie możesz. Nawet gdybyś uciekała trzy dni, znajdą cię w ciągu godziny”. „Wezmę samochód. Jeśli wymkniemy się wszystkie, będziemy miały większe szanse, aby uciec”. „Nie, tak nie można”. „Powiedz to im”. Aza przekazała to Algierkom. Natychmiast zrobiły przerażone miny. Wszystkie mówiły jednocześnie, starając się przekonać Montse, że jest szalona, jeśli sądzi, że stąd można uciec. „A ty nie uciekasz ze mną?” Aza odpowiedziała bez wahania: „Nie, ja nie idę. A jeśli ty jesteś przy zdrowych zmysłach, nie powinnaś nawet tego próbować”. „Jeśli zostanę tu dłużej, wtedy naprawdę stracę rozum. Nie powinnam była wyjeżdżać z domu. Jestem przeklęta”. „Miałas pecha” - powiedziała Aza z zaskakującym spokojem.

Teraz w głowie Montse kotłują się obrazy. Ta ciężarówka zaparkowana wśród innych samochodów obudziła w niej gorzkie wspomnienia. Kiedy ludzie zaczynają wsiadać do terenówek i furgonetek, zdaje sobie sprawę, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Ciężarówka tkwi wśród innych wozów jak statek na mieliźnie. Nagle ktoś dotyka jej pleców; Montse podskakuje przerażona. O mało nie krzyknęła, ale opanowuje się. Ibrahimowi uśmiech gaśnie na ustach. Teraz wygląda na tak samo przestraszonego jak ona. Siostra Layli idzie tuż za



Saharyjczykiem. Ona także nie może zrozumieć, co się dzieje. W przyplwywie nagłej ulgi Montse przytula się do niej. Próbuje coś wytłumaczyć. Niestety, oni nic nie rozumieją. Ponownie spogląda wyzywająco na ciężarówkę i wcale nie jest pewna, czy wóz naprawdę należy do Monsieur.

Dla muzułmanów Święto Ofiarowania jest także dniem przebaczenia. Podczas święta Saharyjczycy odwiedzają krewnych, zwłaszcza starszych. To chwila, kiedy proszą o wybaczenie za uchybienia, jakich dopuścili się wobec innych. Montse z uwagą słucha wyjaśnień Layli dotyczących tego zwyczaju. Gdy pielęgniarka przygotowuje świąteczną ucztę w asyście kobiet z rodziny, a mężczyźni zbierają resztki ofiarnego zwierzęcia, Montse korzysta z okazji i idzie na przechadzkę z siostrzenicami i bratanicami Saharyjki. Ibrahim pilnuje ich z daleka, tak jakby to należało do jego obowiązków. Tego dnia dziewczynki noszą odświętne stroje. Niektóre z nich po raz pierwszy od wielu miesięcy włożyły buty. Teraz kroczą z trudnością, obute w skórzane trzewiki albo lakierki. Chłopcy patrzą na nie z zazdrością, bo Hiszpanka daje się im prowadzić za rękę. Dochodzą do zagród z wielbładami i przyglądają się stadku. Siadają na małym pagórku, na ułożonych w krąg kamieniach. Parę metrów dalej jednooki chłopiec obserwuje całą scenę. Stoi wrośnięty w ziemię jak drzewo. Montse woła go do siebie, ale chłopiec nie reaguje. Nie wie nawet, czy mały należy do rodziny Layli.

Po tradycyjnym kuskusie i deserze Montse czuje się najedzona. Nie przypomina sobie podobnej uczyty. Nie umie odmówić i próbuje wszystkiego, czym ją częstują. Czasami uśmiecha się z pełnymi ustami, bo już nie może więcej zjeść. Wszyscy o nią dbają, zwłaszcza Ibrahim. Dolewa jej wody lub

napojów orzeźwiających, podsuwa półmiski, podaje chleb, serwetki, kolejne porcje mięsa. Layla uśmiecha się bez przerwy. Montse pyta ją po cichutku:

- Powiedz, Layla: Ibrahim jest twoim bratem czy szwagrem?

Pielęgniarka otwiera szeroko oczy i wstrzymuje oddech. Chyba to pytanie ją krępuje. Wbija wzrok w jedzenie, próbując ukryć malujący się na jej twarzy rumieniec wstydu. Montse nic z tego nie rozumie. Powtarza pytanie, sądząc, że Saharyjka jej nie usłyszała.

- Nie, nic podobnego.

- To znaczy?

- Jest moim narzeczonym. Pod koniec lata bierzemy ślub.

Montse czuje, że coś ją dławi w gardle. Ma ochotę się roześmiać, ale na widok poważnej miny Layli powstrzymuje się.

Po uczcie mężczyźni wychodzą na środek i siadają na chodniczkach wokół kuchenki na butan. Montse wydaje się, że kobiety z rodziny krzątają się nerwowo. Wszystko robią w pośpiechu i szepczą sobie na ucho. Chyba są rozdrażnione tym, że mężczyźni tak się ociągają z wyjściem z chajmy. Po chwili rozumie już, o co chodzi. Ciotka Layli otwiera komodę i wyciąga mały telewizor. Ustawia go w głębi i wtyka kabel od anteny. Potem podłącza telewizor do akumulatora ciężarówki. Kiedy ten sekret się wydaje, Montse nie potrafi ukryć uśmiechu. Nadchodzą sąsiadki, które nie mają telewizora. Ponad dwadzieścia kobiet zasiada przed ekranem.

- To meksykańska telenowela - wyjaśnia Layla - nadawana przez telewizję algierską. Jeśli chcesz, możemy wyjść.

Montse nie chce jednak stracić widowiska.

- Czekaj. Chcę trochę pooglądać.

Telenowela meksykańska z arabskim dubbingiem to spektakl, który zadziwia Montse. Kobiety zachowują uroczystą ciszę. Kiedy na ekranie pojawia się główny bohater, witają go okrzykami i komplementami, mówią o nim po imieniu. Montse nie może uwierzyć w to, co widzi. Za każdym razem, kiedy chce coś powiedzieć Layli, kobiety piorunują ją wzrokiem. W końcu obie wychodzą z namiotu. Dziewczynki od razu chwytają Hiszpankę za ręce i kłócą się między sobą. Montse już zna imiona niektórych z nich. Miło jest przechadzać się powolutku między chajmami, rozkoszując się podmuchami ciepłego wiatru. We wszystkich namiotach panuje bardziej ożywiona krzątanina niż zwykle. Ciągłe wchodzą i wychodzą krewni przybyli w gości. Świeżo wyprane derrahy mężczyzn wyglądają na wykrochmalone. Kobiety włożyły swoje najlepsze milhafy. Layla i Montse oddalają się spacerkiem od chajm.

- To niewiarygodne, że wśród tragedii waszego wygnania może istnieć tak niewyobrażalne piękno - mówi Montse. Layla uśmiecha się. Wie, że pustynia potrafi oczarować obcych. - Mam wrażenie, jakbym tu żyła od wielu lat.

- Tak samo uważa moja rodzina. Ja miałam szczęście, bo wiele lat przeżyłam daleko stąd. Ale niektórzy z nich spędzili tu dwadzieścia sześć lat, uwięzieni w miejscu bez murów i drzwi.

Zatrzymują się. Montse pozostaje trochę w tyle.

- O co chodzi?

- Powiedz, Layla, znasz tego chłopca?

Pielęgniarka spogląda tam, gdzie pokazuje jej przyjaciółka. W pewnej odległości, niemal równoległe do nich, idzie jedno-oki chłopak. Ma ogoloną głowę, pełną ran i zadrapań. Layla obserwuje go, osłaniając oczy dłonią przed słońcem.

- Nie, nie znam go. Pewnie stracił oko podczas jakiejś bójki na kamienie. Tutaj się to często zdarza.

- Nie o to chodzi. Dziś rano widziałam go przy zagrodach dla wielbłądów. Wszędzie za mną łązi, ale się nie zbliża.

Layla uśmiecha się.

- Nie wiem, czemu się dziwisz, jesteś piękną kobietą. Bardzo się podobasz Ibrahimowi.

Montse czuje się skonsternowana. Nie potrafi zrozumieć zachowania Saharyjczyków wobec kobiet. Nie chce zadawać pytań. To wszystko jest dla niej bardzo dziwne.

- Dziś wieczór idziemy na przyjęcie - mówi jej Layla. - Koleżanka ze szpitala zaprosiła nas wszystkie.

- Mnie też?

- Oczywiście. Nalegała, żebym cię przyprowadziła.

Wieczór się przeciąga. Ibrahim zabiera całą rodzinę Layli swoim samochodem na wydmy. Zmierzch zapadający na pustyni to niezapomniane zjawisko. Z wierzchołka najwyższej wydmy widać słońce chowające się tuż nad pustynią. Po drugiej stronie chyba już zapadła noc. Montse turla się po piaszczystym zboczu jak małe dziecko. Dzieciarnia ją naśladuje. Mężczyźni zaś parzą herbatę i przygotowują kanapki.

Gdy wraca do chajmy, czuje się zmęczona, a jednocześnie jest w euforycznym nastroju. Chciałaby się położyć i posłuchać odgłosów brezentu namiotu, łopocącego na wietrze, a jednocześnie nie chce stracić ani chwili z tego, co przeżywa. W niewielkim pomieszczeniu wzniesionym z cegieł Montse i Layla myją się, doprowadzają do porządku i przebierają. Skrapiają się perfumami i wkładają ciemniejsze milhafy. Kiedy zapada noc, żegnają się z rodziną i zagłębiają w uliczki obozu.

Dom koleżanki Layli położony jest w innej dzielnicy te samej da'iry. Montse zastanawia się, jak można odróżnić dzielnice, ulice, chajmy. Dla niej wszystkie wyglądają podobnie. Kroczy niezdarnie w ciemnościach, kierując się wskazówkami Layli. Saharyjka włożyła czarne botki i wzięła torebkę na pasku. Idzie z taką gracją, jakby poruszała się na wybiegu dla modelek.

Kiedy są już niemal u celu, Montse podskakuje ze strachu. Layla nie miała czasu jej uprzedzić. Tuż obok domostw jakiś człowiek w kucki załatwia swoje potrzeby. Na widok dwóch kobiet zrywa się do ucieczki, z genitaliami na wierzchu i derahą podtrzymywaną w pasie.

- Nie bój się. To staruszek. Biedaczysko ma źle w głowie. Załatwia się wszędzie, jakby był małym dzieckiem.

Montse stąpa ostrożnie, żeby nie wdepnąć w odchody.

Dom pielęgniarki to nie chajma, tylko budynek wzniesiony z cegieł. Na widok kobiet pojawiających się w drzwiach koleżanka Layli podrywa się szybko, żeby je przywitać. Montse natychmiast kojarzy jej twarz ze szpitala, chociaż nie pamięta imienia.

- Pamiętasz Fastranę?

- Jasne. Teraz naprawdę sobie przypominam.

Większość kobiet to pielęgniarki. Jest tylko kilku mężczyzn. Montse przebiega wzrokiem po twarzach zgromadzonych gości i od razu dostrzega Ibrahima siedzącego w kącie i uśmiechającego się do nich. To ją bawi i peszy zarazem.

- Nic mi nie mówiłaś, że twój narzeczony też tu będzie - mówi z lekkim przekąsem Montse.

- Z mężczyznami nigdy nic nie wiadomo - usprawiedliwia się zakłopotana nieco Layla.

Z radiomagnetofonu słyhać piosenkę Boba Marleya. Montse zasiada wśród pielęgniarek. Ma wrażenie, że większość ich zna. Kobiety mówią po hiszpańsku z kubańskim akcentem, mężczyźni zaś w hassanii. Nagle do pokoju wpada z wrzaskiem mężczyzna. Ten sam, który ją tak bardzo wystraszył w ciemnościach. Staje przed Montse i mówi do niej tak, jakby wszystko potrafiła zrozumieć:

- *Musso mussano? Musso mussano?*

Montse uspokaja się, kiedy widzi, że Fastrana się uśmiecha.

- Nie bój się. Biedny stary jest pomyłony.

- Co on krzyczy?

- Pyta, czy wszystko w porządku - wyjaśnia Layla.

- Powiedz mu, że tak, że wszystko w porządku - prosi Montse. - I spytaj, jak ma na imię.

- Mówimy na niego Demon - wyjaśnia Fastrana. - Tak go nazwały dzieci. Nie ma się gdzie podziać. Moja matka zabiera go na noc i pozwala spać w kuchni, kiedy wszyscy wyjdą.

Demon bierze banany, którymi częstuje go Fastrana. Potem pielęgniarka pokazuje, żeby wyszedł z pokoju. Odchodzi w podskokach, jak nadworny błazen.

Co chwila ktoś wchodzi do domu lub z niego wychodzi. Montse nie potrafi zapamiętać, kim są wszyscy goście. Pozwala pokryć sobie dłonie henną. Ta kunsztowna praca trwa godzinami.

Kiedy w końcu żegnają się, jest już bardzo późno. Ibrahim zostaje jeszcze, siorbiąc herbatę i rozmawiając z pielęgniarkami. Rozgwieżdżone niebo oświetla cały obóz. Noc jest zimna.

- Od dawna znasz Ibrahima?

- Od pięciu miesięcy. Kocha mnie, ale uwielbia wzbudzać

we mnie zazdrość. Sądzi, że w ten sposób będę go bardziej kochać.

- A ty go kochasz? - pyta Montse i natychmiast załuje swoich słów.

Layla uśmiecha się. Białe zęby jaśnieją na tle jej smagłej cery. Jest naprawdę piękną kobietą.

- Patrz - mówi Montse, zatrzymując się. - Czy to nie ten chłopiec bez oka?

- Tak, to on. Chyba mu się podobasz.

- Dlaczego jeszcze nie śpi o tej porze? Nie musi rano iść do szkoły?

- Dzieci mają dziesięć dni ferii.

- Zawołaj go. Spytaj, jak się nazywa.

Layla macha do niego rękami, starając się nie krzyżeć.

- ***Ismak? Ismak?***

Chłopiec patrzy na nie z daleka, ale nie chce powiedzieć ani imienia, ani nazwiska.

- ***Kifak?***

Kiedy Layla próbuje do niego podejść, zrywa się do ucieczki i znika gdzieś między chajmami. Montse jest bardzo zmęczona. Czuje, że po tylu wypitych herbatach szybciej bije jej serce.

- Ten chłopak nie jest z naszej da'iry. W przeciwnym razie już bym go gdzieś spotkała - mówi z pewnością w głosie Layla.

**Kapral** San Roman spędził bezsenną noc, wpatrując się w cienie snujące się po suficie i blask światła dochodzących z lotniska. W ciągu ostatniego tygodnia przesypiał każdej nocy zaledwie parę godzin. Atmosfera panująca w baraku, który służył za prowizoryczny karcer, dusiła go i nie pozwalała dostrzec w sposób normalny otaczającej go rzeczywistości. Jedną ścianę od drugiej dzieliło zaledwie sześć kroków. Z kibla dochodził budzący mdłości smród. Kiedy w końcu już go dopadało zmęczenie, w głowie dudniło mu odbite echem w ciszy nocy monotonne kapanie wody z kranu; wtedy rozbudzał się i nie mógł zasnąć. Już od ponad tygodnia słyszał tę kroplę spadającą na cement, niekończącą się, powtarzającą kroplę, która rozstrajała mu nerwy i doprowadzała do rozpacz.

Po niespodziewanej wizycie Guillerma poczuł się jeszcze bardziej niespokojny. Wiedział, że już nigdy więcej nie zobaczy kolegi. Teraz żałował tego, jak go potraktował podczas ostatniego spotkania. Z całą pewnością Guillermo nie zasługiwał na takie zniewagi. Ale teraz na wszystko już było za późno.



Próbował wybić sobie z głowy wspomnienie Andii. Oblicze Saharyjki pojawiające się przed oczyma było jeszcze gorszą torturą niż odgłos wody kapiącej z kranu. Czuł się zdradzony i to uczucie było mu w jakiś gorzki sposób znajome. Nawet z zamkniętymi oczyma ciągle widział twarz dziewczyny, jej uśmiech; słyszał jej dziecinnie głoś, śmiech nastolatki. Pozbywał się tej wizji z głowy tylko wtedy, kiedy przypominał sobie Montse. Jej twarz go uspokajała. Próbował napisać do niej list, ale nie potrafił skleić dwóch zdań. Słowa nie wypływały z jego umysłu. Nigdy nie sądził, że tak trudno jest wyrazić uczucia. Potem próbował sobie wyobrazić Montse z noworodkiem, jego dzieckiem, i znowu ogarniała go rozpacz. Okruchy wspomnień, które już potrafił kontrolować, powracały uparcie i zapadały w pamięć jak płomień, którego nie umiał ugasić.

Nagle przypomniał sobie matkę. Bardzo rzadko o niej myślał. Teraz prześladowała go myśl, że Montse dowiedziała się o jej śmierci. Było to mało prawdopodobne. Ale chciał wierzyć, że dziewczyna, skruszona wyrzutami sumienia, zaniosiła dziecko do kiosku, by pokazać babce. Jeśli tak było, bez wątpienia już wie, że jego matka nie żyje. Przez chwilę wyobrażał sobie mamę w czarnej sukni, leżącą na łóżku, z rękoma skrzyżowanymi na piersi i z woskowo bladą twarzą. Poczul się winny, że był tak daleko, że nie uczestniczył w pogrzebie i przede wszystkim - że wierzył, iż matka pomimo choroby nigdy nie umrze.

To właśnie Guillermo przyniósł mu wiadomość o jej śmierci. Zdarzyło się to pod koniec maja. Poszukiwał Santiaga cały ranek, aż w końcu wpadł na niego w koszarach wojsk no-

madzkich. Powiadomił go o śmierci matki bez ogródek, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. Santiago wpatrywał się w niego, nie rozumiejąc sensu słów. Przeszłość, łącznie z matką, spoczywała gdzieś głęboko uśpiona w jego pamięci. Dzwonił do niej może ze dwa razy, odkąd przyleciał do Al-Ujun. Teraz już było za późno na wyrzuty sumienia.

Dramatyczna sytuacja, jaka panowała w kolonii na Saharze, sprawiała, że nowiny dochodzące z Hiszpanii wydawały się nierealne. Kiedy komendant Panta wezwał kaprała San Romana do siebie, ten już wiedział, co szef chce mu przekazać: wiadomość o śmierci matki. Wysłuchał ją w powadze, nie mrugnawszy nawet okiem. Dowódca sądził, że chłopak nie reaguje z powodu tragicznego ciosu, jakim była dla niego ta wieść, ale, prawdę mówiąc, myśli Santiaga szybkowały zupełnie gdzie indziej. „Obecnie sytuacja na Saharze jest bardzo trudna, kapralu. Wiecie o tym równie dobrze jak ja - wyjaśniał mu dowódca, próbując ulżyć żołnierzowi w żałobie. - Ale wojsko rozumie, że ból po stracie matki przewyższa wszelkie potencjalne problemy". Santiago przytaknął, nawet się nie poruszywszy. Dowódca wyciągnął jakiś dokument i podał go San Romanowi. „Z tego powodu, chociaż wszelkie przepustki zostały wstrzymane, zrobimy dla was wyjątek. Macie piętnaście dni na wyjazd do Barcelony i pobyt z ojcem, rodzeństwem i całą rodziną. Strata matki to niepowetowany cios, a jednak żal przeżywany wspólnie jest łatwiejszy do zniesienia". Santiagowi nawet przez moment nie przyszło do głowy, aby wyznać komendantowi, że nie ma ani ojca, ani rodzeństwa, ani też żadnej rodziny. Wyprężył się i zasalutował, dziękując. „Jutro wylatuje samolot na Wyspy Kanaryjskie - mówił dalej komendant, wyjaśniając treść dokumentów, które przed

chwila przekazał kapralowi. - Tam złapiecie połączenie n Półwysep. Macie piętnaście dni, aby je spędzić z rodziną. Piętnastego czerwca musicie się stawić z powrotem w jednostce Możecie odejść". „Tak jest, panie komendancie”.

Otumaniony i skonsternowany Santiago San Roman wyszedł na oślepiające promienie słońca. Nie znał żadnego żołnierza, który nie oddałby wszystkiego za taką przepustkę. A jednak pomysł, aby wsiąść do samolotu i wrócić do Barcelony pół roku po wyjeździe wydał mu się beznadziejny. Dwudziestego czwartego maja gubernator prowincji, generał Gómez Salazar, rozpoczął operację „Jaskółka”, która miała na celu ewakuację ludności hiszpańskiej z Sahary. Zajęcia w większości szkół oraz na uczelni zostały zawieszane na miesiąc przed końcem roku szkolnego. Chociaż wiele osób ze łzami w oczach opuszczało miasta, które uważało za swoje, to jednak dużo było takich, którzy, wyjeżdżając, nawet się nie obejrżeli, świadomi tego, co nieuchronnie nadchodzi.

Saharyjczycy, domagający się niepodległości swojego kraju, manifestowali coraz częściej. Przy byle okazji wywieszali flagi i wysuwali hasła popierające Front Polisario. Patrole policji terytorialnej i legioniści otaczali zasiekami najbardziej zbuntowane dzielnice tuż po wybuchu pierwszych zamieszek. Wieści napływające z innych miast także nie były zbyt pokrzepiające dla Hiszpanów. W więzieniu cywilnym w Al-Ujun brakowało już miejsca dla aresztowanych.

Następnego dnia Santiago spakował torbę i ruszył w stronę parku samochodowego, ponieważ słyszał, że jakiś wóz jedzie na lotnisko. Szedł pogrążony we własnych myślach, jeszcze raz zastanawiając się nad tym, co zaplanował. Dlatego nie zauważył Guillerma próbującego go dogonić, póki przyjaciel nie

znalazł się tuż obok niego. „Wyjeżdżasz bez pożegnania?” Santiago spojrzął jak na obcego. „Myślałem, że jesteś na patrolu - skłamał. - Pytałem o ciebie i powiedziano mi, że...” Guillermo objął go i mocno uściskał, nie dając mu skończyć zdania. „Daj spokój, puszczaj, jeszcze pomyślą, że jesteśmy pedałami”. Guillermo uśmiechnął się do niego. Po wiadomości o śmierci matki zachowanie przyjaciela wcale go nie dziwiło. Życzył mu szczęścia i patrzył, jak Santiago odchodzi. Kapral San Roman poklepał się po kieszeni, w której trzymał pieniądze i przepustkę. Myśl, aby wyjechać z Sahary, wydawała mu się teraz żałosna, miał zupełnie inne plany. Powoli zmieniał kierunek i, zamiast pójść w stronę garażu, ruszył do wyjścia. W bramie pokazał przepustkę i pewnym krokiem wyszedł z jednostki. Godzinę później wchodził do sklepiku Sidi Ahmada, przebrany w strój saharyjski, starając się ukryć tłumoczek z mundurem legionisty.

Santiago spędził u Andii piętnaście dni, tyle, na ile zezwalała przepustka. Dziewczyna nie potrafiła ukryć swego szczęścia. Legionista przez dwa tygodnie nie opuszczał dzielnicy arabskiej. Czasami przechadzał się ulicami Hata-Rambli albo spędzał wieczory z Sidi Ahmadem w jego sklepie, paląc papierosy i pijąc herbatę. Nikogo nie dziwiła jego obecność; sąsiedzi traktowali go jak jeszcze jednego krewnego Lazaara. Kiedy jednak mężczyźni zbierali się w domu, Santiago czuł się wyobcowany. Nie potrafił w pełni cieszyć się panującą między nimi atmosferą zażyłości. Zazwyczaj milczał, częstując ich herbatą i przysłuchując się dyskusjom. Prawie nic nie rozumiał. Mówili w hassanii, a kiedy zwracali się do niego po hiszpańsku, rozmawiali z nim zwykle o nieistotnych sprawach i raczej grzecznościowo. Santiago był pewny, że między sobą roz-

prawiali o polityce. Nie miał wątpliwości, że zaliczali się do sympatyków Polisario. Pomimo to, co dla nich zrobił, czuł, że jeszcze nie całkiem zasłużył na ich zaufanie. Kiedy był sam z Sidi Ahmadem, Saharyjczyk opowiadał mu o różnych sprawach, ale San Roman miał wrażenie, że nie mówi mu wszystkiego.

Dwa dni przed końcem przepustki Santiago zwierzył się Andii, że nie zamierza wrócić do jednostki. Dziewczyna spojrziała na niego uszczęśliwiona i pobiegła oznajmić to matce. Ta zaś powtórzyła to ciotkom, a po niespełna godzinie pojawił się w domu Lazaara zdenerwowany Sidi Ahmad. Chyba po raz pierwszy zaniechał zwyczajowej kurtuazji, z jaką zawsze traktował legionistę. „Co to znowu za historia z tą dezercją?” „Wcale nie chcę zdezerterować, tylko nie mam zamiaru wrócić”. „Przecież to jest właśnie dezercja, przyjacielu”. „I co z tego?” „Wiesz, co z tobą będzie, jak cię znajdą?” „Nie znajdą mnie. Nikt nie wie, że tu jestem”. Sidi Ahmad uśmiechnął się drwiąco, co zupełnie zbiło legionistę z pantofelku. „Wszyscy wiedzą, że tu jesteś. Wszyscy z wyjątkiem twoich przyjaciół - te słowa wypowiedział Saharyjczyk tak zdecydowanym tonem, że Santiago ani przez chwilę nie wątpił, że to prawda. - Nasi ludzie wiedzą o wszystkim, co się dzieje wewnątrz koszar i poza jednostką. Chyba nie sądzisz, że jesteśmy głupcami?” San Roman poczuł się zupełnie bezradny. W tym momencie pożałował, że nie skorzystał z okazji wyjazdu do Barcelony. „Jeśli naprawdę kochasz tę dziewczynę - powiedział Sidi Ahmad, mówiąc o Andii - jutro stawisz się w koszarach. W przeciwnym razie oskarżają i jej rodzinę o udzielenie schronienia dezercerowi. Wiesz, co by się z nimi stało?” Santiago nie miał argumentów. Słyszając słowa Sidi Ahmada, poczuł się zawsty-

dzony. Ten mężczyzna niezamierzenie dał mu nauczkę. Skinął głową. Saharyjczyk zmienił wtedy swój groźny ton głosu i znowu był taki sam jak dawniej. „Andia podkocha się w tobie. Zachowałeś się jak jeden z naszych. Nie popsuj tego”. Sidi Ahmad potrafił przemówić mu do serca. Po raz pierwszy ktoś potraktował poważnie jego uczucia do Andii. Podali sobie ręce i w milczeniu wypili herbatę. Tamtego wieczoru dom wypełnił się mężczyznami. Dyskutowali żarliwie i pili herbatę aż do świtu. Kiedy wyszli, San Roman rzeki do Sidi Ahmada: „Pomimo wszystko wy, Saharyjczycy, zawsze wyglądacie na szczęśliwych”. „Nie zawsze, przyjacielu, nie zawsze. Ale dzisiejszej nocy mamy ku temu powód. Nasi bracia zwyciężyli w Guelcie”.

Santiago zrozumiał znaczenie słów Sidi Ahmada dopiero następnego dnia, kiedy skończyła się przepustka i musiał wrócić do jednostki. Sytuacja w koszarach przypominała powszechnie panujący chaos. W tym bałaganie nikt nie zauważył, że Santiago nie wykorzystał swojej przepustki, by wyjechać na Półwysep. Wieści o Polisario kursowały z ust do ust, podbudowane jeszcze plotkami i wymownym milczeniem oficerów. Wycofanie się wojska hiszpańskiego z Guelty uznano za kolejny krok prowadzący do ostatecznego opuszczenia Sahary. W ciągu dwóch pierwszych tygodni czerwca więzienie zapełniło się Saharyjczykami zatrzymanymi podczas manifestacji i zamieszek ulicznych. Pierwszym zadaniem Santiaga po powrocie z przepustki była służba wartownicza w więzieniu dla cywilów. Budynek, wykorzystywany dopiero od paru miesięcy, był pełen mężczyzn stłoczonych tak, że brakowało nawet miejsca do spania. Więzienie znajdowało się na końcu szerokiej drogi wychodzącej na Edcherę. Z daleka można już

było zauważyć, jak wiele wysiłku kosztuje żołnierzy hiszpańskich pilnowanie aresztantów. Większość więźniów przebywała na dziedzińcu zakładu przez całą dobę. Rozkazy i kontrozkazy sierżantów i poruczników następowały jeden po drugim, świadcząc, jak bezskuteczne są próby opanowania krytycznej sytuacji. Telefony się urywały. Żołnierze miotali się z jednego miejsca w drugie, wypełniając polecenia, które za parę minut zmieniano. W tym nieprawdopodobnym chaosie Santiago szybko dostrzegł twarze znajomych Saharyjczyków. Z niektórymi nawet udało mu się porozmawiać niepostrzeżenie. W ciągu jednego poranka obiecał spotkać się z ponad dwudziestoma osobami i przekazać im wieści od zatrzymanych krewnych.

Chociaż wszystkie przepustki zawieszono nieodwołalnie, Santiago bez trudu dotarł do Hata-Rambli. W miarę jak mieszkańcy dowiadywali się, że wielu ich krewnych zostało osadzonych w więzieniu w Al-Ujun, zaczęli przekazywać listy przez San Romana. Ten przepływ korespondencji stał się czymś zwyczajnym. Tymczasem do Hiszpanii ewakuowano większość urzędników i mieszkańców, a lato okazało się najsmutniejsze ze wszystkich wakacji w ostatnim okresie. W lipcu większość barów zamknięto na pewien czas. Ludzie podejrzewali, co zresztą potem się sprawdziło, że te wakacje przeciągną się na wiele lat. Zamknięto nawet Oazę. Nie otwarto kina letniego. W mieście było coraz mniej dzieci. W sierpniu pozostała może połowa mieszkańców. Dało się to zauważyć na ulicach: wiele domów zamknięto na cztery spusty. Nie działały sklepy i firmy. Ludzie pośpiesznie przemykali się opustoszałymi alejami. Cotygodniowy jarmark stanowił odbicie nieufności i beznadziei, które opanowały miasto. Chociaż

ewakuacja odbywała się w sposób znacznie lepiej zorganizowany niż na wiosnę, wszyscy naprędce finalizowali swoje sprawy: sprzedawali samochody, telewizory, odbierali długi, pokonywali trudności związane z najmem.

Płotki o chorobie generalissimusa Franco zwiększały jeszcze niepewność. Chociaż wielu nie wierzyło, że dyktator umiera, to jednak nawet wyżsi oficerowie próbowali zdobyć informacje z pierwszej ręki drogą telegraficzną lub telefoniczną z Hiszpanii. Ale wszystkie te wieści razem wzięte były tak bardzo mętne i sprzeczne, że liczba niedowiarków ciągle rosła.

Mniej więcej w połowie października plotka, do tej pory krążąca jedynie wśród najlepiej poinformowanych, potwierdziła stan faktyczny. Na ekranie telewizora w koszarowej kantine ukazało się oblicze króla Maroka, wygłaszającego orędzie do narodu. Jego głos brzmiał stanowczo i wyraźnie. Prawie nikt go nie słuchał, ale Santiago siedział jak zahipnotyzowany powagą malującą się na twarzy Hassana II. Oprócz pojedynczych słów, niemających żadnego znaczenia, nic nie potrafił zrozumieć. Jeszcze przed końcem przemówienia San Roman powiedział do Guillerma: „Patrz, coś ważnego się dzieje”. Przyjaciel bez zainteresowania wpatrzył się w ekran telewizora. Nie rozumiał problemów Maroka ani Sahary. „Nie wiem, co, ale z pewnością coś się stało” - rzekł z przekonaniem kapral San Roman. Wstał i pomaszerował szybkimi krokami do koszar wojsk nomadzkich. Wewnątrz i na zewnątrz jednostki podwojono strażę. Tuż po wejściu od razu się zorientował, że jego podejrzenia były uzasadnione. Telewizor u Saharyjczyków grał na cały regulator, ale nikt nie zwracał uwagi na program marokański. Natomiast wszyscy zgroma-



dzili się wokół starego radioodbiornika. Nikt nawet nie zauważył obecności legionisty, póki ten nie spytał, co się dzieje. „Nic, panie kapralu, nic”. „Przeście uważać mnie za durnia. Wiem, że coś się dzieje”. Żołnierze dobrze go znali. Wielu z nich przekazywało za pośrednictwem legionisty wiadomości do swoich rodzin. Jeszcze parę miesięcy temu grywał z nimi w piłkę nożną. Znał narzeczone i dziewczyny wielu z nich, rodziców i rodzeństwo, u niektórych bywał nawet w domach. Dlatego tym razem był stanowczy. „Co powiedział Hassan w telewizji?” - powtórzył pytanie, wyraźnie już rozdrażniony. „Mówi, że chce zdobyć Saharę dla Maroka, wkraczając na jej teren”. San Roman nie do końca zrozumiał znaczenie tych słów. „Nie uda mu się. Nasze wojsko jest znacznie silniejsze” - stwierdził naiwnie. „Wzywa cywilnych ochotników, żeby wkroczyli na Saharę. Twierdzi, że będzie to inwazja pokojowa. Zupełnie oszalał”.

Santiago pozostał u Saharyjczyków aż do capstrzyku. Kiedy już położył się na swojej pryczy, nie potrafił myśleć o niczym innym. Spędził bezsenność noc, leżąc bez ruchu na materacu aż do pobudki. Tego dnia jednostka wyglądała, jakby znalazła się w oku cyklonu. Ciężarówki i czołgi jeździły w tę i z powrotem. Rozkazy wciąż były nieprecyzyjne i często ze sobą sprzeczne. Plotki rozchodziły się jeszcze szybciej niż zwykle. Chwilami wydawało się, że wojsko szykuje się do wymarszu na północną granicę. Kiedy indziej żołnierze myśleli, że jeszcze tego samego dnia ewakuują ich z Afryki. W tym chaosie Santiago szykował się do wyjścia z koszar w ostatni piątek października. Wszystko już zaplanował, aby dostać się do dzielnicy Zemli. Dotarł tam w końcu, ale nie bez trudności.

Sytuacja w dzielnicy była równie ciężka jak w całym mie-

ście. Ludzie gromadzili w domach zapasy żywności. W sklepach brakowało towarów. Najpierw postanowił zajrzeć do Sidi Ahmada. Saharyjczyk próbował go uspokoić, ale sam był niezwykle zdenerwowany. Razem wybrali się do domu Andii. Dziewczyna chyba nie do końca wiedziała, co się dzieje. Była oschła i obrażona na legionistę, że nie odwiedził jej w ciągu ostatnich trzech tygodni. Ponad godzinę pili herbatę. Kiedy nadeszła pora, aby się pożegnać, San Roman zauważył, że cała rodzina stara się go zostawić sam na sam z Andią. Po raz pierwszy byli tacy wyrozumiali; dlatego nie zauważył, co się naprawdę dzieje. Dziewczyna usiadła naprzeciwko i pozwoliła się wziąć za rękę. „Kiedy będę mógł stąd wyjechać, zabiorę cię do Barcelony. Spodoba ci się tam. I to bardzo”. Andia uśmiechnęła się. Nie po raz pierwszy coś jej obiecywał. „A co zrobisz z narzeczoną, którą tam zostawiłeś?” Santiago udawał, że się gniewa. Wiedział, że to gra, w którą uwielbiała bawić się Andia. „Nie czeka na mnie żadna narzeczona. Przysięgam”. W końcu, tak jak zwykle, dziewczyna uśmiechnęła się zadowolona. „Chcę cię o coś prosić, Santi. Zrobisz to dla mnie, wyłącznie dla mnie?” „Oczywiście. Czego tylko sobie życzysz”. Włożyła rękę pod milhaf i wyciągnęła kopertę. „To dla Bachira Baiby. Powiesz, że to od siostry, Haibbili. Możesz przeczytać, jeśli masz ochotę”. San Roman uśmiechnął się. Dobrze znał Bachira. Bywał u niego w domu, poznał jego rodzinę. Haibbila zaś była najbliższą przyjaciółką Andii. Kiedyś podarowała bransoletkę Santiagowi. Dlatego nie chciał wyjmować listu z koperty, chociaż była otwarta. Wydawało mu się to nietaktem. Zresztą nie wątpił, że list jest napisany w hasanii. Wtedy po raz ostatni przed długim rozstaniem widział Andię, chociaż obiecał jej, że wróci nazajutrz.

List dotarł do Bachira Baiby. Była to pierwsza rzecz, jaką zrobił kapral San Roman po powrocie do koszar. Saharyjczyk przeczytał list w jego obecności. Santiago nie zauważył niczego podejrzanego w poważnej minie żołnierza. Pożegnał się, ale Bachir poprosił go, aby poczekał chwilę. Wypili herbatę i zapalili papierosa. Bachir Baiba był bardzo uprzejmy, choć wyczuwało się, że myślami błądzi gdzieś daleko. Gdy Santiago zbierał się do wyjścia, Saharyjczyk spytał: „Kiedy idziesz do domu?”. San Roman dobrze wiedział, o co mu chodzi. „Chciałbym jutro, ale teraz ciężko o przepustkę”. „Wiem - potwierdził Bachir, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. - My nie możemy stąd wyjść. Zabrano nam broń i nie wydają przepustek”. „Słyszałem o tym”. „Zrobisz coś dla swojego przyjaciela?” „Mów”. „Kiedy zdobędziesz przepustkę, przyjdź do mnie. Mam rzeczy dla matki: brudną bieliznę i takie tam graty”. Santiago dobrze wiedział, o co mu chodzi. Nie odmówił.

W piątek, trzydziestego pierwszego października, podchodząc do wartowni, Santiago dźwigał tobołek ważący ponad piętnaście kilogramów. Naiwnie wierzył, że nikt nie zwróci uwagi na kaprala, który opuszcza jednostkę tak jak wiele razy wcześniej. Dlatego nie zauważył, że kiedy zbliżał się do wartowni, gdzie odnotowywano wyjścia na przepustkę, porucznik i dwaj sierżanci spoglądali na siebie i nerwowo kręcili głowami. „Co tam macie, kapralu?” To pytanie zupełnie go zaskoczyło. Poczzerwieniał na twarzy i zaczął wyjaśniać drżącym głosem: „Mam przepustkę”. Porucznik nawet nie spojrzął na dokument, który wyciągał do niego Santiago. „Nie o to was pytam. Chcę wiedzieć, co macie w tym tobołku”. „Brudną bieliznę i jakieś graty”. Powiedziawszy to, zrozumiał, że pakuje

się w kłopoty. Tobałek był zbyt ciężki. Kiedy postawił go na podłodze, rozległ się podejrzany dźwięk. Zanim Santiago zdążył go otworzyć, poczuł, że jeden z sierżantów trzyma go na muszce. Kiedy pokazał zawartość, porucznik zbladł i już miał zamiar rzucić się na ziemię. Wśród brudnej bielizny znajdowały się granaty, zapalniki i materiały wybuchowe. W ciągu niecałej godziny wiadomość obiegła cały garnizon jak najbardziej złowieszczą wróżba.

Bezsensowność i pchły sprawiły, że karcer przypominał kazamaty. Odcięty od wiadomości z zewnątrz, kapral San Roman przeżywał prawdziwe katusze. Czuł się samotny, bardzo samotny; takie wrażenie miał po raz pierwszy w życiu. Wyobrażał sobie chaos, jaki ogarnął koszary, kiedy dowiedziano się o śmierci generała Franco. Ale tak naprawdę interesowała go wyłącznie jego własna sytuacja. Tego dnia zjadł obiad normalnie, o zwykłej porze. Nikt nie chciał mu wyjaśnić, co się naprawdę dzieje. Każdy dźwięk, każdy ruch na zewnątrz wprawiał go w stan czujności. Oczekiwał, że lada chwila przyjdą po niego i wywiozą go na Wyspy Kanaryjskie albo prosto do Hiszpanii. Ale najgorsze okazało się zmęczenie. Piekły go oczy i bolało całe ciało tak, jakby miał gorączkę.

Po południu otworzyły się drzwi i stanął w nich Guillermo w mundurze polowym z cetmą w ręku. Rzucił krótko:

- Czas na spacer, kapralu.

I przepuścił go w drzwiach. Zdenerwowany Santiago wyszedł. Ruszył w kierunku końca lotniska, tak samo jak robił to wiele razy przedtem. Guillermo szedł parę metrów dalej, trzymając w ręku cetmę.

- Wybacz mi, Guillermo. Muszę wiedzieć, czy mi wszystko wybaczasz - powiedział Santiago, nie odwracając głowy.

- Nie chcę słyszeć ani słowa, kapralu. Ani jednego.

San Roman płakał. Łzy spływały mu po policzkach. To było całkiem miłe uczucie.

- Żałuję, że nie byłem dla ciebie dobrym przyjacielem. Bardzo żałuję, że...

- Jeśli usłyszę jeszcze jedno słowo, strzelę.

Santiago wiedział, że Guillermo nie mówi tego poważnie. Jednak nie odezwał się więcej. Kiedy dotarli do końca pasa startowego, Guillermo odszedł parę metrów. Odwrócił się plecami, spojrzął na wydmy, obojętny na otoczenie. Santiago zaczął biec w kierunku zaparkowanych land-roverów. Czuł, że z każdym krokiem zmierza ku wolności. Wskoczył do jednego z wozów, sięgnął po kluczyki pod siedzeniem pasażera i ruszył z piskiem opon. Guillermo zaczął strzelać w powietrze. Nikt nie reagował, nikt nie zauważył, co się dzieje. Po kilku minutach samochód jechał już drogą wzdłuż lotniska, pozostawiając za sobą czarne kłęby spalin.

Nigdy by nie przypuszczał, że zostanie aż tak opustoszałe miasto. Ulice były całkiem wyludnione. Sklepy - pozamykane na sztaby. Niektóre dzielnice wydawały się zupełnie opuszczone. Do innych z kolei zasieki zagradzały wjazd. Mundur i pojazd wojskowy nie wzbudzały żadnych podejrzeń w czasie tak chaotycznego przegrupowywania wojsk. Bez trudu dostał się do dzielnicy Ziemi. Dotarł do domu Andii i wyskoczył z samochodu, nie gasząc nawet silnika. W środku były same kobiety. Santiago spytał najpierw o Andię. Ktoś po nią pobiegł. Dziewczyna wpadła zadyszana. Na widok legionisty wybuchła

placzem. Rzuciła się na kolana na ziemię i zaczęła wyrywać sobie włosy. Santiago był przerażony. Nie spodziewał się takiej reakcji. Kobiety próbowały uspokoić dziewczynę.

- Myślałam, że już nie żyjesz, Santi - powiedziała, szlochając, Saharyjka. - Mówiono, że mają cię rozstrzelać.

Santiago nigdy przedtem nie słyszał tak rozpaczliwego płaczu. Zapomniał o wszystkich pretensjach i wyrzutach. Po chwili z wrzaskiem nadbiegli sąsiedzi. Zmieszany legionista wyszedł na ulicę. Nie wiedział, co robić. Próbował nie dać się wzruszyć łzami Andii. Ktoś pobiegł zawiadomić Sidi Ahmada. Sklepikarz przybył pośpiesznie. Widząc Santiaga, chciał go objąć, ale chłopak się uchylił.

- To moja wina - rzekł - nie dziewczyny. To jeszcze dziecko, nie możesz jej winić.

- Myślałem, że jesteś moim przyjacielem.

- Bo jestem. Naprawdę jestem. Dlatego tobie ufałem. Masz barakę, przyjacielu, to prawdziwe szczęście. Teraz jesteś jednym z nas.

Santiago próbował nie dać się omamić, a jednak słowa Saharyjczyka skruszyły trochę jego niezłomną postawę. W końcu dał się objąć.

- Podbijają nasz kraj, przyjacielu. Nie słyszałeś o tym? Nie czas teraz na kłótnie i spory.

- Mogłeś mnie tylko poprosić. Tylko tyle... Zrobiłbym dla ciebie to, co trzeba... To, co należy. Ale nie powinieneś mnie okłamywać.

Sidi Ahmad złapał go za rękę i zaciągnął do domu. Andia śmiała się i płakała jednocześnie. Jak dziecko wtuliła się w legionistę i zaczęła mówić coś do niego w hassanii. Santiago nie

potrafił dłużej udawać gniewu. Wypił pierwszą szklankę herbaty, wypalił pierwszego papierosa i oparł się wygodnie o ścianę. Andia nie odstępowała go ani na krok. Oczy legionisty powoli zaczęły się zamykać. Nagle poczuł w całym ciele zmęczenie ostatnich dni. Kleiły mu się powieki, ciążyły ręce. Nie miał nawet siły, aby rozmawiać. I powoli zapadał w ciężki, głęboki sen.

Doktor Belen Carnero weszła do szpitalnej kafejki i od razu zobaczyła Montse siedzącą w głębi, przy oknie. Szukała jej. Omijając stoliki i krzesła, podeszła i usiadła obok.

- Czemu tak późno przychodzisz? Już miałam wyjść, Belen.

- To była skomplikowana operacja. I najgorsze, że przez ciebie biedny pacjent o mało co nie został na zawsze na stole operacyjnym.

Doktor Cambra uniosła brwi ze zdziwienia i zrobiła niedowierzającą minę.

- Dlaczego tak mówisz? Co to znaczy: przeze mnie?

- Tak, Montse. Tak mnie zaintrygowałaś swoją opowieścią, że omsknęła mi się ręka przy znieczulaniu...

Montse już miała krzyknąć z przerażenia, kiedy zobaczyła kpiący uśmiech na twarzy doktor Carnero. Nie pierwszy raz robiła jej podobny kawał.

- Ale o co chodzi? Straciłaś poczucie humoru, kochana. Montse zakryła twarz rękami.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek je miałam.



- Oczywiście, że tak, i masz je do tej pory. Już nie pamiętasz, ile razy zaśmiewaliśmy się do łez?

- Masz rację... Tyle że od tamtej pory minęło tak dużo czasu, że prawie o tym zapomniałam.

Przez chwilę siedziały, patrząc sobie w oczy, jakby próbowały odgadnąć własne myśli.

- Posłuchaj, wiesz, co zrobimy? - powiedziała po chwili doktor Carnero. - Pójdziemy do ciebie i opowiesz mi wszystko, od momentu, w którym przerwałaś.

- Nie mam czasu. Muszę iść do domu, wziąć prysznic i... Marszcząc brwi, Belen czekała na ciąg dalszy.

- Czy to jest to, o czym myślę? - spytała w końcu lekarka.

- Otóż tak. Po co miałabym cię oszukiwać? Umówiłam się z Perem na kolację.

- Z naszym idealnym kawalerem. W porządku, bądź co bądź nie należy to do moich kompetencji... A zatem opowiedz do końca tę historię o Santiagu San Romo.

- San Romanie.

- Właśnie. Mówiłaś mi o ciąży. Miałaś wtedy... dziewiętnaście lat.

- Osiemnaście. Osiemnaście cudownych lat. To żadna tajemnica. Zresztą wtedy były inne czasy i sama dobrze wiesz, jaka była moja rodzina.

- Właśnie. Dlatego tak mnie zaintrygowałaś. Nie wyobrażam sobie ciebie stojącej przed matką i wyznającej, że zaszłaś w ciążę z chłopakiem, o którym w gruncie rzeczy nic nie wiesz.

- Tak naprawdę wiedziałam wszystko, co powinnam.

- Mówiłaś, że widziałaś go z jakąś blondynką.

Doktor Cambra poszperała w torebce i wyciągnęła pu-

dełko chesterfieldów. Zapaliła papierosa. Belen patrzyła na nią bez słowa.

- Czemu tak na mnie patrzysz?

- Nie wiedziałam, że palisz. Czy to coś nowego?

- Raczej powiedziałabym, że to jeszcze jedna głupota. Nie sięgałam po papierosy, odkąd skończyłam osiemnaście lat.

- Dziewczyno, jesteś naprawdę zaskakująca. Nie dziwię się, że Pere stracił dla ciebie głowę.

Montse wydmuchała dym prosto w twarz koleżance. Belen rozkasła się, a potem zaczęła się śmiać.

Montse zapamiętała październik tamtego roku jako najgorszy miesiąc w swoim dotychczasowym życiu. Radość, jaką odczuwał ojciec, kiedy dowiedział się, że jego starsza córka dostała się na uczelnię, kontrastowała z apatią i przygnębieniem, jakie ogarnęły dziewczynę. Wspomnienie minionego lata wydawało jej się teraz snem księżniczki. Powrót do ustalonego trybu życia w rodzinie, do nieustannej kontroli matki, przedłużające się rozstania z Santiagiem stały się dla niej nie do zniesienia. Jej siostra, Teresa, żyła w zupełnie innym świecie. Montse często czuła się przy niej gorsza. Młodsza siostra miała swoje życie. Wydawała się starsza. Lepiej znosiła wymagania ojca, ciągłe wyrzuty matki, przytłaczającą kontrolę obojga rodziców. Właśnie dlatego nie potrafiły się ze sobą porozumieć. Montse czasami uważała ją za małą dziewczynkę, kiedy indziej za zbyt dorosłą jak na swój wiek. Prawdę mówiąc, bała się sprawdzić, co pomyślałaby jej siostra, gdyby dowiedziała się o tym wszystkim, co przeżywała w największej tajemnicy.

Im więcej czasu spędzała, nie spotykając się z Santiagiem, tym bardziej nie mogła o nim zapomnieć. Teraz widywali się tylko w soboty i niedziele. Montse musiała wracać do domu przed dziesiątą, a Santiago nie miał nic innego do roboty oprócz spotykania się z nią. Kiedy powiedział jej, że pod koniec roku musi wyjechać do Saragossy, bo wcielają go do wojska, dziewczyna starała się zachowywać obojętnie, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. Dopiero w domu zaczęła nerwowo odliczać dni. Bardzo się myliła, sądząc, że jej sytuacja nie może być już gorsza.

Największy cios spotkał ją pewnego ponurego jesiennego popołudnia. Szła razem z matką, zresztą tak jak zwykle, do jednej ze swoich ciotek. Był to nieunikniony obowiązek. Nic bardziej nie nudziło Montse niż siedzenie przy niskim stoliku i wysłuchiwanie paplaniny matki i ciotki o błahostkach, o krewnych, którzy już dawno zmarli, o nieznanym jej ludziach oraz anegdot, które wydawały jej się strasznie nudne. A jednak tego dnia coś wyrwało ją z normalnej rutyny. Przechodząc obok kawiarni, spojrzała w okno w kokietyjnym odruchu, aby poprawić włosy. Nagle zastygła z wrażenia. Przy stoliku, tuż koło drzwi, zobaczyła Santiaga palącego swobodnie papierosa. Obok niego jakaś blondynka zaśmiewała się na cały głos, jakby ktoś opowiedział jej coś bardzo śmiesznego. Trwało to zaledwie parę sekund, ale wystarczyło, aby Montse upewniła się, że to naprawdę Santiago. Jej serce podskoczyło z wrażenia. Ścisnęła rękę matki i starała się dopasować do jej kroków. Zaczerwieniła się. Paliły ją policzki. Bała się, że matka to zauważy. Nie chciała się oglądać, ale ten obraz zapadł jej w pamięć. Myśli kłębiły jej się w głowie. Nie mając czasu, aby to przemyśleć, przeprosiła matkę i zaproponowała, aby sama

poszła do ciotki. Wyjaśniła, że coś zostawiła w domu. Matka oddaliła się, nie przestając zrzędzić pod nosem.

Montse nie potrafiła kontrolować swoich czynów. Upewniła się, że chłopak, którego widziała w kawiarni, to Santiago, i stanęła po drugiej stronie ulicy, nie spuszczać oczu z drzwi kawiarni. Dygotała. Czasami zastanawiała się chłodno nad tym, co robi, i wydawała się sobie samej żalowna. Przeszła na drugą stronę, aby wejść do kawiarni, ale zrezygnowała w ostatniej chwili. Po raz pierwszy w życiu nie przejmowała się tym, że nie ma żadnego przekonującego wykrętu, który usprawiedliwiłaby przed matką jej dziwne zachowanie. Czas włócił się niemiłosiernie.

Wreszcie Santiago wyszedł z kawiarni w towarzystwie blondynki. Miała może dziewiętnaście, dwadzieścia lat, ale jej ubiór sprawiał, że wydawała się znacznie starsza. Montse, choć stała daleko, nie miała wątpliwości, że jest tleniona. Rozmawiali ze sobą jak starzy przyjaciele. Santiago cały czas ją rozśmieszał. To jeszcze bardziej wkurzyło Montse. Szła za nimi w pewnej odległości, po drugiej stronie ulicy. Może tak naprawdę chciała, by Santiago ją zobaczył, ale chłopak wciąż wpatrywał się w blondynkę. Montse nie spuszczała z nich wzroku, czekała, aż weźmie ją za rękę albo obejmie ramieniem. Ale nie robili nic podejrzanego. Doszli do przystanku autobusowego. Tam czekali całe dziesięć minut. Dziewczyna nie przestawała się śmiać. To niemożliwe, aby Santiago stał się nagle takim dowcipnisiem. Montse parokrotnie już chciała sobie pójść albo podejść do nich, ale coś ją powstrzymywało. W końcu nadjechał autobus i blondynka czekała, aż wszyscy wsiądą. W tym właśnie momencie Montse zobaczyła, jak biorą się za ręce. Był to raczej krótki i nerwowy uścisk dłoni, ale

blondynka otoczyła Santiaga ramionami i przyciągnęła do siebie. Pocałowali się. To wcale nie przypominało pocałunku na pożegnanie. Santiago nie zrobił żadnego gestu, aby odsunąć się od dziewczyny. Rozłączyli się dopiero wtedy, kiedy autobus miał odjechać. San Roman stał jak przymurowany na przystanku, obserwując blondynkę szukającą sobie miejsca w autobusie. I tak tkwił, wpatrując się w przestrzeń, póki autobus nie znikł z widoku.

Montse nie poszła na randkę w następną sobotę. Kiedy Santiago zadzwonił do niej, udając kolegę z uczelni, nie chciała podejść do telefonu. Dopiero po trzech dniach zdecydowała się odebrać telefon, i to tylko po to, żeby sucho rzucić: „Posłuchaj, Santi, nie chcę cię już nigdy więcej widzieć. Zrozumiałeś? Nigdy więcej. Wyobraź sobie, że nie żyję”. I odłożyła słuchawkę. Santiago nie dowiedział się niczego więcej, póki na trzeci dzień nie dopadł Montse na chodniku przed domem. Dziewczyna szła z książkami pod pachą, mając akurat tyle czasu, aby zdążyć na autobus. Santiago wyprzedził ją i zagroził drogę. Był wzburzony, ale na widok twarzy Montse nagle zbladł. „Natychniasz masz mi powiedzieć, co się z tobą dzieje” - oświadczył niepewnym głosem. Montse ominęła go i poszła dalej. Chłopak został z tyłu, starając się wyciągnąć z niej choć jedno słowo, ale ona uparcie milczała. W końcu, mając dosyć tej komedii, stanęła. „Posłuchaj, przystojniaku. Nie wiem, w co grasz, ale pamiętaj: ze mną ci się nie uda”. „Najpierw muszę wiedzieć, o co ci chodzi. Jeśli mi tego nie wyjaśnisz...” „Ja mam ci wyjaśnić?! To raczej ty powinienesz mi coś wytłumaczyć. Na przykład powiedz, kim jest ta tleniona blondyna, z którą całowałeś się na przystanku autobusowym”. Nie spuszczała z niego wzroku, póki nie stwierdziła, że spo-

ważniał i zaczerwienił się. Ale Santiago wcale się nie przestraszył. „Jeśli jesteś zazdrosna, to nie dręcz się dłużej. To naprawdę nikt dla mnie ważny”. Dziewczyna spłoszyła z wściekłości. „Nikt ważny? A ja jestem dla ciebie kimś ważnym?” „Oczywiście. Najważniejszym w życiu”. „W takim razie zostaniesz bez kogoś najważniejszego w swoim życiu. Teraz niech cię pociesza blondyna albo jeszcze ktoś inny”. I ruszyła szybkim krokiem. Starał się ją dogonić. „Posłuchaj, kochanie, ta blondynka nic dla mnie nie znaczy. Nie wiem, skąd ta zazdrość. A ty przedtem nie miałaś żadnego chłopaka?” „Jasne, mnóstwo - skłamała. - I co z tego?” „W takim razie powinnaś to zrozumieć. To jest po prostu moja była dziewczyna”. „Coś takiego?! A ty się zawsze tak całujesz ze wszystkimi swoimi byłymi dziewczynami?” „Wcale nie. Ale spotkaliśmy się przypadkiem, wstąpiliśmy na kawę...” „Ona stawiała?” Santiago zastygł w pół słowa. Montse uderzyła w jego czuły punkt. Zamilkł i zaczął wlec się z tyłu. Wreszcie Montse stanęła, odwróciła się i wypaliła: „Jestem w ciąży. Tak, dobrze słyszysz. W ciąży. I nie pytaj mnie, czy jestem pewna, bo cię pošlę do... A więc już wiesz. Nie chcę cię więcej widzieć. Nie chcę cię więcej słyszeć, nie chcę nigdy więcej nic o tobie wiedzieć. Mam wystarczająco dużo własnych problemów”. Santiago zastygł ze spłoszoną miną, jak przykuty do chodnika, nie spuszczać oczu z Montse, podczas gdy odchodziła, nie obejrząwszy się. Wtedy dopiero zauważył, że przechodnie zatrzymywali się, aby posłuchać ich kłótni, jakby to było uliczne przedstawienie.

Już od dawna na doktor Cambrze przestały robić wrażenie eleganckie restauracje i admiracja męska. Luksusy i umizgi

nużyły ją, aczkolwiek było jej z nimi wygodniej. Zgodziła się, aby Pere Fenoli, traumatolog, wybrał restaurację, wino i stolik. Było coś w tym mężczyźnie, co ją wzruszało, i wiele rzeczy, które ją irytowały. Prawdę mówiąc, trudno jej było wyważyć, co jest w nim dobre, a co złe. Wiedziała, że jest atrakcyjna mimo skończonej czterdziestki, zdolna do poderwania mężczyzny, ale niechętnie stosowała kobiece sztuczki. Zresztą Pere nie potrafił umiejętnie wykorzystać swojej szansy. Mówił o pracy, o swojej specjalizacji, o problemach służby zdrowia. Kiedy Montse zmieniała temat, stawał się nadęty i napsuszony, jakby zwykły akt podniesienia łyżeczki do ust składał się z niezliczonej ilości procesów o trudnej do pojęcia wadze. Był przystojnym mężczyzną, o dobrym guście i znakomitych manierach. To w równym stopniu podobało się Montse, jak ją drażniło. Od czasu do czasu bawiła się jego kosztem: umiejętnie dawkowała uwodzicielskie sztuczki w momentach, kiedy widziała, że Pere jest na nie podatny.

Doktor Cambra zakładała, że tej nocy wyląduje w łóżku faceta, który siedział teraz przed nią i którego twarz widziała przez szkło kieliszka z winem. Czowała, że od alkoholu przyjemnie kręci jej się w głowie. Specjalnie zostawiła w domu pastylki i włożyła najlepszą sukienkę. Zauważyła, że kiedy Pere milczy, wypada znacznie lepiej. Nie był dobrym kochankiem, ale właściwie nie tego potrzebowała. Przypomniała go sobie w slipkach i nie potrafiła ukryć zdradzieckiego uśmiechu.

- Bawi cię to, co mówię?

Prawdę mówiąc, od dłuższego czasu Montse nie słyszała nic z tego, co jej opowiadał traumatolog. Posiadła umiejętność wyłączania się z rozmowy, i to tak, żeby nikt nie dostrzegł braku zainteresowania z jej strony.

- Szczerze mówiąc, nie. Raczej bawi mnie sposób, w jaki to opowiadasz - próbowała się usprawiedliwić.

Pere zarumienił się ze wstydu. Montse wytrzymała jego wzrok, póki nie opuścił go na kieliszek.

- Wybacz - przeprosił ją traumatolog. - Przez cały wieczór gadam i prawie nie dopuściłem cię do głosu.

- Kiedy to, co mówisz, jest bardzo ciekawe. Nie chcę ci przerywać. Zresztą...

Pere Fenoli podniósł głowę i pełen nadziei szukał w oczach Montse zakończenia tej kwestii.

- Zresztą?...

- Zresztą chyba wino uderzyło mi do głowy i nie chcę mówić głupstw.

- Daj spokój. Sprawiasz tylko wrażenie, jakbyś przed chwilą wstała z łóżka.

Montse uśmiechnęła się i zamyśliła. Kończyli kolację i wiedziała, że wcześniej czy później Pere spyta, czy wpadłaby do niego na drinka. Miała ochotę porozmawiać. Sama myśl, że ma wrócić do domu i znaleźć się w ciszy czterech ścian tylko ze swymi wspomnieniami, była dla niej nie do zniesienia.

- Nigdy nie chciałeś porzucić pracy na jakiś czas? - spytała Montse. - Dajmy na to na trzy miesiące, pół roku albo na cały rok.

- Taki bezterminowy urlop?

- Coś w tym rodzaju.

- Nie, nigdy o tym nie myślałem. Może w przyszłości, kiedy będę...

- Stary? Chciałeś powiedzieć: stary?

- Kiedy będę bardziej zmęczony, raczej to chciałem powiedzieć.



Montse odgarnęła włosy z czoła. Istotnie wino wywoływało w niej beztroski stan, a już myślała, że utraciła go na zawsze.

- A ja bym chciała. Trzy miesiące, pół roku. Sama nie wiem. Może poproszę o urlop.

- I co wtedy będziesz robić?

- Tysiące rzeczy. Będę czytała, spacerowała, podróżowała. Podróżowanie poza sezonem to wspaniała sprawa.

- Sama?

- Pojedziesz ze mną? - zadała pytanie, tak jakby właśnie na tę okazję czekała.

Pere uśmiechnął się. Znowu rumieniec wypłynął mu na twarz.

- To zależy. Jeśli mnie o to poprosisz... Poprosisz mnie o to?

- Nie, nie zamierzam tego robić. Uspokój się. Na razie to jakiś mglisty pomysł, który zaświtał mi w głowie.

Pere Fenoli wykorzystał ten moment szczerości, aby rzucić pytanie, które od dawna go zaprzątało.

- Wpadniesz do mnie na drinka?

Montse uśmiechnęła się do niego, próbując zrobić to z entuzjastyczną miną. Skinęła potakująco głową, ale nie potrafiła udawać zaskoczonej tym pytaniem.

Po uiszczeniu rachunku zamienili ledwie parę słów. Wyszli trochę spięci i wsiedli do samochodu traumatologa. Było zimno. Montse podniosła kołnierz płaszcza i wtuliła się w skórzany fotel. Chciała, żeby podróż trwała długo, a ona mogła się rozgrzać przy muzyce Wagnera.

- Jesteś zmęczona?

- Nie. To przez wino, naprawdę. Czuję się znakomicie.

O tej porze na ulicach panował jeszcze duży ruch. Montse wpatrywała się z roztargnieniem w przechodniów, podczas gdy Pere znowu mówił o pracy. Nagle wydało jej się, że widzi Fatmę. Szła sama, z głową przykrytą czerwonym milhafem.

- Proszę cię, Pere, zatrzymaj się na chwilę. Widziałam moją przyjaciółkę.

- Tutaj?

- Tylko na chwilę. Nie musisz nawet parkować.

Pere podjechał w stronę chodnika. Był zniecierpliwiony. To niespodziewane zachowanie Montse ocenił jako głupi kaprys. Wsiadła z samochodu i przecięła drogę Fatmie. Saharyjka zdziwiła się na jej widok. Prawdę mówiąc, widziały się trzy dni temu. Pocałowały się i stały, trzymając się za ręce. Wypytywała ją o różne rzeczy, jakby nie widziały się od lat.

- Mały dobrze się czuje?

- Dobrze, bardzo dobrze. To bardzo grzeczny chłopiec.

Wyglądało na to, że te dwie kobiety wcale się nie śpieszą. W końcu zniecierpliwiony Pere Fenoli zaczął trąbić. Kiedy Fatma zorientowała się, że ktoś czeka na Montse, poczuła się skrępowana. Pomyślała, że ją zatrzymuje. Pożegnała się. Ustały, że wkrótce się zobaczą.

Pere siedział z bardzo poważną miną, kiedy Montse wróciła do samochodu. Doktor Cambra czuła się poirytowana. Z trudem powstrzymała się, żeby mu nie wytknąć jego zachowania.

- Coś podobnego, Montse - powiedział ironicznie - nie wiedziałem, że masz takie egzotyczne przyjaciółki.

Montse przygryzła wargi.

- Egzotyczne? Przeszkadza ci, że mam egzotyczne przyjaciółki?

- Nie, nie. Wręcz przeciwnie. Myślę, że człowiek powinien spotykać się z ludźmi różnych klas.

Montse nie spodobał się ton, jakim to powiedział. Zanim ruszyli, otworzyła drzwi. Wysiadła i rzuciła:

- Słuchaj, Pere, nigdy nie przypuszczałam, że komuś to powiem, ale nigdy też nie sądziłam, że pójdę do łóżka z takim dupkiem jak ty. Spieprzaj!

Pere Fenoli zaniemówił. Wiedział, że palnął głupstwo, ale było już za późno na sprostowanie. Został w samochodzie, słuchając Wagnera, a Montse szybko się oddaliła, najprawdopodobniej klnąc pod nosem.

Kiedy cudzoziemka budzi się, w chajmie już nikogo nie ma. Po raz kolejny jest jej wstyd, że wstaje ostatnia. Ciotka Layli pichci coś w kuchni. Witają się po arabsku. Co dzień uczy się coraz więcej. Na śniadanie wypija kawę z kozim mlekiem, zjada chleb z marmoladą i pomarańczę. Ten skromny posiłek stawiają na nogi. Saharyjka próbuje wytłumaczyć Montse, że Layla jest w zagrodach dla bydła, położonych na obrzeżach Bir Lehlu. Rozumie to bez trudności. Dzieciaki biegają wszędzie, korzystając z ferii. Widząc kobietę, podchodzą do niej, żeby się przywitać. Już od rana mocno grzeje słońce.

Montse chce się przejść. Aby uchronić się przed słońcem, przykrywa głowę chustką. Chłopcy grają w piłkę nożną. Kilku z nich kłóci się o to, kto będzie jeździł na jedynym rowerze. Nagle uwagę Montse przyciąga chłopak, który siedzi sam, z dala od reszty. Początkowo nie zwraca na niego uwagi, póki nie poznaje, że to ten sam jednooki dzieciak, którego widziała poprzedniego dnia. Patrzy na nią. Nie rusza się z miejsca. Hiszpanka podchodzi ostrożnie, jakby to była trasa jej spaceru. Kiedy jest już blisko, wita się z chłopcem.

Maty nie odpowiada. Głowę ma poranioną kamieniami. Montse nie chce, by chłopiec uciekł, dlatego zatrzymuje się w pewnej odległości. Siostrzenice Layli umykają w popłochu. Chyba boją się do niego zbliżyć. Montse pyta go o imię, ale chłopiec milczy. W końcu postanawia zostawić go w spokoju. Kiedy jednak odchodzi parę kroków dalej, słyszy, że maty coś mówi:

- Hiszpanka? Hiszpanka?

Montse odwraca się i staje w miejscu, patrząc na niego.

- Tak, Hiszpanka. A ty Saharyjczyk?

Chłopiec wstaje i zbliża się do kobiety. Widząc z bliska jego pusty, pozbawiony gałki oczodół, Montse rozumie, dlaczego dziewczynki uciekły. Chłopak wkłada rękę do kieszeni i wyciąga kartkę. Kobieta bierze ją i w tym momencie Saharyjczyk zrywa się do biegu i znika. Montse jest tak zaintrygowana, że rozkładając w pośpiechu kartkę, prawie ją rozdziera. To kratkowana strona, wyrwana pewnie z zeszytu szkolnego. Pismo jest bardzo ozdobne i staranne.

*Kochana Przyjaciółko,*

*dziękuję Bogu, że zachował Cię przy życiu. Ta wiadomość przepelnia mnie radością. Przyjechałam tu tylko po to, żeby Cię zobaczyć. Mam wiadomości, które mogą Cię zainteresować. Chyba Twój Hiszpan ciągle mieszka wśród nas. Muhammad powie Ci, gdzie mnie znaleźć. To syn mojej siostry. Nikomu o mnie nie mów, błagam.*

*Aza*

Montse trzęsą się ręce. Ledwie może przeczytać tę wiadomość do końca. Kiedy podnosi wzrok znad kartki, chłopca już

nie ma. Woła go po imieniu. Idzie tam, gdzie widziała go po raz ostatni. Wszędzie biega mnóstwo dzieci, ale żadne z nich nie jest Muhammadem. Tak długo krąży na próżno wśród chajm, że w końcu się poddaje. Kilka razy czyta wiadomość i chowa kartkę. Trzyma ją w kieszeni, zaciśniętą w dłoni. W poszukiwaniu Layli bez wahania rusza prosto w stronę zagród.

Pielęgniarka już z daleka spostrzega, jak bardzo zdenerwowana jest Montse. Hiszpanka podaje jej kartkę, którą Saharyjka czyta powoli. Patrzy na cudzoziemkę, potem znowu spogląda na list i ponownie go czyta. Przeciąga ręką po czole i w charakterystyczny sposób kląska językiem.

- To wcale nie był sen, Layla. Mówiłam ci, że Aza naprawdę istnieje.

Pielęgniarka nie odpowiada. Rozgląda się w koło, żeby sprawdzić, czy ktoś je obserwuje. Są same. Montse jest teraz znacznie spokojniejsza.

- Tylko jej siostrzeniec zniknął. Nie wiem, czy go odnajdę, Layla.

- Wcale nie byłabym tego taka pewna. Albo się mylę, albo to właśnie on chowa się za kamieniami.

Montse patrzy w tamtą stronę, ale nikogo nie widzi. Layla zaczyna wołać Muhammada i krzyczy coś do niego w hassanii. Po chwili zjawia się chłopiec. Był dokładnie w miejscu, które wskazała Saharyjka. Muhammad podchodzi zawstydzony. Layla pokazuje mu kartkę i zamienia z nim parę słów. Chyba jest rozdrażniona. Montse prosi, żeby jej szybko przetłumaczyła.

- Tak, to prawda. Aza jest jego ciotką. Mieszka w Edche-deirii.

- Gdzie to jest?

- Niedaleko stąd. To da'ira Smary. - I pokazuje punkt na horyzoncie, gdzie nie widać nic prócz kamieni i piasku.

- Pójdiesz ze mną, prawda?

- Piechotą? Nie ma mowy. Dotarłabyś tam zupełnie odwodniona.

Ibrahim prowadzi, zaciskając dłonie na kierownicy. Z ust zwisa mu fajka. Montse siedzi w środku, Layla obok drzwi. Muhammad wskoczył na pakę. Nie chce jechać w kabinie razem z kobietami. Ibrahim zamienia parę słów z Laylą. Wygląda na rozgniewanego. Montse pyta pielęgniarkę, czy jest zły, że musi ją zawieźć, ale Layla zaprzecza.

- Nie, nic podobnego. Cieszy się, że może nas zawieźć, ale lubi mieć inne zdanie. Gdyby mężczyźni nie sprzeciwiali się wszystkiemu, nie byłiby prawdziwymi mężczyznami.

Montse śmieje się na cały głos. Ibrahim przygląda jej się z uśmiechem; nic nie rozumie.

Właściwie nie ma różnicy między Edchedeirią i Bir Lehlu. Chajmy i domy z pustaków wyglądają identycznie. Muhammad wyskakuje z furgonetki i rzuca się biegiem. Ibrahim bez słowa wyjaśnienia rusza za nim. Musi uważać na dzieci wyskakujące ze wszystkich stron w pogoni za plastikową piłką. W końcu zatrzymują się przed wzniesionym z pustaków domem. Obie kobiety wchodzi i zostawiają buty przy drzwiach. Layla idzie pierwsza, wita się ze wszystkimi kobietami w domu. Aza wstaje, zakrywa twarz dłońmi, potem dotyka czoła, podnosi dłoń do serca i przytula Montse. Wygląda, jakby się modliła. Jej słowa przypominają litanie albo modlitwę żałobną po czyjejś śmierci.

- Przyjaciółko - mówi po hiszpańsku. - Masz barakę, opatrność nad tobą czuwa. Jestem tego pewna.

Prawie godzinę zajmuje kobietom dokonanie wzajemnych prezentacji. Aza poznaje Montse z całą swoją rodziną zamieszkałą w Edchedeirii. Montse z kolei przedstawia jej Layłę. Obie kobiety długo rozmawiają w hassanii. Ibrahim zostaje na zewnątrz. Od razu wdaje się w pogawędkę z sąsiadami, tak jakby znał już wszystkich. Kobiety z rodziny zapraszają Montse na herbatę. Dają perfumy do odświeżenia twarzy i rąk. Dziewczynki ofiarowują Hiszpance naszyjniki, bransoletki i pierścionki z kunsztownie rzeźbionego drewna. Montse przyjmuje te dary z wdzięcznością. Layla rozmawia ze wszystkimi, jakby znała ich od lat.

- Nic mi nie mówiłaś, że miałaś narzeczonego legionistę - mówi w końcu Layla po uważnym wysłuchaniu opowieści.

- Bo mnie o to nie pytałaś - żartuje Montse i wybucha śmiechem. - To naprawdę nie jest ważne.

Aza i Layla uśmiechają się. Montse czuje, że nadeszła wreszcie pora, żeby opowiedzieć im o Santiagu San Romanie. Prawdę mówiąc, czuje się trochę skrępowana, że wszyscy poznają tę historię. Po tylu perypetiach życiowych wszystko, co ma związek z Santiagiem, stało się dla niej bardzo odległe.

- Chyba znalazłam mężczyznę, o którym opowiadałaś - wyjaśnia Aza i czeka na reakcję cudzoziemki. - Było tu wielu Hiszpanów takich jak on, ale większość ich już nie żyje albo przeniosła się do Mauretanii.

- Wydaje mi się, że moja historia bardzo cię zainteresowała. Widzę, że mimo tylu bolesnych przeżyć nie zapomniałaś niczego, co ci mówiłam.

- Pamiętam absolutnie wszystko. Moja matka mi pomogła. Jest już stara, ale ma bardzo dobrą pamięć. To właśnie ona naprowadziła mnie na ślad.



- Nawet nie wiem, czy chcę go jeszcze spotkać.

Layla i Aza patrzą na siebie rozczarowane niespodziewanymi słowami Hiszpanki.

- Straciłaś rozum - besztają pielęgniarka. - Przecież musisz się przekonać, czy pamięta cię do tej pory.

Montse uśmiecha się. Najwyraźniej obie Saharyjki przeżywają jej historię jak telenowelę.

- Dobrze - zgadza się w końcu Montse. - Powiedz mi, co o nim wiesz.

- W Ausserd mieszka Hiszpan, który uciekł razem z uchodźcami. Był żołnierzem. Mieszka w La Guerze tak jak ja.

- Wiesz, jak się nazywa?

- Prawdziwego nazwiska nie znam. Ale teraz chyba mówią na niego Yusuf albo Abd ar-Rahman, dokładnie nie wiem.

- Widziałaś go?

- Nawet go znam, tylko nie wiedziałam, że jest Hiszpanem. Wygląda na jednego z naszych. Już dawno go nie widziałam. Jego dzieci chodziły do mojej szkoły.

- Jesteś nauczycielką?

- Tak.

- Powiedz, Aza, ile jeszcze niespodzianek kryjesz w zanadrzu.

Aza milknie i uśmiecha się. Layla kłaska językiem.

Kiedy jadą po hamadzie bez dróg i szlaków, Montse stara się zrozumieć, co takiego zmusiło mężczyznę, który nie urodził się na pustyni, aby utknąć na tyle lat w tym surowym zakątku Ziemi. Bo chyba ani piękno krajobrazu, ani szczerzy i gościnny charakter Saharyjczyków nie były ku temu wystarczającym powodem. Ani nawet miłość.

Ibrahim prowadzi w milczeniu i jak zwykle trzyma dłonie

na górze kierownicy. Trzy kobiety siedzą ściśnięte w szoferce. Podróż staje się nużąca ze względu na trudny teren. La Guera nie różni się zbytnio od pozostałych obozów dla uchodźców. W samym środku da'ir prawie zawsze widać białe budynki szkół. Wyglądają jak statki, które ugrzęzły na mieliźnie. Aza pokazuje Ibrahimowi, jak trafić do jej domu. Powitanie bardzo przypomina to z Edchedeirii. Matka Azy to prawie zupełnie ociemniała staruszka. Mówi po hiszpańsku z namysłem, tak jakby szukała słów w pamięci. Od razu pojawia się wszystko, co potrzebne do ugoszczenia przyjezdnych. Ibrahim wdaje się w rozmowy z mężczyznami. Montse wie, że musi poczekać, aż skończy się cała ceremonia powitalna, zanim zapyta o Hiszpana z La Guery. Dlatego nic nie mówi.

Jedzą obiad z całą rodziną. Ibrahim został zaproszony do sąsiedniej chajmy. Montse dowiaduje się nowych rzeczy o Azie i jej rodzinie. Ojciec dziewczyny był burmistrzem dawnej Villa Cisneros. A także posłem do hiszpańskich Kortezów. Podczas inwazji wojsk marokańskich i mauretańskich trafili do niewoli mauretańskiej. Aza była wtedy jeszcze mała. Tam spędzili ponad dziesięć lat. W końcu pozwolono im połączyć się z resztą ludu saharyjskiego na algierskiej hamadzie. Matka Azy wspomina z powściągliwą tkliwością zmarłego męża. Potem tłumaczy córce, jak trafić do mężczyzny, którego poszukują.

Montse jest bardzo zdenerwowana. Jedzenie staje jej w gardle. Czasami wydaje się jej, że to wszystko jest tylko snem. Wielokrotnie wyobrażała sobie spotkanie z Santiagiem. Ale teraz wie, że wcale nie będzie przypominało żadnego z jej marzeń. Nagle wchodzi grupa mężczyzn. Zwracają się do Azy. Jeden z nich, okryty niebieską derrahą

i w czarnym turbanie, wita się z nią po hiszpańsku z silnym akcentem arabskim. Ma przekrwione oczy, zęby przebarwione herbatą, skórę smagłą jak pozostali Saharyjczycy. Zwraca uwagę jego przenikliwe spojrzenie, tak charakterystyczne dla ludzi z pustyni. Trudno określić jego wiek, tak jak większości mężczyzn, którzy ukończyli trzydziestkę. Montse czuje, że pali ją dłoń Saharyjczyka. Aza zwraca się do niego po hiszpańsku, a on odpowiada jej czasem w hassanii, a kiedy indziej w czystym kastylijskim.

- Tak, byłem legionistą - mówi do Montse. - Bardzo dawno temu.

Montse jest niemal pewna, że ten mężczyzna nie może być Santiagiem San Romanem, ale kiedy patrzy mu długo w oczy, przez chwilę się waha.

- Mam na imię Montse. Słyszałam o panu i nie chciałam wyjeżdżać, nie przywitawszy się z panem.

Mężczyzna czuje się tym zaszczycony. Bezustannie się uśmiecha. Dziwi go kaprys Hiszpanki. Zaprasza wszystkie trzy kobiety do siebie. Layla się wymawia. Wyjaśnia, że muszą wrócić do Smary. Mężczyzna nalega. Teraz Montse jest pewna, że to nie jego szukała. Musi go jednak zapytać.

- Czy znał pan chłopaka, który nazywał się Santiago San Roman? Był legionistą, tak jak pan.

Hiszpan zamyśla się. Przesuwa turban lekko w tył. Wśród zwojów widać siwe włosy.

- Być może. Było tu tysiące żołnierzy takich jak ja. Pewnie wrócił do domu, kiedy skończył służbę. Ja tu zostałem.

- On też.

- Niektórzy zginęli albo trafili do niewoli - wyjaśnia mężczyzna, nie przestając się uśmiechać.

Montse wie, że jej poszukiwania są bezowocne. W głębi duszy odczuwa ulgę, wiedząc, że nie stoi twarzą w twarz z Santiagem San Romanem. Miotają nią sprzeczne uczucia.

W drodze powrotnej Ibrahim jedzie bardzo wolno. Aza została w La Guerze. Montse obiecała odwiedzić ją w szkole za parę dni. Obie kobiety jadą w milczeniu. Słońce pozostaje gdzieś z tyłu za nimi. Niebo powoli zabarwia się na intensywnie czerwony kolor. Montse z zachwytem obserwuje pejzaż. Kiedy zbliżają się do Smary, prosi Ibrahima, żeby jechał wolniej. Chce zatrzymać w źrenicach piękno zachodu słońca. Layla przygląda się okolicy obojętnie. Nagle pokazuje coś Montse. Niedaleko kolein leży martwy wielbłąd. Ten widok głęboko wstrząsa cudzoziemką. Prosi Ibrahima, aby stanął na chwilę. Saharyjczyk zgadza się bez słowa. Rozumie, jakie uczucia może budzić w Europejce taki widok. Gdzieś w oddali pojawiają się chajmy Bir Lehlu.

Ciało martwego dromadera na pustyni wygląda jak muśnięcie czerwoną farbą na białym płótnie. Montse nie może oderwać wzroku od zwierzęcia. Nie dostrzega much ani sępów. Ibrahim pali, oparty o furgonetkę, obie kobiety stoją kilka metrów od padliny. Nawet wiatr nie zakłóca ciszy zmierzchu. Layla próbuje odgadnąć, co przykuło uwagę jej przyjaciółki. Montse podnosi wzrok i patrzy na horyzont. W oddali na niewielkim wzniesieniu widać zarys kamieni.

- Co to jest, Layla?

- Cmentarz. Tam chowamy naszych zmarłych.

Montse przeczuwa, że śmierć na pustyni stanowi część natury, tak samo jak wiatr, jak słońce. Podchodzą spacerkiem aż do granicy cmentarza. Groby to tylko kamienie ustawione w nogach i głowie zmarłych. Nie ma napisów, dzięki którym

można by je odróżnić. Robi się coraz ciemniej. Montse czuje, jak przechodzą ją ciarki. Już ma wrócić do furgonetki, kiedy nagle w oddali dostrzega jakąś sylwetkę. Wzdryga się ze strachu. Początkowo myśli, że to pies, ale widzi, że Layla jest przerażona; krzyczy i przytula się do Montse. Z ziemi, jakby na wpół pogrzebany, zrywa się jakiś Saharyjczyk. Choć jest ciemno, kobiety zauważają, że jest prawie nagi. Chwyta derahę i w turbanie na głowie rzuca się do ucieczki. Zaalarmowany krzykiem Layli, przybiega Ibrahim. Widząc szaleńca, zaczyna ciskać w jego kierunku kamieniami.

- Co on tu robił?! - krzyczy Montse do Layli.

- Nie wiem. Ja też go nie zauważyłam.

Ibrahim mówi coś narzeczonej. Layla tłumaczy.

- Mówi, że to ten biedak, którego widziałyśmy wczoraj. Demon. On jest nienormalny.

- Chodźmy - prosi zdenerwowana Montse. - Niedługo zapadnie noc.

Miasto, oglądane z dachów saharyjskiej dzielnicy Zemli, przypominało statek tonący w morzu piasku. Aż tu docho-  
dziły odgłosy powszechnego zamętu panującego w nowo-  
czesnej części Al-Ujun. Niewiele osób wiedziało, co się na-  
prawdę dzieje, dlatego wszyscy miotali się skonsternowani,  
starając się pokonać przeszkody w chaotycznej i pośpiesznej  
ewakuacji.

W całej Hata-Rambli panowało totalne zamieszanie. Nikt  
nawet nie próbował sobie wyobrazić, co się stanie z ludźmi,  
którzy pozostaną w mieście. Nie mając rozeznania w sytuacji,  
podejrzewano, że wcześniej czy później nastąpi globalna ka-  
tastrofa. Saharyjczycy z przedmieść gorączkowo poszukiwali  
samochodów, aby jak najszybciej opuścić miasto. Najwięksi  
defetyści w obliczu groźby inwazji wyruszali na pustynię cią-  
gniętym przez osła wozem, wyładowanym zapasami żywności  
niezbędnymi do przetrwania kilku dni. Posiadaczy aut uwa-  
żano za szczęściarzy. Policja terytorialna patrolowała rogatki  
miejskie, zwłaszcza drogę na Smarę, i zmuszała do powrotu  
każdego, kto próbował uciec z miasta. Jednak pustyni nie da

się pilnować i nocami chaotyczna ucieczka osiągała dramatyczne wręcz rozmiary.

Santiago San Roman spędzał całe przedpołudnia na dachu domu Lazaara. Czuł się jak ptak spoczywający na własnej klatce. Dzielnica stała się prawdziwym więzieniem, z którego trudno było się wydostać. Chociaż wszyscy Saharyjczycy znali sposoby na poruszanie się po mieście czy przechytrzenie punktów kontrolnych, mężczyźni z Ziemi nie chcieli uciekać i pozostawiać na pastwę losu kobiet oraz małych dzieci. Wiadomości pokazywane w telewizji marokańskiej były zatrważające. Chociaż wkroczenie Marokańczyków na teren Sahary nazywano pokojowym, ludzie uciekający z północy przynosili przerażające wieści. Ponad dziesięć tysięcy żołnierzy było już na terenie kolonii hiszpańskiej; przesuwali się jak wielka plama w kierunku stolicy.

Sidi Ahmad znalazł Santiaga siedzącego na dachu ze zwieszonymi nogami, palącego spokojnie papierosa. Od swej ucieczki z karceru legionista już nie zachowywał się tak jak przedtem. Nic go nie interesowało i sprawiał wrażenie, jakby niewiele rozumiał z tego, co się dzieje. Spędzał całe dnie na dachu, nasłuchując i obserwując życie uliczne. Sklepiarz usiadł obok niego i zapalił fajkę.

- Potrzebuję cię - powiedział Sidi Ahmad. - Jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc.

San Roman uśmiechnął się, przypominając sobie ostatni raz, kiedy Saharyjczyk potrzebował jego pomocy. Ale nie powiedział głośno tego, co myśli. Milczał, wpatrzony w pułstynię.

- Chcę, żebyś dziś w nocy wywiózł mnie i ojca swoim samochodem.

- Możesz wziąć wóz, kiedy chcesz. Dobrze wiesz, gdzie są kluczyki.

Saharyjczyk szukał odpowiednich słów, ale nie wiedział, jak zacząć.

- Wiem, przyjacielu, ale ja nie chcę zabrać ci samochodu. Chcę, żebyś ty nas wywiózł. Potem możesz wrócić.

- A ty nie wrócisz?

- Nie, oczywiście, że nie wrócę. Wyjeżdżam na zawsze.

- W takim razie możesz sobie zabrać land-rover na zawsze - odpowiedział sucho Santiago. - Nie sądzę, żeby armii hiszpańskiej robiło to różnicę.

- Nie zrozumiałeś mnie. Chcę, żebyś wrócił do miasta samochodem. Moje dzieci i żona tu zostaną. Musisz się nimi opiekować. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć.

Santiago jakby przebudził się z letargu. Słowa Sidi Ahmada wydały mu się szczerze. Nagle powrócił do rzeczywistości. Saharyjczyk był poważny, nawet bardzo. Rzadko tak się zachowywał. Santiago po raz pierwszy poczuł, że coś od niego zależy.

- Dokąd chcesz wyjechać?

- Jeszcze nie wiem. Chcę tylko, żebyś nas wywiózł z Al-Ujun. Potem ci powiem, gdzie nas zostawisz. Rozmawiałem już o tym z moją rodziną i rodziną Andii. Wszyscy się na to zgadzają. Tu nic nie mogę zrobić, a mój lud mnie potrzebuje.

- Twój lud?

- Tak, przyjacielu, mój lud. Mnie samemu nie pozwolą wyjechać, ale jeśli będę w towarzystwie legionisty, cofną wszelkie zakazy. Rozumiesz?

Santiago San Roman zrozumiał. Tej samej nocy dolał wody do chłodnicy, sprawdził, czy jest jeszcze paliwo w baku, i przy-



gotował się do wywiezienia Sidi Ahmada i jego ojca z miasta. Poczekali, aż zapadnie noc, i pożegnali się z rodziną. Żona Saharyjczyka szlochała po cichutku. Andia objęła Santiaga i legionista musiał się od niej oderwać siłą. Pomimo dramatycznego gestu czuł się szczęśliwy, że dziewczyna jest aż tak przejęta. Pożegnanie było krótkie i powściągliwe.

Kapral San Roman bez trudu opuścił dzielnicę. Żołnierze pełniący wartę przy zasiekach mieli głowy zajęte zupełnie czymś innym. Mimo rozkazów nie przejawiali zbyt wielkiego zapału do pilnowania. Widząc pagony kaprała, nie robili problemów przy wyjeździe. Zamiast skierować się w stronę szosy na Smarę, Santiago słuchał wskazówek Sidi Ahmada. Chociaż Saharyjczyk co innego twierdził na początku, chyba doskonale wiedział, dokąd chce jechać. Dotarli do koryta rzeki Saguii i skierowali się w jej górę. Wody było bardzo niewiele. W świetle księżycy kałuże lśniły różowawym blaskiem. Saharyjczyk znał wszystkie ścieżki, brody, szlaki.

- Jeśli pojedziemy bardzo daleko, zabraknie nam paliwa - ostrzegł go Santiago.

Sidi Ahmad nie przejął się tą uwagą. Santiago prowadził przez bite dwie godziny, nie wiedząc właściwie, dokąd jedzie. Nie widział dróg ani szlaków. Land-rover jechał środkiem pustyni, czasami sunąc starymi koleinami, kiedy indziej przecierając nowe szlaki w kamienistej powierzchni. Santiago, który zawsze podziwiał tubylców za zmysł orientacji w terenie, zwłaszcza w ciemnościach nocy, mknął naprzód, nie wiedząc nawet, czy jedzie na północ, czy na południe. Jednak pewność, z jaką prowadził Sidi Ahmad, budziła w nim zaufanie.

Jakieś trzydzieści kilometrów od Al-Ujun w samochodzie zabrakło paliwa.

- Ostrzegałem cię, do cholery! Mówiłem ci! Koniec podróży!

Sidi Ahmad siedział obok niego niewzruszony i bez emocji wpatrywał się w niewyraźną linię widnokregu.

- Spokojnie, przyjacielu, nic się nie stanie... Bóg nam pomoże.

San Roman już wielokrotnie słyszał to zdanie, ale nigdy przedtem nie było ono tak bardzo pozbawione sensu jak w tej chwili. Starał się nie okazywać zdenerwowania. Panowała przejmująca cisza. Nie czuło się nawet najdrobniejszego powiewu wiatru. Saharyjczyk pomógł ojcu wysiąść. Posadził go pod akacją i wrócił po rzeczy do samochodu. Przyniósł imbryczek do herbaty, szklanki, cukier i wodę. Na ten widok legionista poczuł, że po raz kolejny musi ustąpić wobec charakteru ludzi pustyni. Widząc, z jakim spokojem Sidi Ahmad zabiera się do parzenia herbaty, zrozumiał, że nawet w tym niegościnnym miejscu nic złego im się nie stanie. Powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Saharyjczyk odszedł parę metrów i ułamał kilka suchych konarów drzewa arganowego. Później znalazł suche kolczaste gałęzie akacji. Wygrzebał dziurę w ziemi i rozpalił ogień. Kiedy w imbryczku kipiała woda, a starszek próbował się rozgrzać przy płomieniu, Sidi Ahmad zagaił rozmowę o piłce nożnej. Santiago nie wiedział, czy śmiać się, czy zacząć krzyczeć.

Wypili po trzy szklanki herbaty i pewnie sięgnęliby po czwartą, gdyby gdzieś na wzgórzu nie błysnęło światło. Legionista zerwał się gwałtownie z miejsca i zaalarmował dwóch Saharyjczyków.

- Nie wstawaj. Siedź spokojnie, przyjacielu, nic się nie dzieje.

San Roman posłuchał. Cóż innego mógł zrobić? W dali pojawiły się jeszcze dwa światła. Po chwili można było wyraźnie rozróżnić lampy dwóch zbliżających się samochodów. Z pewnością ktoś dostrzegł blask ogniska. Auta podjeżdżały bardzo wolno, rozjaśniając przestrzeń przed sobą długimi światłami. Sidi Ahmad siedział nieporuszony, bez słowa. Wozy zatrzymały się tuż obok land-rovera wojsk nomadzkich. Wysiedli z nich mężczyźni i spokojnie zbliżyli się do akacji. Idąc, wygłaszali formułkę powitalną, a Sidi Ahmad swobodnie im odpowiadał.

- *Jak la ba's\**.

- *Jak la ba's.*

- *Jak bichejr\*\*.* *Baraka Allah\*\*\*.*

- *Baraka Allah.*

- *Al-hamdu li-llah\*\*\*\*.*

Kiedy mężczyźni znaleźli się w świetle ogniska, Santiago poczuł, że serce skacze mu z radości. Na samym przedzie szedł Lazaar. Miał na sobie mundur wojskowy, ale nie był to uniform wojsk nomadzkich. Saharyjczyk uśmiechał się szeroko. Kapral San Roman nie miał siły wstać. Lazaar pozdrowił z szacunkiem starca, położył mu rękę na czole, a potem pomógł wstać Santiagowi. Objął go silnym ramieniem i przytulił.

- Przyjacielu, wiedziałem, że znowu cię zobaczę. Dziękuję.

\* *Jak la ba's* (arab.) - pytanie retoryczne, zadawane najczęściej podczas powitania, w znaczeniu: „Czy wszystko w porządku?” (*przyp. kons.*)

\*\* *Jak bichejr* (arab.) - pytanie retoryczne, zadawane najczęściej podczas powitania, w znaczeniu: „Czy wszystko w porządku?” (*przyp. kons.*)

\*\*\* *Baraka Allah* (arab.) - zwrot ten w dosłownym tłumaczeniu oznacza: „Błogosławieństwo boże”. Tu w znaczeniu podziękowania: „Niech Bóg cię błogosławi” (*przyp. kons.*)

\*\*\*\* *Al-hamdu li-llah* (arab.) - chwala Bogu, dzięki Bogu (*przyp. kons.*)

- Za co?
- Za opiekę nad moją rodziną. Opowiedzieli mi wszystko.
- Opowiedzieli? Ale co takiego?
- Słyszałem, że aresztowali cię za współpracę z naszymi

ludźmi. Andia jest bardzo z ciebie dumna.

- Andia? A ty skąd wiesz, co myśli Andia?

- Pisuje do mnie. W listach opowiada mi o wszystkim. Zresztą Sidi Ahmad dokładnie nas o wszystkim informuje.

Santiago zrezygnował z dalszego wypytywania, obawiając się, że okaże się jeszcze większym ignorantem. Sidi Ahmad w dalszym ciągu zachowywał spokój, jakby to spotkanie było rzeczą najzwyczajszą pod słońcem. Znowu zabrał się do parzenia herbaty. Tej nocy nikt się nie śpieszył z wyjątkiem Santiaga, który wpadał w rozpacz na widok spokoju i opanowania Saharyjczyków. Godzinami rozprawiali o chłodzie, wietrze, lisach pustynnych, studniach, kozach i wielbłądach. I po raz pierwszy Santiago poczuł się wyróżniony, stwierdziwszy, że rozmawiali nie w hassanii, tylko po hiszpańsku. W tym czasie ojciec Sidi Ahmada spokojnie spał. Chłód stawał się coraz dotkliwszy, ale nikt się nie skarżył. Kiedy wydawało się, że tematy rozmów zostały już wyczerpane, Lazaar zwrócił się do Santiaga:

- Przybyłeś aż tu nie tylko po to, aby przywieźć Sidi Ahmada z ojcem. To ja go poprosiłem, żeby cię zabrał.

Santiago wiedział już, że każde pytanie, jakie zada, odwlecze oczekiwaną odpowiedź. Dlatego nie przerywał, chociaż dręczyła go ciekawość.

- Muszę cię o coś prosić, San Roman: chcę, żebyś wywiózł moją rodzinę z Al-Ujun do Tifariti. Zbieramy tam wszystkich ludzi, oczywiście tych, których możemy przywieźć. - Legionista

w dalszym ciągu powstrzymywał się od zadawania pytań. - Maroko wkroczyło na nasze ziemie od północy i jeśli informacje okażą się prawdziwe, Mauretańczycy także nas zaatakują.

- Chcesz, żebym zawiózł ich do Tifariti? Wszystkich?

- Tak, przyjacielu, wszystkich. Moją matkę, ciotkę i rodzinę. A także żonę Sidi Ahmada. Jego dzieci są już u nas.

Santiagoowi ta misja wydała się bardzo odpowiedzialna. Po raz pierwszy poczuł, że wojna naprawdę się zaczęła. Myśli kłębiły mu się w głowie i miał wrażenie, jakby na jego barki nałożono zbyt wielki ciężar.

- Nawet nie wiem, czy uda mi się wrócić. Nie mam paliwa - stwierdził naiwnie.

Lazaar ani przez chwilę nie przestawał się uśmiechać.

- To się da załatwić.

- I trafię do Tifariti?

- Bóg ci pomoże.

- Jesteś pewny?

- Oczywiście. Gdybym nie był, nigdy bym cię o to nie prosił.

Aż do świtu legionista nie mógł zmrużyć oka. Zimno przenikało go do szpiku kości. Saharyjczycy przyjmowali wszystko z największym spokojem, natomiast on miał nerwy w strzępach. Napełnili bak land-rovera, spuszczać paliwo z innych samochodów. Kiedy nadeszła chwila rozstania, Santiago postanowił podzielić się rozterkami, chociaż obawiał się, że w ten sposób okaże się mało zaradny.

- Boję się, że nie znajdę drogi powrotnej. Wszystkie zarośla są dla mnie podobne. Zresztą nocą nic nie było widać.

- Zapomnij o tym, co było w nocy - poradził mu Sidi Ahmad. - Jechaliśmy na skróty, ale ty możesz wrócić rzeką.

- Jaką rzeką? Tu nie ma żadnej rzeki.

- Posłuchaj, jedź w stronę tamtego wzgórza. Widzisz? Przejedź je i kieruj się w stronę słońca. Zobaczysz wyschnięte koryto rzeki. Umiesz poznać wyschnięte koryto?

- Oczywiście.

- Kieruj się cały czas na północ. Nie opuszczaj tej trasy. Mniej więcej po dziesięciu kilometrach pojawi się trochę wody. W końcu dotrzesz do Saguii. Jedź wzdłuż jej biegu i na pewno się nie zgubisz.

- A jak dotrę do Tifariti? Nie zgubię się w drodze?

Lazaar uciął gałąź akacji i położył na ziemi dwa kamienie. Narysował linię i wskazał mu kierunek.

- Nie jedź żadną drogą. Cały czas kieruj się na przełaj przez pustynię. Jeśli będziesz jechał na wschód, nie zgubisz się. Szukaj zawsze kierunku na Smarę, a kiedy trafisz na koleiny prowadzące na południowy wschód, pojedź nimi. Zawsze kieruj się odciskami kół. Pustynia jest usiana śladami ludzi uciekających do Tifariti. Wszyscy zmierzają w tamtym kierunku. Za jakieś trzy dni spotkamy się tam. I nie zjeżdżaj do żadnej miejscowości, nawet najmniejszej. Może już być zajęta przez wojsko, a to bardzo niebezpieczne.

Santiago odjechał land-roverem, nie spuszczać wzroku z lusterka wstecznego. Kiedy stracił z pola widzenia inne pojazdy, skoncentrował się na widoku wzgórza. Nawet wtedy, gdy go złapali z materiałami wybuchowymi, nie był tak bardzo przestraszony jak teraz. Bez przekonania zastosował się do wskazówek Sidi Ahmada, starając się kierować z tą samą pewnością siebie, jak robili to Saharyjczycy. Zaufanie, jakie mieli do niego ci ludzie, wydawało mu się nadmierne. Kiedy jednak po dwóch godzinach podróży zobaczył w oddali białe domy

Al-Ujun i kopulaste dachy Zemli, pomyślał, że nic i nikt nie przeszkodzi mu dotrzeć do Tifariti z rodziną Lazaara.

Powitali go tak, jakby się nie widzieli przez całe miesiące. Santiago szczegółowo opisał spotkanie z ich najstarszym bratem. Matka i ciotka Lazaara wysłuchały relacji bez słowa. Kiedy dowiedziały się, że muszą wyjechać, rozpoczęły przygotowania do drogi. W największym pokoju zgromadzono skrzynie z jedzeniem, ubraniami i rzeczami, których przeznaczenia San Roman nawet się nie domyślał. Żona Sidi Ahmada przeniosła się do domu Lazaara. Legionista starał się zorganizować wyprawę, tak jakby to były manewry wojskowe. Najpierw dokonał przeglądu wojsk. Trzy dorosłe kobiety, cztery dziewczynki i sześciu chłopców. Najmłodsza dziewczynka miała zaledwie trzy lata, a najstarszy chłopak skończył osiemnaście. Pomyślał, że czternaście osób nie zmieści się w jednym samochodzie. Oświadczył to Andii, starając się nie dramatyzować, ale ona nie przywiązała wagi do tak mało istotnego jej zdaniem szczegółu.

Santiago postanowił zejść do miasta, żeby ukraść jakiś samochód. Towarzyszył mu najstarszy z braci Lazaara. Nie było mu jednak łatwo poruszać się po ulicach miasta. Wszędzie na chodnikach stali w szeregu legionieści, jakby szykowali się do defilady. Policja terytorialna zatrzymywała wszystkie pojazdy, w których jechały ponad dwie osoby albo były zbyt przeładowane. Niewiele aut krążyło po mieście i nie znaleźli żadnego sprawnego samochodu, zaparkowanego przy krańcu ulicy. Większość miała rozbite przednie szyby albo wylamane zamki. W innych brakowało części zamiennych i teraz pod otwartymi maskami prezentowały swoje bezużyteczne popsute silniki. Na skrzyżowaniu ulic Santiago nagle stanął

i zmusił Saharyjczyka, aby się schował pod ścianą. Kilka metrów dalej patrol kontrolował dwóch Saharyjczyków wyciągniętych z samochodu. Żołnierze hiszpańscy, z cetmami przewieszonymi na piersi, kazali im stanąć przy ścianie z szeroko rozstawionymi nogami i rozłożonymi rękoma. Ale tak naprawdę zaalarmował Santiaga głos sierżanta, który wydał mu się boleśnie znajomy. To był Baquedano. W jednej chwili powróciły wspomnienia i znowu zaczął się bać. Sierżant był wściekły. Wrzeszczał na Saharyjczyków, jakby byli stadem bydła. Nagle spoliczkował młodszego z zatrzymanych i pchnął go na ziemię. Chłopak próbował uciec, ale Baquedano postawił mu stopę na twarzy, a potem zaczął kopać. Santiago San Roman marzył o jednym: aby mieć naładowaną broń. Strach pokonała wściekłość.

- Zabiję go - rzekł do brata Andii, ale Saharyjczyk go powstrzymał.

- Musisz nas zawieźć do Tifariti. Sami stąd się nie wydostaniemy.

Powrócili do Zemli, gotowi wyruszyć następnego dnia po zmierzchu. Manatki całej rodziny przewyższały pojemność bagażnika samochodu.

- Nie możemy zabrać wszystkich rzeczy. Nie zmieszczą się w land-roverze. A gdzie usiądziemy?

- Na dachu - podsunęła Andia. - Jakoś się ściśniemy.

Santiago wiedział, że to niemożliwe, a jednak bał się ją rozczarować. Nic nie powiedział, ale przez całą noc prześladował go koszmarny sen: ludzie, a wraz z nimi bagaże i zwierzęta, wślizgli i wypadali przez okno samochodu jak w jakiejś niekończącej się zabawie. Przed południem próbował zdobyć paliwo. Nie było to łatwe zadanie, ale udało mu się wymienić kozę na



trzy kanistry. Jednak kłopoty dopiero się zaczęły. Najpierw z nowej części miasta doszły go niesprawdzone plotki. Potem potwierdzili je sąsiedzi. Po raz kolejny Al-Ujun stało się miastem zamkniętym. Pierwszego grudnia znaleziono ładunek wybuchowy w Hotelu Narodowym. Początkowo uważano, że stoi za tym Polisario, okazało się jednak, że ta nieudana próba zamachu była dziełem dowódcy hiszpańskiego i pewnego sierżanta pirotechnika. Dynamit rozłożono tuż obok butli z butanem na dziedzińcu hotelu. Potem rozeszła się wiadomość, że wysłannicy rządu Maroka i Mauretanii mieli się tam zatrzymać w celu przejścia kontroli nad Saharą Zachodnią. W rezultacie znowu wzmożono środki bezpieczeństwa. Po raz kolejny zatrzymywano podejrzanych. Tego grudniowego dnia wszystkim poruszającym się po mieście groziło zatrzymanie i przeszukanie przez patrol wojskowy. Santiago stwierdził przy całej rodzinie, że nie da się opuścić miasta.

Zgodnie z planem legionisty mieli uciec piechotą w nocy, przeprawiając się przez rzekę. Przy odrobinie szczęścia mogli przedostać się wszyscy, nawet małe dzieci. Następnie on sam, w mundurze kaprała, wróciłby po land-rovera. Próbował ich przekonać, że jeśli jakkolwiek patrol zobaczy terenówkę wyładowaną wszelkimi manatkami i bambetlami oraz z gromadą ludzi na dachu, nie pozwoli im przejechać. Matka Lazaara tak bardzo ufała legionście, że nie wątpiła w powodzenie wyjazdu. Jednak po wiadomości o próbie zamachu ucieczka okazała się niemożliwa. San Roman nie miał innego wyjścia jak czekać na lepszą okazję. Tak czy owak nie mógł dotrzeć do Tifariti w umówionym terminie.

Kolejne dni mijały w dręczącej niepewności. Wszyscy wypytywali legionistę, dlaczego zwleka z wyjazdem, i chociaż

środki ostrożności byty uzasadnione, nie potrafili zrozumieć, dlaczego Santiago nie może dotrzymać słowa. Dziesiątego grudnia jedna z plotek krążących do tej pory po dzielnicy okazała się prawdą. Radio mauretańskie podało wyraźnie wiadomość, że armia mauretańska wkroczyła od południa na teren Sahary Zachodniej. Al-Ujun zmieniło się więc w pułapkę na myszy. Kiedy Santiago to usłyszał, podniósł maskę land-rovera i zaczął przemawiać do silnika jak do ludzkiej istoty. Sprawdził kilkakrotnie uszczelki i tuleje. Oczyszczył klemy akumulatora. Sprawdził poziom oleju i wody w chłodnicy. Zmniejszył ciśnienie w oponach. Potem przeszedł się po mieście. Wrócił do domu przed północą. Podenerwowany, zwołał wszystkich i oświadczył, że pora ruszać. Nikt jeszcze nie spał. Chyba Saharyjczycy domyślali się, co się stanie.

- Szybko. Wszyscy do wozu. Wyjeżdżamy land-roverem.
- A czujki?
- Już nikt niczego nie pilnuje. Miasto jest otwarte. Musiało się stać coś poważnego.

Kiedy Santiago zobaczył, w jaki sposób pasażerowie wraz z bambetłami upychają się w terenówce, wręcz nie mógł w to uwierzyć. Do kabiny weszły trzy starsze kobiety i dwie młodsze dziewczynki. Z tyłu usiadła Andia i jej trzy siostry. Manele zajęły resztę wolnej przestrzeni. Dziewczynki przywarły do szyby. Sześciu chłopców wspięło się na dach i z całej siły chwyciło się relingów dachowych i reszty bagażu. Najstarszy stanowił barierę z przodu, aby jego młodszy bracia nie zostali wyrzuceni z dachu podczas gwałtownego hamowania, drugi z kolei miał osłaniać ich z tyłu. Legionista nie powiedział ani słowa, chociaż wydawało mu się szaleństwem podróżowanie w takich warunkach. Wsiadł do kabiny i kiedy miał przekreślić

kluczyk w stacyjce, poczuł, że coś mu się płące pod nogami. Już chciał krzyknąć. Okazało się jednak, że to tylko dwie kury. Pod nogami kobiet zobaczył jakiś niewyraźny kształt. Pomyślał, że to pewnie pies. Po chwili stwierdził, że kobiety zabrały ze sobą kozę. Matka Lazaara uśmiechnęła się do legionisty ze stoickim spokojem, trochę niestosownym w tych okolicznościach.

- Bez jedzenia nie możemy opuścić miasta.

Santiago nic nie powiedział. Auto z trudem ruszyło w drogę. Legionista był pewien, że stanie, zanim dotrą do końca ulicy. A jednak terenówka dzielnie toczyła się dalej. Wkrótce wyjechali na pustą, pokrytą kamieniami drogę i okrążyli całą dzielnicę. Rzeczywiście nie było już śladu po żołnierzach hiszpańskich. Land-rover rzeził, wyrzucając kłęby czarnego dymu. Santiago odszukał szosę do Smary; mogli nią opuścić miasto ze zgaszonymi światłami. Sunęli tak wolno, że można było ich dogonić pieszo.

San Roman przypomniał sobie przestrożę, jakiej udzielił mu Lazaar - żeby trzymał się z dala od szosy. Na płaskim terenie skręcił na pustynię. Opony jechały po kamieniach jak po starannie zaostrzonych nożach, ale auto sunęło dalej. Dobrze znał tę drogę, przynajmniej aż do rozwidlenia prowadzącego do kopalni fosforytów w Bu Craa. Chociaż droga zniknęła, Santiago orientował się po szczytach wzgórz. Wielokrotnie przemierzał tę trasę, a teraz nawet nieliczne drzewa i linia horyzontu wydawały mu się znajome. Ponad trzy godziny jechał aż do skrzyżowania, skąd odchodziła szosa na Smarę. W normalnych warunkach tę odległość pokonywał w ciągu pół godziny. Terenówka posuwała się bardzo wolno. Widząc świeże koleiny, odgadł, że wielu Saharyjczyków także

postanowiło wcześniej zjechać z drogi. Pomimo wolnej jazdy Santiago nie spuszczał ani na chwilę wzroku z powierzchni pustyni. Każde wgłębienie w piasku mogło się stać śmiertelną pułapką. Kiedy zjeżdżał na piasek, aby uniknąć ostrych, tnących opony kamieni, samochód zapadał się i koła buksowały w miękkim podłożu. Wtedy chłopcy zeskakiwali z dachu i wypychali auto albo usuwali rękami piasek spod kół. Odbywało się to bez słowa. Wszyscy wpatrywali się w horyzont, jakby wzrok miał im pomóc w szybszym dotarciu do celu. Na skrzyżowaniu drogi z Edchery z traktem w stronę Gaady Santiago postanowił pojechać szosą, a nie kamienistym gruntem. Uznał, że w ten sposób mają większą szansę, by się nie zgubić. Wydawało mu się, że po pustyni auto porusza się męczącym zygzakiem. Jeśli dalej tak będzie jechał, zabraknie im paliwa niezbędnego do przebycia prawie czterystu kilometrów dzielących ich od Tifariti. W jakiś tajemniczy sposób, pomimo przeciążenia, land-rover posuwał się naprzód.

Szosa przypominała cmentarzysko samochodów. Co kilka kilometrów natrafiali na porzucone auto lub ciężarówkę, wszystkie skierowane w stronę Smary. Santiago, znając wartość części zamiennych, zawsze się przy nich zatrzymywał. Jednak auta były ogołoczone przez ich właścicieli lub innych kierowców, którzy przed nim wpadli na ten sam pomysł. Jeśli samochód miał choć jedną oponę, znaczyło to, że była pęknięta. W zbiornikach brakowało paliwa. W autach nie było akumulatorów, gaźników, lamp, a nawet kierownic. Ci, którzy zostawiali bez samochodu, ogołacali go doszczętnie i szli dalej piechotą. Wszędzie napotykali grupy ludzi biwakujących wzdłuż drogi i zbierających siły do dalszej wędrówki. Czasami wyprzedzała ich jakaś ciężarówka lub furgonetka, ale żadna

z nich nie jechała szosą. Widać było rodziny z całym dobytkiem dźwiganym przez osła, za którym dreptała koza. Ale San Roman nie miał odwagi zjechać z drogi. Co godzina zatrzymywał samochód i zostawiał otwartą maskę, aby ostudzić silnik.

Po dziesięciu godzinach nie przebyli nawet pięćdziesięciu kilometrów. Jeszcze przed południem Santiago stwierdził, że w ten sposób nigdy nie dotrą do Tifariti.

- Musimy porzucić bagaże. Land-rover niedługo padnie.

Żona Sidi Ahmada pokręciła przecząco głową. Santiaga doprowadzała do rozpaczy głuchota i ślepotą całej rodziny, nie wyłączając Andii. Próbował napełnić chłodnicę wodą, ale jeden z chłopców poradził mu, żeby tego nie robił.

- Jeśli wlejesz wodę do chłodnicy, umrzemy z pragnienia. Lepiej, żeby padł samochód.

- Ale jeśli padnie wóz, my wszyscy też zginiemy.

Musiał wyklócać się ze wszystkimi, aby pozwolili mu wlać przynajmniej pół litra. W końcu postanowił, że tego dnia nigdzie dalej nie pojedą. Było zbyt gorąco. Karoseria samochodu buchała żarem, opony miękły w upale, chociaż był dopiero grudzień. Wizja samochodów porzuconych w rowach w końcu ich przekonała. Zjechali jakiś kilometr z drogi i schowali się za niewielkim wzniesieniem. Kiedy Santiago sprawdzał opony, rodzina Andii skonstruowała prowizoryczny namiot. Wydawało się, że każde z nich dobrze zna swoje obowiązki. Santiago pocił się bardziej niż reszta. Kiedy zauważył, jak wiele wody traci, postanowił, że nie uzupełni jej w chłodnicy, póki nie upewni się, czy gdzieś w pobliżu nie ma jakiejś studni.

Wtedy zrozumiał, że koza była ich zabezpieczeniem i jedyną gwarancją przeżycia. Kozie mleko i daktylę stanowiły pożywienie dla całej gromady. Potem położyli się w cieniu,

starając się nie ruszać i nie tracić sił. Nawet wiatr nie zakłócał ich spokojnego wypoczynku. Santiago zapadł w głęboki sen.

Po pewnym czasie zerwał się lekki wietrzyk i upał nieco zezłżał. Wraz z wiatrem dotarł do nich jakiś niepokojący hałas. Saharyjczycy natychmiast obudzili Santiaga. Zaczął uważnie nasłuchiwać.

- To ciężarówka - stwierdził.

Wszedł na szczyt pagórka i przywarł do ziemi, próbując rozpoznać się w sytuacji.

Od strony Gaady nadjeżdżała kolumna pojazdów wojskowych. Widząc ją, od razu zrozumiał, co się dzieje.

- Jadą w kierunku Al-Ujun, od północy. To na pewno Marokańczycy.

- Co teraz zrobimy? - spytała Andia, kładąc się obok niego.

- Nie możemy się stąd ruszyć. Jeśli nas zobaczą, na pewno każą zawrócić. Oczywiście, jeśli nie wezmą nas do niewoli.

Czekali beczynn timer, póki nie zapadła noc. Przed świtem zwinęli obozowisko i ruszyli w dalszą drogę. Teraz mogli jechać tylko pustynią. Szosa stała się zbyt niebezpieczna.

Sześć dni zajęło im pokonanie dwustu dwudziestu dwóch kilometrów aż do świętego miasta Smary. Na szczęście samochód nie nawalił ani razu. Na widok miasta Santiago odechnął z ulgą. Teraz miał inne zmartwienie. Powinien ruszyć w kierunku południowo-wschodnim, w stronę granicy mauretańskiej. Obawiał się, że na wschodzie trafi na Mauretańczyków, najeźdźców z sąsiedniego kraju. Od czasu do czasu wyprzedzał go jakiś pojazd albo natrafiali na całe rodziny uciekające pieszo. Niektórzy już miesiąc temu wyruszyli z Al-Ujun. Każde spotkanie stanowiło pretekst, by się zatrzymać,

rozbić namioty, zaparzyć herbatę i przekazać sobie najświeższe wieści i plotki krążące po Saharze. Santiago zaś przecha-  
dzał się nerwowo, przejęty i niezdecydowany. Niestety, nie  
udało mu się dotrzymać słowa danego Lazaarowi. Obiecał do-  
wieźć jego rodzinę do Tifariti w ciągu trzech dni, tymczasem  
minęło już sześć dni i jeśli dalej będą posuwać się w takim  
tempie, mogą nie zastać nikogo na miejscu zbiórki.

Ale najgorsze miało dopiero nastąpić. W samym środku  
nocy, walcząc z burzą piaskową, Santiago stracił z oczu ślady  
kolein. Nagle znalazł się tuż przed niemożliwym do pokona-  
nia wzniesieniem. Wrócił tą samą drogą i znowu się zgubił.  
Nie potrafił nawet odnaleźć własnych śladów, aby jechać po  
nich. Teren stawał się coraz bardziej stromy. Kiedy zrozumiał,  
że muszą stanąć, było już za późno. Serce skurczyło mu się ze  
strachu, kiedy usłyszał charakterystyczny dźwięk dochodzący  
z silnika samochodu. Usłyszał go mimo wycia wiatru.  
W chłodnicy nie było już wody. Wysiadł, ale niesiony wiatrem  
piasek zupełnie go oślepił. Nie mógł otworzyć maski. Kiedy  
w końcu mu się udało, piach pokrył grubą warstwą części sil-  
nika. Ukląkł na ziemi i zaczął powtarzać modlitwę muzułmań-  
ską po arabsku, którą, słysząc już tyle razy, znał na pamięć.

Burza ustała dopiero po południu. Przynajmniej nie było  
już tak upalnie. Land-rover stał zasypany piachem. Kobiety  
znowu zaczęły rozbijać prowizoryczne obozowisko, chłopcy  
ułożyli stos z suchych gałęzi, aby zaparzyć herbatę. Już od ty-  
godnia żywili się wyłącznie kozim mlekiem i daktylami. Naj-  
starszy z braci Lazaara podszedł do legionisty, żeby pomóc  
mu przy samochodzie.

- Nie możemy napelnić chłodnicy.
- Dlaczego?

- Bo gdzieś jest szczelina. Nawet gdybyśmy wlali resztę wody, zaraz by wyciekła.

- Bez auta, bez wody. Nie, nie poradzimy sobie, przyjacielu.

Santiago, ostatecznie pokonany, padł na ziemię. Andia, jak zwykle tuż obok niego, ocierała mu pot z czoła. Święcie wierzyła, że legionista wyciągnie ich z tarapatów. Wciąż uśmiechała się, nie mając najmniejszych wątpliwości.

Kiedy Santiago otrząsnął się ze zmęczenia, przede wszystkim próbował zorientować się w terenie. Chłopcy rzucili się szukać drogi, a on podążył za nimi. W końcu udało im się znaleźć ślady innych pojazdów. Zboczyli z trasy jakieś cztery czy pięć kilometrów. San Roman starał się nie tracić spokoju. Brakowało im jeszcze kilku dni na pokonanie drogi do Tifariti. Postanowił, że odpoczną i ruszą dalej pieszo, pozostawiając bagaże i auto. Teraz był już zupełnie pewny, że koza jest ich jedyną szansą na przetrwanie. Idąc pieszo, mogliby dotrzeć w ciągu tygodnia. Ale dla takich małych dzieci to zbyt męcząca wędrówka. Kiedy zastanawiał się, w jaki sposób przedstawić ten problem rodzinie, wpadł mu do głowy pewien pomysł. Wrócił do obozowiska, znalazł jeden z pustych kanistrów i zaczął do niego siusiać. Matka Lazaara siedziała pełna powagi, ale dzieciaki nie przestawały się śmiać, jakby legionista nagle oszalał. Następnie poprosił wszystkich, aby nasiusiali i napełnili kanister. Początkowo ten pomysł wydał im się idiotyczny, ale kiedy powoli zaczęli rozumieć jego zamiśl, stwierdzili, że Hiszpan wie, co robi. W ciągu godziny zebrał mocz od czternastu osób i przez lejek napełnił chłodnicę. Na szczęście nie była zupełnie pusta. Dlatego mógł mniej więcej ocenić, w którym miejscu znajduje się pęknięcie. Wszysey chłopcy, jakby to była



najlepsza zabawa, obserwowali silnik od dołu, żeby znaleźć miejsce, w którym wyciekał płyn. To było proste. Tuż pod silnikiem na ziemi pojawiła się niewielka kałuża. Santiago wyjął kostkę szarego mydła i wślizgnął się pod samochód. Nigdy nie sądził, że w praktyce zastosuje te szalone pomysły, o których opowiadali mu Saharyjczycy z wojsk nomadzkich. Zaczął wcierać mydło w chłodnicę, póki nie powstała gęsta maź.

Niemal dwie godziny pocierał kostką, aż palce zaczęły go szczypać od sody kaustycznej. Potem uklepał wszystko dłonią. Wyczołgał się na słońce i padł na ziemię. Był wykończony. Saharyjczycy wpatrywali się w niego, jakby uczestniczyli w przedstawieniu, którego sensu nie mogli zrozumieć.

- Trzeba zostawić na parę godzin, aż wyschnie. A potem wszyscy znowu sikamy.

Prawie dwa dni zabrało im napełnienie chłodnicy. Nie pili za dużo, a zatem nie mogli oddawać zbyt wiele moczu. W końcu Santiago włożył klucz do stacyjki, przekręcił i silnik zapalił. Odczekał chwilę i upewnił się, że płyn nie wycieka. Andia nie przestawała się śmiać i wykrzykiwać do Santiaga jakichś zdań w hassanii. Po niecałej godzinie obozowisko było już złożone, a samochód na nowo zapakowany.

Po pięciu dniach krajobraz zaczął się zmieniać. Coraz większa liczba pojazdów i ludzi idących pieszo świadczyła, że Tifariti jest już blisko. Dotarli tam dwudziestego czwartego grudnia, po trzynastu dniach najtrudniejszej trasy, jaką kiedykolwiek przebył Santiago. Parę kilometrów przed Tifariti oddziały Frontu Polisario próbowały zaprowadzić ład w panującym wokół chaosie. Zabierali do ciężarówek ludzi idących pieszo, usuwali z szosy popsute pojazdy, podawali wodę tym, którym jej zabrakło, i pokazywali przybyszom, gdzie mają się

udać. Santiago San Roman zgodził się, żeby matka Andii porozumiewała się z żołnierzami. Był pewny, że jego ogolona na łyso głowa i wygląd legionisty nie wzbudzą sympatii bojowników Polisario.

Wojska hiszpańskie już dawno opuściły garnizon w Tifariti. Koszary żołnierskie i plac apelowy opanowali Saharyjczycy. Wokoło, na przestrzeni kilku kilometrów, osiedlili się uciekinierzy. Nomadzi oddawali przybyszom swoje chajmy. Każda rodzina starała się urządzić jak najlepiej. Budowano zagrody dla bydła. Dla najmłodszych dzieci założono prowizoryczny szpital. Co chwila nadjeżdżały ciężarówki i pojazdy wszelkiego autoramentu. Żołnierze nie byli w stanie zapewnić schronienia uciekinierom. Pomimo uspokajających wiadomości, które próbowano rozpowszechniać wśród nadciągających uchodźców, Saharyjczycy już od ponad dwóch miesięcy przemieszczali się powoli na wschód, szukając po drugiej stronie granicy bezpieczeństwa na niegościnniej algierskiej hamadzie.

Tego dnia, kiedy Santiago przybył do Tifariti, rozszalała się burza piaskowa, jakiej jeszcze nie widział podczas rocznego pobytu na Saharze. Porywy wiatru powalały chajmy i unosiły potężne tumany piachu w górę. Prowizoryczne obozowisko zostało złożone w ciągu zaledwie paru minut. Kobiety wygrzebały dół w piasku, umieściły tam dzieci i usadowiły się powyżej, starając się okryć milhafami. Nie było nic widać na odległość większą niż trzy metry. Santiago z Andią zostali w land-roverze. Wiatr i piasek wciskały się wszystkimi szparami. Powietrze było całkowicie pozbawione wilgoci i Santiago czuł, jak wysychają mu gałki oczne. Chociaż, wystraszony, próbował od czasu do czasu mrugać powiekami albo starał się zamykać oczy, miał wrażenie, że zabrakło mu łez. Powie-

dział o tym Andii. Dziewczyna, żeby przynieść mu ulgę, polizała jego powieki, ale po chwili znowu były suche. W pewnym momencie Santiago pomyślał, że oślepnie. Uczucie absolutnej suchości stało się nie do zniesienia. Andia próbowała go uspokoić. W końcu, o świcie, kiedy uciął wiatr, Santiago nie mógł otworzyć oczu. Położył się pod plandeką, którą rozłożyli chłopcy i, przerażony, leżał bez ruchu, cały czas czując dłoń Andii zaciśniętą na jego ręce.

Bracia Lazaara bezskutecznie poszukiwali najstarszego z rodu. Przez trzy dni krążyli w różnych miejscach. Niełatwo było odnaleźć kogoś w tak absolutnym chaosie. Co dzień do obozu przybywało coraz więcej Saharyjczyków. Według wstępnych szacunków liczba uchodźców mogła zbliżyć się do pięćdziesięciu tysięcy. W ciągu dnia upał rozżarzał piasek, a przed świtem ludzi śpiących niemal pod gołym niebem lodowate zimno przenikało do szpiku kości. Wojsko dostarczało wody ze studni, które jeszcze nie były skażone, ale niestety, zapasy prowiantu szybko się wyczerpały. W takich okolicznościach wszystko to, co przywieziono land-roverem, okazało się prawdziwym skarbem. Jajka od dwóch kur i kozie mleko musiały starczyć za pożywienie dla całej rodziny. Przydała się także herbata, póki jej także nie zaczęło brakować, tak samo zresztą jak cukru.

Kiedy Santiago odzyskał wzrok, ciągle jeszcze był bardzo osłabiony. I do tego nękały go uporczywe biegunki spowodowane wodą ze studni. Saharyjczycy okazali się odporniejsi. Andia nie opuszczała go ani na chwilę. Aż do połowy stycznia jego organizm nie przyzwyczał się do surowych warunków życia na pustyni. Kiedy był już pewny, że nigdy więcej nie zobaczy Lazaara, ten pojawił się pewnego chłodnego poranka

w towarzystwie swoich braci, ze starym kałasznikowem na ramieniu. Ucałował matkę i serdecznie uściskał Santiaga.

- Słyszałem, że byłeś chory.

- Skądże, wcale nie. Po prostu nie jestem przyzwyczajony do wody z pustynnych studni i do wiatru.

Lazaar spojrział na siostrę, nie przestając się uśmiechać.

- Andia troszczy się o ciebie?

Santiago poczuł się naprawdę wzruszony. Jego oczy napełniły się szczypiącymi łzami.

- Najlepiej pod słońcem... - I umilkł w pół słowa. - Nie mogłem dotrzymać obietnicy. W twoim kraju nie ma tak dobrych dróg, jak myślisz.

Lazaar znowu go uściskał.

- Popatrz, kto tu jest.

Santiago musiał mocno wyteńczyć wzrok, żeby poznać Sidi Ahmada. Nie miał już takich dobrych oczu jak dawniej. Sklepikarz niósł zawieszony na szyi aparat fotograficzny.

- Zrobisz mi zdjęcie, Sidi Ahmadzie?

- Nawet w tej chwili.

- Sidi Ahmad pracuje teraz dla Polisario. Jego misja to informowanie świata o wszystkim, co się tu dzieje.

- Stańcie tam, przed samochodem.

Dwaj przyjaciele ustawili się w miejscu, które wskazał im Sidi Ahmad, tuż przed land-roverem. Za nimi wiatr szarpał brezentem namiotów Beduinów. Santiago poprawił na sobie jasnyniebieską derrahe i rozwiązał turban, którego zwoje opadały teraz swobodnie na ramiona. Potem wziął od Lazaara kałasznikowa i podniósł go w górę. Saharyjczyk zaś wyciągnął rękę w geście zwycięstwa. Każdy z nich otoczył ramieniem plecy przyjaciela i, nie przestając się uśmiechać,

pochylili do siebie głowy, jakby się bali, że nie zmieszczą się w kadrze.

Tamtej nocy uchodźcy, pod daszkiem prowizorycznie służącym za chajmę, szczegółowo opisali Lazaarowi i Sidi Ahmadowi cały swój bolesny exodus. Lazaar z kolei opowiedział o aktualnej sytuacji na Saharze. Ludność saharyjska uciekała bezładnie na pustynię algierską. Większość maszerowała pieszo. Niewiele było wieści od tych, którzy pozostali w mieście, ale pomimo trudów wędrówki nikt im nie zazdrościł.

Kiedy przestał dąć wiatr, w całym obozie zapanowała niepokojąca cisza. Nie słychać było nawet beczenia kóz ani ujadania psów. Ktoś powiedział, zresztą już o wiele później, że ta cisza była złowieszczym zwiastunem tego, co miało nastąpić. Ale, prawdę mówiąc, tamtej nocy nikt nawet nie wyobrażał sobie, co przyniesie im nowy dzień.

O dziewiątej rano, w poniedziałek dziewiętnastego stycznia, nic nie wskazywało, że ten dzień okaże się tak tragiczny dla ludzi, którzy już wcześniej wszystko stracili. Po bardzo zimnej, ponurej nocy wiatr ucichł. Dzień zaczynał się tak samo jak wiele innych w ostatnich miesiącach. Bracia Lazaara znaleźli już wodę i rozbili prowizoryczną chajmę. Santiago spał spokojnie w objęciach Andii, starającej się go ogrzać swym ciepłem. Dziewczyna już nie spała, ale lubiła leżeć nieruchomo, póki nie obudził się legionista. Nagle usłyszała coś, co sprawiło, że zatrzęsa się pod kocem. Santiago obudził się raptownie.

- Co ci jest, Andia? Chcesz już wstać?

- Nie... posłuchaj tylko, Santi...

San Roman nie wiedział, o co chodzi. Słyszał tylko wrzenie wody w czajniczku do herbaty i brzęk szklanek. Od czasu do

czasu ciszę przerywało beczenie kóz. Ale Andia nie miała wątpliwości, co słyszy. Dobrze znała dźwięk samolotów.

- Słyszę gdzieś z daleka huk samolotu.

Santiago na próżno wyteżał słuch. Z powagi sytuacji zdał sobie sprawę dopiero wtedy, gdy jeden z braci Saharyjki wpadł z krzykiem do chajmy.

Atak rozpoczął się od północy. Samoloty nadleciały znad skał, gdzie nikt nie mógł ich wypatrzeć, póki nie pojawiły się blisko. I nie był to zwykły lot rozpoznawczy. Lotnicy doskonale wiedzieli, dokąd mają lecieć. San Roman wybiegł na zewnątrz i zaczął ich wypatrywać spod dłoni chroniących oczy. To były trzy samoloty francuskie Mirage F1. Dobrze je znał: najnowocześniejszy i najlepszy sprzęt wojska marokańskiego. Zbliżały się jak strzała, zrzucając swój śmiercionośny ładunek precyzyjnie na wyznaczony cel. Kiedy spadły pierwsze bomby, obóz ogarnęła panika. Po głośnych eksplozjach pojawiły się płomienie. Podmuch rozgrzanego powietrza niszczył wszystko po drodze. Od napalmu i białego fosforu chajmy i namioty płonęły, jakby były z papieru. W ciągu jednej chwili pośrodku obozu powstała ogromna wyrwa - straszliwe świadectwo ognia i zniszczenia. Wszyscy wiedzieli, że samoloty zaraz wrócą. Każdy starał się gdzieś uciec. Leje po bombach były tak głębokie, że mogła w nich stanąć dorosła osoba. Ogień odcinał ucieczkę. Santiago na próżno wszędzie wypatrywał Andii. Sto metrów dalej zobaczył płonące płachty namiotów. Nagle zrobiło się strasznie gorąco. Smród spalenizny był nie do zniesienia. Pobiegł w przeciwną stronę i dopiero wtedy pojął, co się naprawdę dzieje. Samoloty znowu zrzuciły napalm na Tifariti. Ludzie znajdujący się blisko miejsca wybuchu ginęli natychmiast, ale nawet wiele metrów dalej milhafy ko-

biet płonęły pod wpływem wysokiej temperatury. Niektóre, od stóp do głów w ogniu, przebiegały parę metrów, zanim padały bez życia, zwęglone od fosforu. Nikt nie wiedział, dokąd uciec. Ludzie miotali się i wpadali na siebie.

W środku tego piekielnego chaosu Santiago stanął i wpatrzył się w niebo. Poczuł, że ziemia drży mu pod nogami. Po chwili fala uderzeniowa wyrzuciła go w górę. Upadł twarzą na ziemię i nie mógł się podnieść. Strasznie ciężko mu ciało. Wydawało mu się, że ma spaloną twarz. Dźwięki w uszach stopniowo cichły, aż zupełnie znikły. Palila go lewa ręka. Próbował ją obejrzeć i stwierdził, że leży cały we krwi, bez dłoni i połowy przedramienia. Zrozumiał, że nie da rady wstać i uciekać. Niebo było czerwone od ognia. Nagle poczuł, że ktoś go chwytą za szyję i usiłuje podnieść. Była to Andia. Na jej twarzy malowała się groza. Płakała i krzyczała bez przerwy, ale on jej prawie nie słyszał. Powiedział, że ją kocha, żeby się nie martwiła, a te słowa rozbrzmiewały mu w uszach jak w pudle rezonansowym. Andia przytuliła twarz do piersi rannego i objęła go tak, jakby chciała zatrzymać ukochanego na zawsze. Po chwili Santiago stracił świadomość.

Bez wątpienia Alberto był ostatnią osobą, jaką Montse pragnęła spotkać w korytarzach działu administracyjnego szpitala. Wyszła z gabinetu dyrektora, przeświadczona, że podjęła bardzo ważną decyzję. Dobrze wiedziała, że jej podświadomość zwróci się przeciwko niej, ale była już przyzwyczajona do takich wewnętrznych dyskusji. Czuła się wspaniale, jakby pozbyła się balastu, a jej własne myśli znalazły się w stanie nieważkości. Po raz pierwszy od wielu miesięcy myślała z optymizmem o swojej przyszłości. Niewykluczone, że właśnie to było tak zwanym wyjściem ze studni, o którym często słyszała. Zaczęła snuć plany: wejdzie do smażalni racuchów, naje się jak królowa, zadzwoni do siostry, przejrzy spokojnie rozkłady jazdy pociągów, sporządzi listę rzeczy niezbędnych do załatwienia przed wyjazdem i w końcu odnajdzie przeznaczenie. Wydało jej się, że wchodzi do budynku, którego fasadę ledwie zna, a który ciągnie ją nieodparcie jak syreni śpiew. Na widok Alberta jakaś mroczna myśl przemknęła jej przez głowę. Zwidy i duchy często ją nachodziły i opuszczały, do takiego stanu zdążyła się już przyzwyczaić. Ale ten duch był rzeczywisty.



Alberto, jej mąż, wysiadał z windy z neseserem w ręce i telefonem komórkowym przyklejonym do ucha. Na widok Montse uśmiechnął się, nie przerywając rozmowy. Poczula, że cały jej optymizm nagle znika. Serce zaczęło pośpiesznie łomotać. Zawsze zbyt wolno reagowała. Miała ochotę zrejetrować i wrócić, skąd przyszła, ale na samą myśl o tym poczuła wstyd. Na odwrót było już za późno. Mogła wcześniej przewidzieć, że to niechybnie się zdarzy. Teraz Alberto szedł w jej stronę, żegnając się z kimś przez telefon. Jego uśmiech zupełnie ją zniechęcił. Jak zwykle ubrany był nienagannie. W jak najbardziej naturalny sposób cmoknął Montse w policzek. Pozwoliła się pocałować, starając się, aby nie zauważył jej zdenerwowania. Pragnęła tylko, aby to spotkanie skończyło się jak najszybciej, a ona mogła znowu wrócić do swego poprzedniego stanu: poczuć nieważkość, wyobrazić sobie drogę do szczęścia. Jednak Alberto nie zdawał sobie sprawy z rozterek, jakie przeżywała. A może po prostu nie chciał o tym wiedzieć. Wymienili parę grzecznościowych frazesów. Starła się za wszelką cenę wytrzymać jego spojrzenie. Musiała przyznać, że był naprawdę urodzonym uwodzicielem, chociaż ona dobrze знаła wszystkie jego sztuczki. Kiedy Alberto spytał ją, co robiła w administracji, starła się wysondować odporność faceta, który ciągle jeszcze był jej mężem.

- Właśnie złożyłam w dziale personalnym podanie o bezterminowy urlop.

Alberto nawet nie drgnął. Na jego twarzy pojawił się najpiękniejszy uśmiech.

- Coś takiego, Montse! A to nowina. Masz dość pracy?

- Przeciwnie, raczej odczuwam niedosyt. Potrzebuję przeżyć... powiedzmy... bardziej wzbogacających.

- Rzeczywiście... Być może to niezły pomysł. Nie wyobrażaj sobie, że też o tym wielokrotnie nie myślałem. Może pójdę w twoje ślady. Wyjeżdżasz gdzieś?

- Taki mam zamiar.

- Podróżowanie poza sezonem turystycznym to naprawdę wspaniała sprawa.

Montse odczuła to zdanie jak cios w splot słoneczny. Sprawiało jej przykrość, że myślała to samo, co Alberto, miała te same poglądy, że on kradł jej myśli, a nawet całe zdania. Robił tak, odkąd się poznali. Kiedyś myślała, iż to Alberto miał na nią aż tak przemożny wpływ, że nie czuła się autorką nawet własnych słów. Pożegnała się z nim pośpiesznie, czując, że tylko krok dzieli ją od utraty panowania, od załamania się. Alberto był jak przesłona, która nie pozwalała jej dostrzec rzeczywistości.

Jazda windą dłużyła się w nieskończoność. Zaczynało jej brakować powietrza. Prawie biegiem wypadła na ulicę i odepchnęła głęboko. Nosila ze sobą pastylki w torebce, ale przez to spotkanie nie chciała ich wziąć. Miała ochotę zwymiotować. Oparła się o jakiś samochód. Pomimo chłodu pocila się. Nie kochała tego mężczyzny; tego była pewna. Wiele razy zastanawiała się, czy kiedykolwiek go w życiu kochała. A jednak to ona sama wytworzyła relację zależności w stosunkach z własnym mężem, która wykraczała daleko poza granice miłości. Alberto miał niewytłumaczalny wpływ na osoby ze swego otoczenia. Wywierał go na rodziców i siostrę Montse. I oczywiście na ich córkę, Teresę. Z pewnością jego przemożnym wpływom ulegały kochanki, które przewijały się przez jego łóżko, podczas gdy ona poszukiwała nieprawdopodobnych wyjaśnień ewidentnych dowodów zdrady. Nikt

tak nią nie manipulował ani nie wyrządził jej takiej krzywdy jak właśnie Alberto.

Zawsze wydawał jej się starszy, niż był naprawdę. Montse poznała go na pierwszym roku studiów, kiedy był stypendystą na ostatnim, a jednocześnie studentem jej ojca, doktora Cambry. Ojciec nigdy nie przyprowadzał studentów do domu. Ale wśród nich Alberto zdecydowanie się wyróżniał. Mając dwadzieścia cztery lata, przemawiał jak doświadczony i pewny swych racji profesor. Był przystojny, elegancki, dobrze wychowany i wykształcony. Zdobył serce doktora Cambry i jego żony. Nawet Teresie błyszczały oczy, kiedy stypendysta pojawiał się u nich w domu. Alberto okazywał względy i sympatię wszystkim, ale przede wszystkim Montse. Tak bardzo różnił się od Santiaga San Romana, że wszystko, co w nim widziała, przyczyniło się do pogrzebania raz na zawsze wspomnień o zmarłym chłopcu.

Wiadomość o śmierci Santiaga sprawiła jej większy ból niż zamknięcie w Cadaques i milczenie rodziców po poronieniu, które bardzo przeżyła. Montse podjęła studia, nie mogąc się skupić na nauce. Postanowiła nie mówić rodzicom o ciąży, dopóki będzie mogła ją ukryć. Nie przebaczyła Santiagowi, choć chłopak usilnie zabiegał o zgodę. Była wściekła do tego stopnia, że wszystko wymykało się jej spod kontroli. W grudniu, kiedy ustały telefony, w końcu się uspokoiła. Wyobraziła sobie, że w ciągu roku, kiedy Santiago będzie służył w wojsku, zapomni o nim. Ale sytuacja zmieniła się na gorsze, kiedy nie mogła już dłużej ukrywać rosnącego brzucha, powiększających się bioder i piersi. Kiedy jej rodzice zorientowali się, że

jest w ciąży, dom okrył się taką żałobą, że nawet nie można było zasłon uchylić. Montse płakała mniej, niż się spodziewała. Nawet łzy jej nie pozostały. Pod presją ojca wyznała, że latem poznała chłopca i zakochała się. Doktor Cambra chciał się dowiedzieć czegoś więcej, ale ona nie puściła pary z ust. Wyobraziła sobie ojca rozmawiającego z Santiagiem i to ją zupełnie rozstroiło. Nie chciała brać ślubu pod przymusem: wiedziała zresztą, że jej rodzice nigdy nie zaakceptowaliby chłopaka. Przed Bożym Narodzeniem Montse przeniosła się do Cadaques, żeby spędzić zimę i wiosnę z dala od Barcelony. Towarzyszyła jej gospośnia, Mari Cruz. Były to najsmutniejsze święta w jej życiu. Wszyscy, nawet służąca, sprawiali, że czuła się winna. Przerwała studia. Doktor Cambra, aby usprawiedliwić nieobecność Montse, wymyślił podróż do Niemiec, kłamstwa zaś opowiadane rodzinie przybrały niewyobrażalne rozmiary.

Tymczasem zima nad morzem mijała powoli, monotennie, w poczuciu nudy i beznadziei. Rodzice przyjeżdżali do Cadaques w każdy weekend, ale Montse marzyła o szybkim nadejściu poniedziałku, by znów mogła zostać sama. Myślała o Santiagu, o jego milczeniu. Teraz czuła się winna, że nie dała mu szansy, aby wszystko wyjaśnił. Czasami łudziła się, że dzwonił do domu, ale nikt jej nie przekazał wiadomości ani nie przywiózł listu. Kiedy próbowała sprawdzić, czy ktoś telefonował do niej do Barcelony, Teresa nie chciała nic jej mówić. Wydawało się, że siostra jest także przeciwko niej.

W lutym zaczęła odczuwać skurcze i plamić. Ojciec przyjechał z Barcelony wraz z zaufanym lekarzem. Po dwóch dniach Montse musiała poddać się operacji, ale dziecko nie przeżyło. To wszystko było bardzo bolesne, a jednak poczuła

ulgę. Jej rodzina zachowała milczenie pełne urazy. Montse pozostała w Cadaques aż do Wielkanocy. Kiedy wróciła już zdrowa, ale bardzo przygnębiona, większość znajomych była pewna, że wróciła z Niemiec, aby dalej studiować. Próbowwała podjąć przerwane studia, ale w sesji letniej zaliczyła zaledwie kilka przedmiotów. Tamtego lata rodzina nie wyjechała do Cadaques. Kiedy Montse przygotowywała się do wrześniowych egzaminów, reszta domowników snuła się po domu i pilnowała, aby dziewczyna uczyła się i nikt jej nie przeszkadzał. Każdy dzwonek telefonu wywoływał panikę. Montse uczyła się niechętnie, ze strachu i bez zbędnych złudzeń. Książki i atlasy były przytłaczające jak płyty nagrobne. Aż tak bardzo bała się rodziców, że zrobiłaby wszystko, aby ich zadowolić. Powoli oblicze Santiaga zacierało się w jej pamięci. Uczucia Montse przeszły z tęsknoty w nienawiść, z nienawiści w pełen melancholii smutek i w końcu z melancholii w rozpacz. Była już pewna, że chłopak o niej zapomniał. Czasami pojawiał się we śnie, wtedy budziła się spocona, zdenerwowana, przerażona. Bezustannie próbowała sobie wyobrazić, co w danym momencie robi Santiago. Ten wysiłek doprowadzał ją do jeszcze większej rozpacz. Póki nie nadszedł październik.

Alberto pojawił się wraz z jesienią. Jego obecność okazała się uzdrawiająca dla pełnej smutku atmosfery w domu. Nawet nastrój doktora Cambry zmieniał się, kiedy odwiedzał ich młody człowiek. Miał niesamowity dar zdobywania sympatii u ludzi. Także służąca, Mari Cruz, uległa jego urokowi. Kiedy Alberto przychodził na obiad, wysilała się w kuchni, wyszukiwała najwymyślniejsze przepisy i stawiała najlepszą zastawę na stole. Tylko Montse nie podbił tak łatwo. Być może właśnie to sprawiło, że stypendysta zainteresował się dziewczyną. Nie rea-

gowała na jego szczególne względy, nie interesowała się tym, co opowiadał, zachowywała chłodny dystans podczas jego wizyt. Pod byle pretekstem wymykała się do swojego pokoju. Taka obojętność raniła miłość własną Alberta. Ale nie dawał za wygraną. Doktor Cambra przyglądał się temu życzliwym okiem, ale jego największym pragnieniem było, żeby Montse rozpoczęła nowy rok akademicki i żeby nic jej nie rozpraszało.

Pod koniec roku Santiago San Roman jeszcze tkwił jak zadra w głowie i sercu Montse. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiał wrócić do Barcelony. Wielokrotnie chciała pójść do trafiki jego matki na Barcelonecie, ale czuła ogromny wstyd już na samą myśl, że Santiago się o tym dowie. Przez pierwsze dwa miesiące 1976 roku Santiago w dalszym ciągu nie dawał znaków życia. To jeszcze bardziej ochłodziło Montse. Coraz częściej porównywała go z Albertem i zrozumiała, że ponad rok była ślepa.

Długo zwlekała, ale w końcu nie potrafiła powstrzymać się przed wizytą w kiosku matki Santiaga. Była to trudna decyzja. Nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć. W ostatniej chwili znalazła pretekst: chciała zwrócić srebrny pierścionek, który dostała od chłopaka. Jeśli naprawdę należał do jego babki, z pewnością miał dla nich wartość sentymentalną.

Od razu zorientowała się, że coś się zmieniło. W kiosku wstawiono nowe drzwi. Trochę speszona, weszła. Chociaż dostrzegła pewne zmiany, to jednak najbardziej wstrząsnęło nią, że za kontuarem nie było matki Santiaga. Zamiast niej stała tam para zbliżających się do pięćdziesiątki ludzi: oboje dobrodusni, zażywni. Montse stanęła, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Szukam właścicielki kiosku.

Kobieta wyprostowała się czujnie, przekonana, że dziewczyna chce coś jej sprzedać.

- Ja jestem właścicielką. O co chodzi?

- To znaczy szukam kobiety, do której należał ten kiosk przed... no, dawniej.

- Ach tak, córka Culiverdego. Była chora. Umarła.

Montse starała się nie okazać zaskoczenia. Tego się nie spodziewała.

- A jej syn? Miała syna o imieniu Santiago. Powinien wrócić z wojska miesiąc czy dwa temu. Był w Saragossie. Muszę mu zwrócić coś, co należało do jego rodziny.

Montse pokazała jej leżący na dłoni pierścionek. Mężczyzna wyszedł zza lady, aby lepiej się przyjrzeć dziewczynie. Nagle bardzo spowazniał. Do kiosku wszedł jakiś klient.

- Miał na imię Santiago, mówisz? - spytał kioskarz. - Tak, chyba tak się nazywał.

- To było straszne nieszczęście - wtrąciła żona. - Zginął w jakimś wypadku na Saharze.

- Na Saharze?

- Tak, podczas Zielonego Marszu. Prawda, Agustinie? Agustin był klientem, który właśnie wszedł do kiosku.

- O kim mówicie? O synu Culiverdówny?

- Tak. Ta dziewczyna dopytuje się o niego.

- Biedny chłopak. Zginął w tych straszliwych zamieszkach, które wywołał Hassan w zeszłym roku. Mówią, że wybuchł jakiś granat czy coś.

- To nie granat - sprostował kioskarz. - To był czołg. Zmiażdżył go.

- To na pewno był granat. Przynajmniej tak pisano w gazetach i wszędzie.

- Wszystko jedno... granat czy czołg. Cóż to w końcu za różnica? - zamknęła tę kwestię kobieta. - Chodzi o to, że ta dziewczyna pyta o niego.

Montse słyszała ich głosy, jakby dochodziły gdzieś z daleka. Nic nie czuła. Nic nie mówiła. Stała z wyciągniętą ręką, z pierścionkiem na dłoni.

- Pokaż, dziecko, daj mi zobaczyć.

Kioskarka wzięła srebrny pierścionek i podniosła do oczu. Zbadała go dokładnie. Stwierdziwszy, że jest niewiele wart, poczuła się rozczarowana. Zwróciła go Montse. Kiedy dziewczyna wychodziła, cała trójka wciąż dyskutowała na temat przyczyn śmierci Santiaga San Romana.

Od tej pory Montse zaczęła życzliwiej przyjmować zaloty Alberta. Jednak dopiero po dwóch latach dała się zaprosić na kolację. Młody człowiek robił błyskotliwą karierę. Zdobył stanowisko w szpitalu w wieku, kiedy większość lekarzy studiowała grube podręczniki, aby przystąpić do walki o pozycję. Doktor Cambra niezbyt życzliwie przyjął jego decyzję o porzuceniu świetlanej kariery uniwersyteckiej. Ale starał się publicznie nie okazywać swego zawodu. Ten chłopak bez wątpienia mógł wiele zdziałać, i to w każdej dziedzinie.

Ayach Bachir przycisnął dzwonek domofonu i Montserrat Cambra od razu go wpuściła. Saharyjczyk wszedł do jej mieszkania z uśmiechem na ustach. Tak jak zwykle podał jej dłoń delikatnie, lekko opuszczoną. Jakby to był jakiś rytuał sprawiający jej przyjemność, Montse spytała go o pracę, potem o rodzinę, Fatmę i dziecko, o samochód i popsutą lodówkę. Ayach także zadał jej kilka pytań, uśmiechając się przy każdej



odpowiedzi. Prawdę mówiąc, minęły zaledwie dwa dni, odkąd widzieli się po raz ostatni. Montse zaproponowała mu herbatę z torebki, jednak Ayach wolał kawę.

- Szukałem cię w szpitalu - powiedział Saharyjczyk. - Myślałem, że masz dyżur, ale powiedziano mi, że nie będzie cię w pracy przez najbliższych kilka dni.

- Przez najbliższych kilka miesięcy, Ayach. Poprosiłam o bezterminowy urlop.

Doktor Cambra parzyła kawę, Ayach zaś mówił o nieistotnych sprawach. Była pewna, że mężczyzna przyszedł powiedzieć jej coś ważnego. Ale dobrze wiedziała, że się nie śpieszył: najpierw musiał nacieszyć się gościnnością pani domu, wypić kawę, zapalić papierosa. Dopiero potem wyluszczy sprawę, z jaką przyszedł. Była to forma zachowania, która ją bawiła i drażniła zarazem. A jednak zdążyła się już przyzwyczaić do tego obyczaju.

- Muszę powiedzieć ci coś ważnego - oświadczył w końcu Ayach.

Montse mogła się tylko roześmiać. Dzięki tej scenie zrozumiała to, co wielokrotnie czytała w pismach medycznych, że wśród Saharyjczyków jest zdumiewająco mało przypadków zawałów i chorób serca.

- Słucham. Cóż aż tak ważnego cię tu przywiodło?

- Zaraz się dowiesz. Otóż za pięć dni wylatuje samolot z Barcelony do Tindufu. Jeśli chcesz, mogę ci zarezerwować miejsce. Są jeszcze trzy wolne.

Montse aż podskoczyła na fotelu. Po raz kolejny przeznaczenie wystawiało ją na próbę.

- Ja? Do Tindufu?

- Tak. Tinduf to spokojne miasto. Położone bardzo daleko

od Algieru. Tam nie dotarła jeszcze fala terroryzmu. W ciągu godziny dotrzesz do obozów uchodźców saharyjskich.

Montse zamarła jak sparaliżowana. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zaszklily jej się oczy. Niczego już nie była pewna. Ayach Bachir uszanował jej milczenie. Patrzył badawczo w oczy. W końcu Montse uśmiechnęła się.

- Czy to, co mi powiedziałaś, to prawda?

- Oczywiście. Miałbym przychodzić do ciebie po to, aby stroić sobie żarty? I co ty na to?

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Masz ważny paszport?

- Mam.

- W takim razie decyzja należy do ciebie. Potrzebne mi są tylko twoje dane do wizey. To wszystko.

Montse poczuła, jak pod jej fotelem wiruje ziemia. Wstała i wyszła z pokoju. Wróciła z paszportem w dłoni. Tym razem była przejęta. Na szczęście paszport był jeszcze ważny. Położyła go na stole, potem schowała do kieszeni. Ayach Bachir uśmiechał się, starając się nie być natarczywy.

- Jeśli się zdecydujesz, jutro porozmawiam z ojcem. Za trzy dni wyjeżdża do Libii. Takie tam sprawy polityczne. Ale wyśle kogoś na lotnisko, żeby cię odebrał. Moja siostra udzieli ci gościny w swojej chajmie. Jest bardzo skromna, ale będzie jej bardzo miło cię gościć.

- Sama nie wiem, Ayach. Nie wiem, co powiedzieć - powtórzyła.

- Yusuf chciałby cię zobaczyć. Na pewno nie zapomniał takiej kobiety jak ty. A może powinienem powiedzieć: Santiago?

- Jesteś aniołem, Ayach. Już na samą myśl o tym wpadam w panikę.

- Boisz się, że cię nie pamięta?

- Nie. Ależ oczywiście, że nie. Z pewnością o mnie zapomniał. A może nie? Sama nie wiem... Daj mi pomyśleć.

Saharyjczyk dolał sobie kawy. Nie chciał jej zmuszać do podjęcia decyzji, ale kiedy Montse spytała go o radę, był szczery.

- A ty co byś zrobił na moim miejscu, Ayach?

- Pojechałbym. Jeżeli Bóg pragnie, żebyś go spotkała, spotkasz go, nawet jeśli tu zostaniesz albo skryjesz się w najodleglejszym zakątku ziemi. A jeśli Bóg nie chce...

Montse wyciągnęła paszport i wyjęła z szuflady papier i długopis.

- Jakie dane są ci potrzebne do wizy?

Po południu zrywa się silny wiatr, szarpie płótnem chajm i wystawia na próbę ich wytrzymałość. Piasek wciska się wszystkimi szparami. Dla Montse taka nagła zmiana pogody jest co najmniej zaskakująca. Oszołomione wiatrem psy wściekle ujadają. Spędziła cały ranek w kuchni, pomagając ciotce Layli. Kiedy wychodzi, musi zakryć twarz chustką i zamknąć oczy. Piasek przenika przez ubranie, wciska się do nozdrzy i do uszu. Chociaż ma zaciśnięte usta, czuje jego ziarenka na podniebieniu i między zębami.

Po obiedzie chajma wypełnia się sąsiadkami, które wpadły obejrzeć telenowelę. Montse nie chce przegapić tego widowiska. Zasiada za nimi i nie traci żadnego szczegółu z zachowania Saharyjek. Layla śpi w samym środku tej wrzawy, zwinięta w precelek, w pozycji płodowej i z twarzą przykrytą milhafem. Dla Montse ten widok ma w sobie niewyobrażalne piękno. Nagle wiatr się uspokaja, a panująca na zewnątrz cisza staje się dla niej alarmująca. Znowu słyszy na dworze beczenie kóz. Powoli ogarnia ją senność. Czuje, że miękną jej nogi i ciężko opadają powieki. Wydaje się jej, że słyszy głos córki.

Słyszy go gdzieś z daleka, jakby Teresa była w drugim pokoju. Wie, że to tylko wytwór wyobraźni. Wspomnienie nie jest już tak bolesne jak kiedyś. Teresa pewnie chciałaby poznać to miejsce. Myśli Montse błędzą wokół rzeczy, których nie zdążyła poznać córka. Dźwięki z telewizora zagłuszają jej wspomnienia. Nagle słyszy z oddali gwizd. To znana piosenka. Nie pamięta jej dokładnie, ale słyszała ją wiele razy. Ta melodia była częścią jej młodości. Nieświadomie budzi się z letargu. Teraz naprawdę jest zaskoczona. Ta piosenka jej się nie śniła. Słyszy ją na jawie. I nie dochodzi z telewizora. Ktoś gwizdże na ulicy. Próbuje rozpoznać piosenkę. Teraz jest tego pewna: to paso dobre. Kiedy poznaje refren, aż serce jej się ściska. Kobiety nawet nie zwróciły uwagi na gwizd. Są pochłonięte oglądaniem telewizji algierskiej. A Layla śpi obojętna na wszystko.

Montse podnosi się i wychodzi z chajmy. Nikt nie zwraca na to uwagi. Na zewnątrz nie ma nikogo. Nawet wiatr nie wieje. Gwizdu już nie słyhać. W powietrzu unoszą się ziarenka piasku, jak piaszczyste obłoki lub mgła. Niebo pokrywają gęste chmury. Skwar jest suchy i duszący. Montse nie może zrozumieć, dlaczego nagle czuje się taka zdenerwowana. Nie potrafi się uspokoić. Postanawia się przejść. W oddali na niewielkim wzniesieniu widzi budynek szkoły specjalnej. Chce się przejść w tamtą stronę. Po raz pierwszy zobaczyła Bir Lehlu stamtąd, z wysoka, i ten widok ją wtedy urzekł.

Idzie z oczyma wbitymi w ziemię, uważając na każdy swój krok. Dlatego nie dostrzega w oddali mężczyzny przycupniętego na ziemi i odwróconego plecami. Na jego widok zatrzymuje się. Przeżywa chwilę wahania, nie wie, czy podejść bliżej, czy też minąć go z daleka. Pewnie mężczyzna się modli. Nagle

człowiek prostuje się i Montse wpada w panikę. Saharyjczyk ma na sobie derrahę podwiniętą aż do pasa. Jeszcze jej nie zauważył. Biel jego pośladków kontrastuje ze śniadą skórą charakterystyczną dla ludzi jego rasy. Wstydzi się, że mężczyzna może ją zobaczyć i pomyśleć, iż go podgląda. Kiedy postanawia zawrócić, jest już za późno. Mężczyzna ją zobaczył i zmierza w jej stronę. Zatrzymuje się w odległości pięciu metrów.

- *Musso mussano? Musso mussano?*

Natychmiast go poznaje i uspokaja się. To Demon. Teraz nie wydaje jej się taki stary. Ma twarz spaloną słońcem i wargi pokryte bąblami.

- *La ba's. La ba's* - odpowiada Montse. - Czuję się dobrze.

Usłyszawszy ją, Saharyjczyk otwiera szeroko oczy. Ma podwiniętą derrahę, tak jakby to była koszula.

- Hiszpanka? - pyta z silnym akcentem saharijskim.

- Tak, Hiszpanka.

- U mnie dużo przyjaciół. Dużo Hiszpanów.

Kiedy Montse patrzy na niego z bliska, wydaje jej się niegroźny. Gdyby nie wyraz jego oczu, nie wątpiłaby w zdrowy rozsądek tego człowieka. Saharyjczyk mówi coś do niej w *hasanii*. Chyba recytuje jakiś wiersz. Montse przerywa mu, aby spytać, jak się nazywa.

- Nie pamiętam... Wszystko zapominam... Hiszpanki piękne.

Montse uśmiecha się do niego. Nie chce być niegrzeczna i odwrócić się plecami. Saharyjczyk niezdarnie zadziera derrahę. Montse myśli, że pewnie chce się przed nią obnażyć, i czuje się niepewnie. A jednak się myli. Saharyjczyk szuka czegoś w kieszeni, a potem podchodzi do cudzoziemki.

Trzyma w ręku kamień. Montse bierze go. Wtedy zauważa, że mężczyzna nie ma jednej ręki. Widzi kikut wystający spod derrahy, mniej więcej na wysokości łokcia. Montse stara się na niego nie patrzeć. Trzyma teraz w dłoni piękny kamień. To róża pustyni.

- Dla Hiszpanki - mówi mężczyzna.
- *Szukran* - dziękuje mu Montse. - Jest piękny.
- Hiszpanki piękne.

Saharyjczyk opuszcza zagubiony wzrok. Montse odgaduje, że nie patrzy na nią. Mężczyzna jest teraz myślami zupełnie gdzie indziej. Przez chwilę kobieta czuje się niepewnie. Trzyma różę pustyni w dłoniach.

- Jest wyjątkowo piękna - mówi trochę sztucznie.

Saharyjczyk odwraca się i odchodzi bez słowa. Teraz może mu się lepiej przyjrzeć. Nie potrafi określić jego wieku. Próbuje sobie wyobrazić, jak ciężko jest żyć choremu umysłowo w tak nieprzyjaznym otoczeniu. Ciągle jeszcze pamięta kikut wystający spod ubrania. Przygląda się podarunkowi, który zostawił jej nieznajomy. Rusza w dalszą drogę w stronę szkoły.

Wtedy, jakby ciągle jeszcze pogrążona we śnie, znowu słyszy gwizd, ten sam co w chajmie. Tym razem słyszy go wyraźniej. Rozgląda się wokół i nikogo nie widzi. Pomimo upału czuje dreszcze ogarniające całe jej ciało. Ta stara melodia, tak niewprawnie gwizdana, przenosi ją w tamtą sierpniową noc sprzed wielu lat: plac pełen ludzi, kapela wygrywająca rytm na prowizorycznej estradzie i wpatrzone w nią ciemne, piękne oczy. Najpiękniejsze spojrzenie na świecie.